

PAMIĘTNIKI

D^{-ra} JÓZEFA FRANKA

Profesora Uniwersytetu Wileńskiego.

Z francuskiego przetłumaczył, wstępem i uwagami opatrzył

D-r WŁADYSŁAW ZAHORSKI.

T O M II.

WILNO. Nakładem Tow. Udz. „Kurjer Litewski“. 1913.



Pałac general-gubernatorów, dawniej biskupi.



U. R. 2526/1946

1117614

ROZDZIAŁ XIV.

R. 1808.—Wilno.—Uczty stylowe, zabawy, teatr amatorski, koncerty. — Zatarg z prof. Becu. — Prace naukowe. — Nowa choroba — krup. — Praktyka. — Hr. Mostowska i strach.—Katastrofa.—Śmierć biskupa J. N. Kossakowskiego.—Założenie Instytutu wakcynacji.—Ulepszenia w Uniwersytecie.—Artyści znakomici.—Ks. Ad. Czartoryski w Wilnie.

Koniec roku 1807 i początek 1808-go spędziłem bardzo wesoło. W wigilię Nowego Roku zaprosiłem moich najlepszych przyjaciół i przyjaciółki na wieczerzę rzymską. Leżeliśmy na trzech łóżach dokoła niskiego stołu, przykrytego obrusem, który był przystrojony we wstążki ponsowe. Na stole stały wspaniałe starożytne wazy srebrne, które mi pożyczyła ze swych zbiorów hr. Mostowska. Na transparancie był wymalowany Janus. Widelców nie było i posługiwaliśmy się palcami. Na pierwsze danie były jaja, a na ostatnie—jabłka. Nie mogąc naśladować Lukullusa, parodjowałem jego uczty. Tak, zamiast języków słowiczych, był podany ozór wołowy; wino falernskie zastąpiłem szampańskim. W pokoju przyległym przygrywała muzyka na instrumentach dętych. Do stołu posługiwaly bardzo przystojne pokojowe, przebrane za niewolnice rzymskie. Zapanowała taka wesołość, że nawet pito zdrowie bożka ogrodów.

W kilka dni potem hrabina Choiseulowa zaprosiła nas na ucztę turecką. Przy wejściu do salonu po-

dano nam fajki i nawet panie nie odmawiały ich przyjęcia. Musieliśmy pójść za ich przykładem i tu właśnie był początek palenia fajki wieczorem po herbacie, przed rozpoczęciem pracy umysłowej. Gdy d-r Weickard dowiedział się od mego ojca, że zostałem palaczem, przysłał mi w podarunku prawdziwą fajkę turecką, o niezmiernie długim cybuchu, którą to fajkę ceniono na 300 rubli asygn.

W dzień trzech królów p. Bennigsen wydał wieczór z tradycyjnym tortem z migdałem, który się dostał pani Choiseulowej. Ta wybrała na króla starostę Morikoniego, znanego ze skąpstwa. Postanowiono, że król musi wydać bal, który ma kosztować co najmniej 300 dukatów. Król ze swej strony wybierał królowę, ta znów króla i t. d. Tym sposobem bale następowały jeden po drugim, aż do końca karnawału.

W rocznicę bitwy pod Preussisch-Eylau pani Choiseulowa urządziła na cześć generała Bennigsen'a zabawę, która miała być niespodzianką. Nasamprzód dzieci odegrały komedyjkę, poczem gospodyni domu przebrana za Minerwę uwieńczyła wawrzynem popiersie generała. Pani Bennigsenowa przedstawiała sobą Historję. W obrazie drugim cyklopi kuli broń dla tego bohatera. Podczas przedstawienia, ukryci za kulisami, śpiewaliśmy odpowiednie kantaty. Świetny bal i wieczerza zakończyły uroczystość, którą bardzo krytykowali patrioci polscy. Miano pani Choiseulowej za złe, że ona będąc Polką i poślubioną Francuzowi, obchodziła rocznicę dnia, w którym armja Napoleona, jeżeli i nie doznała porażki, to w każdym razie powodzenie jej było wielce sporne. Zapomniano, że hr. Choiseulowa była wychowana na dworze petersburskim i że jej mąż część swej fortuny zawdzięczał cesarzowi rosyjskiemu. Pan Bennigsen również korzystał z każdej okoliczności, by dowieść pani Choiseulowej, jak bardzo ceni jej przyjaźń. Gdy pewnego razu powiedziała ona, że, gdyby jej pałac był obszerniejszy, urządziłaby w nim stały teatr amatorski, p. Bennigsen oddał na ten cel wielką salę w domu miejskim, który czasowo za-

mieszkiwał. Projektowano wystawiać w tym teatrze komedje i wodewile francuskie. Ponieważ pani Bennigsenowa nie była zbyt mocna w tym języku, aby mogła podejmować się większych ról, więc na czele przedsiębiorstwa stanęła pani Choiseulowa, zaś pomagali jej Krystyna oraz panowie Pinabel, Rustem, Kostrowicki i Merlini. Ten ostatni z powodu jakiejś kłótni w teatrze z p. Ławińskim, zgodził się grywać w komedjach, tylko pod tym warunkiem, że jego przeciwnik zostanie wykreślony z listy zapraszanych widzów. Gdy jednak gospodarz domu nie mógł się zgodzić na wyrządzenie podobnej niegrzeczności p. Ławińskiemu, chociażby ze względu na jego wysoką rangę, wtedy p. Merlini odmówił swego udziału w przedstawieniach, co dla nich było ciosem śmiertelnym. Pomimo to odbywały się one raz na tydzień, a po przedstawieniu zwykle bywała wieczerza na osób 80 i więcej. Ponieważ było wiadomo, że p. Bennigsen nie miał innych dochodów oprócz pensji generalskiej i dochodu z majątku, i ponieważ nie chciano wierzyć, aby człowiek tak rozumny rujnował się dla zabawy, przeto publiczność (a być może i sam cesarz) posądzała generała, iż wzbogacił się on, gdy był naczelnym wodzem armji. Nie podejrzewano go, aby był przez wroga przekupiony, ale przypuszczano, że przez pułkownika Abbt'a, przyjaciela domu, miał on udział w niezmiernych dochodach dostawców dla armji. Jestem przekonany, że tak nie było i potem miałem sposobność przekonać się, że p. Bennigsen, aby spędzić zimę w mieście i urządzać częste wieczory i przedstawienia teatralne, musiał porządnie nadszarpnąć swoją fortunę.

Panie Bennigsenowa, Choiseulowa i jej siostra hrabina Kossakowska wzięły udział w koncercie, urządzonym przez panią Frankową na rzecz 3-go wydziału Towarzystwa Dobroczyńności i chętnie się zgodziły, abym zaprosił również pannę Namajłowską, córkę kapelmistrza orkiestry, a także artystów teatru wileńskiego. Dzięki temu udało mi się wystawić wspaniały finał opery *Se c*

chia rapita Zingarellego, który nigdy nie przestanie być pięknym. Szczególnie zabawiła publiczność scena doktorów z Bolonji, posłanych do Madeny dla wymiany jeńców. Ale z niczem nie da się porównać entuzjazm, jaki wywołała arja z marszem z opery *Pirro* Zingarellego, zaśpiewana przez panią Frankową, która naśladowała Marchesi tak znakomicie, że zakmnawszy oczy można było przysiąc, że to właśnie on śpiewa. Orkiestrę, złożoną z instrumentów dętych, która powinna była wykonać marsza, umieściłem w pokoju przyległym. Ona to właśnie, a nie orkiestra znajdująca się w sali, akompanjowała do słów: „Machi s'avvanza?”

Koncert odbył się d. 21 lutego 1808 r. i dał dochodu 1938 rubli sr. Ignacy hr. Tyzenhauz również urządził u siebie teatr amatorski, w którym grali jego synowie i córki, p.p. Merlini, Rustem, Pinabel, a także pani Frankowa.

Rozrywki nie przeszkadzały mi wcale w zajęciach, wypływających z moich obowiązków. Oddawałem się im z przyjemnością. Tak ułożyłem rozprawy inauguracyjne moich uczniów. Była to praca, za którą byłem sownie wynagrodzony, dzięki opinii, jaką zyskały one dla Uniwersytetu i szczególnie dla wydziału lekarskiego. Ale właśnie na tym wydziale zamiast wdzięczności, spotkałem się z zawiścią. Najzacieklej szykanował mnie prof. Becu za każdym razem, gdy rozprawy zawierały ustępy niezgodne z jego poglądami.

Dysertacja o krwiopluciu (pneumorrhagia), którą pod moim kierunkiem napisał p. Collignon, jeden z najwybitniejszych moich uczniów, miała na celu obalenie metody Browna, leczenia wszelkich krwotoków z płuc za pomocą leków podniecających. P. Becu zażądał od rektora, aby odnośne ustępy w rozprawie zostały wykreślone, na co rektor się zgodził. Wtedy wysłałem do niego list następujący.

„Szanowny Panie.

Ustęp w rozprawie p. Collignona, dotyczący systemu Browna, wyraża moją w tej kwestji opinię, jak również

opinię najznakomitszych lekarzy europejskich. Ponieważ wspomniany ustęp omawia kwestję z zakresu medycyny praktycznej, upraszam tedy o zabronienie innym osobom wtrącania się do niej. Brakuje tylko tego, abym napracowawszy się nad rozprawami moich uczniów, musiał jeszcze zwalczać wybryki moich kolegów-profesorów. Ja nigdy Uniwersytetu nie skompromitowałem i pragnąłbym, aby inni robili dla jego chwały tyle, ile ja robię. Mam nadzieję, że bezstronność, do jakiej obowiązuje pana jego stanowisko, nie pozwoli Panu zgodzić się na wykreślenie ustępu, do którego przywiązuję szczególną uwagę.

Proszę przyjąć wyrazy i t. d.

Józef Frank“.

A oto dosłowna odpowiedź rektora.

„Szanowny Panie. Nie do mnie należy wtrącać się i wydawać sąd w kwestjach lekarskich, ale pański rozum i poczucie sprawiedliwości, uznają słusność i konieczność zasady, iż młodzieży, opuszczającej szkołę, przystoi we wszystkim skromność, delikatność i nawet nieśmiałość. Tymczasem u młodzieży polskiej zarozumiałość i chępliwość są niemal główną wadą, z którą należy walczyć. Być może, iż sąd o Brownie i jego wyznawcach jest słuszny, ale sposób wyrażania się w rozprawie p. Collignona jest za ostry i rażący w ustach młodego ucznia. Oczekuję od pańskiej bezstronności i dbałości o dobro Uniwersytetu, że pan sam zażąda złagodzenia wspomnianych wyrazów. Łączę i t. d....“

Cóż mi pozostawało jak nie ustąpić wobec argumentu o wadzie narodowej, od której sam pan rektor nie był zabezpieczony, ani wyleczony.

W moich wykładach, tam, gdzie medycyna stykała się z naukami moralnymi, lub fizycznymi zawsze starałem się obudzać poszanowanie dla religji i dla władzy, aby nikt nie mógł zrobić nam zarzutu, że uczymy młodych lekarzy patrzeć na człowieka tylko jako na wytwór natury a nie jako na jednostkę, złączoną z podobnemi sobie węzłami

socjalnemi, o czym nie należy nigdy zapominać. Przy-
stępując do pisania podręcznika szkolnego medycyny
praktycznej, wybrałem drogę wręcz przeciwną tej, jaką
kroczyli moi poprzednicy, którzy poprzestawali na poda-
nię nauki w streszczeniu, zaś szczegółowe wyjaśnienia
dawali podczas lekcji. Ja zaś miałem zamiar przedstawić
naukę w całej tej że objętości, a z katedry żywem słowem
dawać streszczenia. Słowem, pragnąłem, aby dzieło moje
mogło dla moich uczniów zastąpić, że tak powiem, bi-
bliotekę, ponieważ byli oni w Rosji pozbawieni możności
łatwego dostawiania książek.—Chciałem też zapoznać ich
z literaturą medyczną za pomocą wyciągów i cytat z prac
klasycznych pisarzy, ale przedewszystkiem chodziło mi
o to, aby moje dzieło było oparte tylko na faktach i nie
zawierało żadnych hipotez, chyba, że były one potrzebne
w części historycznej, albo dla wykazania jak niebezpie-
czną jest manja chcieć wszystko wytłumaczyć. Takiej to
olbrzymiej pracy ułożenia kodeksu medycyny praktycznej
miałem się poświęcić.

Mając 37-y rok wierzyłem, że doprowadzę swoje
przedsięwzięcie do końca wbrew przysłowiu „*A r s l o n g a , v i t a b r e v i s*“. Posiadałem przytem notatki mego
ojca, które stale pomnażałem skrzętnie zapisując i notując
to wszystko, cò sam czytałem i obserwowałem. Jedno-
cześnie część swoich postrzeżeń zachowywałem dla
A c t a c l i n i c a, a że klinika nie dawała mi dostatecznej
ilości interesujących faktów, któremi co rok mógłbym ca-
ły tom zapełnić, więc postanowiłem na przyszłość rza-
dziej tę pracę ogłaszać drukiem.

K r u p był już znany lekarzom wileńskim i nawet je-
den z nich, mianowicie prof. Matuszewicz, napisał o tej
chorobie artykuł drukowany w jednym polskim wy-
dawnictwie ¹⁾. Publiczność dowiedziała się z gazet, że
właśnie z tej choroby umarł syn Ludwika Bonapartego,
króla Holandji i że cesarz Napoleon d. 4 czerwca 1807 r.

¹⁾ Dziennik Wileński. T. II, str. 196 i t. III, str. 280.

przeznaczył 12 tysięcy franków jako nagrodę lekarzowi
za ogłoszenie najlepszego sposobu leczenia tej choroby.
Pomimo to wszystko krup znany był Litwinom tylko
z nazwy. Pewnego dnia zostałem wezwany do Amelji
Abbt. Nie widziałem tak miłego dziecka. Rodzice sądzili, że
dostała ona zwykłego kataru, bo dziecinka była wesola i
bawiła się. Raz tylko jeden zakaszłała ona w mojej obec-
ności, ale dźwięk tego kaszlu odrazu wzbudził we mnie
podejrzenie na krup. Ponieważ pani Abbt lada dzień spo-
dziewała się połogu, przeto o mojem przypuszczeniu po-
wiedziałem tylko jej mężowi i przyrzekłem przyjść za
kilka godzin, aby wyjaśnić moje wątpliwości. I tym ra-
zem ogólny stan dziecka był zadawalniający, pomimo to
polecilem, aby, nie zważając na porę dnia, posłano po
mnie natychmiast, jeżeliby nastąpiła jaka zmiana w cho-
robie. Jakoż zostałem wezwany tej samej nocy, rozpozna-
łem straszną chorobę i nie skryłem mojej wątpliwości,
czy mi się uda ją zwalczyć. Zaleciłem pijawki na krtań, ka-
lomel i zażądałem zwołania konsyljum. Dziecinka umarła
nazajutrz. Nieszczęśliwa matka powiedziała mi, że zwró-
ciłaby się do mnie na samym początku choroby swej
córkki, gdyby miała pojęcie o tem, w jaki sposób krup się
rozpoczyna. To wyznanie zachęciło mnie do napisania
po polsku niewielkiego artykułu o krupie ²⁾ i do przed-
stawienia Towarzystwu lekarskiemu potrzeby wydruko-
wania w Kurjerze Wileńskim odezwy do publiczności,
a to w celu, aby rodzice niezwłocznie zwracali się do le-
karzy, jak tylko spostrzegą u swoich dzieci pewne obja-
wy. Towarzystwo lekarskie z uznaniem przyjęło moją
propozycję i poleciło mi ułożyć odezwę. Było to bardzo
wiele ze strony Towarzystwa, które wskutek nalegań p.
Becu zaprzestało drukowania we wspomnianej gazecie
sprawozdań z naszych posiedzeń, pod pretekstem, że ta-
kie sprawozdania, zawiadamiając o panujących chorobach,

²⁾ O rozpoznawaniu i leczeniu choroby krtani Croup
zwanej. Wilno. 1808, 8^o z tablicą.

niepotrzebnie trwożą publiczność. Istotną zaś tego przyczyną było to, że p. Becu przez lenistwo rzadko na posiedzenia przychodził i był nierad, że w drukowanych sprawozdaniach nie figurowało jego nazwisko.

Co prawda później przekonałem się, że jest pożądane, aby w prasie ogólnej były jak najmniej poruszane kwestje lekarskie. Mojem zdaniem należało je drukować po łacinie wyłącznie w pismach medycznych nietylko w celu niedopuszczenia profanów do wtrącania się w nasze sprawy, ale także dlatego, aby uniknąć paplaniny ludzi, którzy nie odbyli porządných studiów.

Do zmartwienia, jakie mi sprawiła śmierć maleńkiej Amelji Abbt, przyłączyło się nowe, a to z powodu śmierci innej mojej pacjentki, pani Baggo, żony wice-gubernatora, zmarłej z ciężkiego zapalenia płuc na piąty dzień choroby w wieku 52 lat. Z tego powodu ojciec napisał do mnie te słowa: „Bardzo naturalnie, iż śmierć osoby, którą szanowałeś i której zaufaniem cieszyłeś się, musiała ciebie głęboko zasmucić. Ale, niestety, czy jest na świecie taki lekarz, któryby nie znał podobnej bolesti? Wobec tak ciężkiego zapalenia płuc, jak to, któreś mi opisał, my lekarze zwykle jesteśmy bezsilni. Pogadają o tem dni kilka i przestaną, zaś reputacja, jaką się cieszysz, powinna nie pozwolić tobie przyjmować zbytnio do serca nieszczęścia, którego uniknąć nie było sposobu!“

Nie o reputację obawiałem się. Nie mogła ona ucierpieć, ponieważ kilka razy zwoływałem konsylja i od początku choroby nie ukrywałem niebezpieczeństwa, ale dręczyła mnie myśl, że być może popełniłem jakiś błąd w leczeniu. Podobnych udręczeń doznawałem i potem przez całe życie, gdy traciłem pacjentów, zmarłych z ostrych chorób.

Zmartwienie moje z powodu wspomnianych śmierci było tem dotkliwsze, że rodzice Rosjanie odmówili swego pozwolenia na dokonanie sekcji trupów, pomimo, że bardzo o nie prosiłem. Wielką pociechą dla lekarza jest, gdy dzięki autopsji może uspokoić siebie i przekonać in-

nych, iż przynajmniej rozpoznał chorobę, której nie można było wyleczyć. A zresztą, jakież to znakomite źródło dla nauki!

Pod tym względem Polacy są daleko rozsądniejsi od swoich sąsiadów wschodnich. Zdarza się niekiedy, iż przekraczają wszelkie granice. Oto przykład, o którym dotąd nie mogę wspomnieć bez zgrozy. W czasie, o którym mowa, leczyłem pana Walentynowicza, ojca księżnej Zubowowej, która potem wyszła zamaż za hr. Szuwałowa. Oświadczyłem rodzinie, że chory ma nieuleczalną organiczną wadę serca. Gdy po długich męczarniach nastąpiła śmierć, otrzymałem pozwolenie na dokonanie sekcji zwłok. Przez cały czas jej trwania był obecny rodzony brat zmarłego. Ten po drobiazgowem obejrzeniu serca, gdy się przekonał o trafności mojej dżagnozy, powziął do mnie bezgraniczne zaufanie i odtąd nie chciał słyszeć o żadnym innym lekarzu. Po latach kilku umarł on na tą samą chorobę. Najbardziej interesującą była dokonana przeze mnie sekcja zwłok hr. Tyszkiewicza, siostrzeńca ostatniego króla polskiego. Znalazłem nie tylko skostnienie aorty, ale także kamienie w nerkach i zwapnienia w płucach.

Na wiosnę tegoż roku musiałem śpiesznie pojechać do Lidy, do żony generała barona Korfa, chorej na malarję, o dość groźnych objawach, które dawki quinquiny wkrótce usunęły. Tam dopiero zrozumiałem, jak godnym pożałowania jest los pań, mających mężów wojskowych, szczególnie w Rosji. Chociaż Lida jest miastem powiatowem, gen. Korf musiał poprzestawać na trzech małych pokoikach w bardzo niewielkim domku drewnianym. Pomimo, że dzieliłem niewygody mieszkania, to jednak pobyt w Lidzie wspominam z przyjemnością, tembardziej, że mojej chorej nie groziło żadne niebezpieczeństwo. Rano towarzyszyłem generałowi na przeglądzie pięknych szwadronów dragońskich, których prześliczną muzykę słuchałem wieczorem, a w ciągu całego dnia korzystałem z miłego towarzystwa generała.

W tym czasie w Wilnie amatorowie z panią Choiseulową na czele, wykonali F e d r ę Racina, przetłumaczoną na język polski. Przedstawienie odbyło się w teatrze na rzecz Wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności i dało dochodu 4 tysiące rubli.

Codziennie w południe odwiedzałem chorą, mieszkającą w domu Orłowskiego, na rogu ulicy Szklanej, na przeciw Ratusza. Ponieważ rano d. 3 lutego byłem bardzo zajęty, a chora miała się lepiej, przeto odłożyłem swoją wizytę na wieczór. Tymczasem równo o 12 i pół dom, w którym mieszkała pacjentka, wyleciał w powietrze. Przyczyną katastrofy miał być wybuch baryłki z prochem, którą jeden z kupców trzymał w piwnicy. Następstwa eksplozji były straszne. Pięć osób straciło życie, a wielu odniosło ciężkie rany. Dla mojej chorej skończyło się tylko na przestraszu. Jak tylko dowiedziałem się o nieszczęściu, pośpieszyłem do domu, aby uspokoić Krystynę, poczem udałem się na miejsce katastrofy, gdzie opatrywałem rannych, dla których zebrałem między znajomymi składkę.

Ta katastrofa przypomniała mi anegdotę, którą kilkakrotnie słyszałem opowiadaną przez ojca, jako dowód, jak wielkie znaczenie ma niekiedy przytomność umysłu. Pewien kupiec miał na sprzedaż proch strzelniczy, który trzymał w otwartej skrzyni na strychu. Gdy pewnego dnia późno wieczorem przyszedł jakiś kupujący i gdy żadanego przedmiotu nie było w sklepie, kupiec posłał po niego służącą do składu. Po chwili służąca wróciła bez świecy, którą miała w ręku idąc na strych, i zapytana, co z nią zrobiła, odrzekła, że wróciła po lichtarz, który jej z rąk wypadł, a tymczasem świecę wetknęła do czarnej kaszy w skrzyni. Wiedząc, że żadnej czarnej kaszy w skrzyni nie było, kupiec domyślił się, że służąca umieściła świecę w skrzyni z prochem. Nie tracąc przytomności kazał jej iść na strych i przynieść świecę, a tymczasem sam z rodziną jak najspieszniej uciekł z domu.

Służa zaś najspokojniej powróciła z palącą się świecą w ręku.

Ponieważ choroba oka i ogólny stan naszego zacnego biskupa pogorszały się z dnia na dzień, poradziłem mu, aby korzystając z pięknej pory roku pojechał do Wiednia dla poradzenia się ze znakomitym okulistą Adamem Schmidtem. Ten posłał go do Badenu pod Wiedniem, gdzie biskup przebył aż do października. Śmierć dostojnego posterza była bolesnym ciosem dla założonego przezeń Towarzystwa Dobroczynności. Jedyne mój wydział nie odczuł ani jego nieobecności, ani też śmierci. Według ustawy, do obowiązków wydziału należało szczepienie ospy ochronnej ubogim dzieciom wileńskim. Nie poprzestałem jednak na tem i założyłem Instytut w a k c y n a c y i, którego zadaniem miało być rozpowszechnianie szczepienia w całym kraju, jak to widać z następujących paragrafów zatwierdzonego projektu.

§ 3. W instytucie będzie dokonywane bezpłatne szczepienie krowianki wszystkim dzieciom i innym osobom, które się zgłoszą, o ile stan ich zdrowia nie będzie stał temu na przeszkodzie. Instytut za małą opłatą będzie również dostarczał krowianki lekarzom i chirurgom na ich żądanie. § 4. Część otrzymywanego stąd dochodu będzie obracana na potrzeby kancelarji Instytutu, zaś pozostała część pójdzie na wynagrodzenie rodziców, którzy pozwolą zdejmować wakcynę ze swoich dzieci dla za-szczepienia tejeż innym. § 5. Wakcyna będzie brana tylko od dzieci zupełnie zdrowych i urodzonych ze zdrowych rodziców, wolnych od kołtuna i innych udzielających się chorób. § 6. Instytutem ma kierować prezes 3-go wydziału Towarzystwa Dobroczynności, i oprócz tego Instytut będzie miał własnego dyrektora (d-r Heiman, radca dworu i lekarz dykcji poczt litewskich), przy którym będzie adjunkt (d-r Bigulski-chirurg) i czterech pomocników, kolejno wybieranych z pomiędzy najpilniejszych i najzdolniejszych uczniów konwiktu skarbowego przy Uniwersytecie.

Jak to widać z treści przytoczonych paragrafów, zawsze byłem wierny moim zasadom, że tak powiem ekonomji dobroczynnej, która polegała na łączeniu interesów ubogich z temi całego społeczeństwa, szczególnie pod względem oświaty. Sądziłem (w r. 1808), iż mogę odważyć się dodać jeszcze następujący (12) paragraf: „wszyscy zaszczeni przez Instytut według opublikowanych prawideł (w których uwzględniono wszelkie ostrożności, aby zapewnić powodzenie wakcynacji), otrzymują poświadczenie, iż ich wakcyna była typową i że Instytut ręczy, że nie zachorują oni na ospę naturalną“. Czy uwierzono temu? Aż do mego wyjazdu z Wilna w r. 1823 nie było ani jednej reklamacji z powodu tego paragrafu, pomimo, że na Litwie była znana zmodyfikowana forma ospy naturalnej.

Otwarcie Instytutu wakcynacji nazaczyłem na d. 17 maja, jako dzień urodzin Jennera. Aby uczynić uroczystość imponującą, zaprosiłem wszystkie uznane powagi oraz najwybitniejsze osoby z pośród mieszkańców Wilna. W mojem przemówieniu na tej uroczystości znajdował się taki ustęp: „Przed laty pięciu miałem szczęście być obecnym w Londynie na uroczystości, którą Królewskie Towarzystwo rozpowszechniania wakcynacji urządziło na cześć Jennera, w celu upamiętnienia tego dnia, mającego tak doniosłe dla ludzkości znaczenie. Wzruszony tą uroczystością, w której nie odmówiło wzięcia udziału kilku członków rodziny cesarskiej, przejęty czcią i uwielbieniem dla innych instytucji dobroczynnych, które widziałem w Wielkiej Brytanji, często mówiłem sobie: „Niewątpliwie ten kraj jest jedynym i pod tym względem żaden inny mu nie dorówna. Istotnie, alboważ istnieje jaki naród, któryby chciał i mógł tyle uczynić?“ Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak bardzo dobroczynny jest naród polski. Mam nadzieję, że nikt w tem oświadczeniu mojem nie dopatrzy pochlebstwa (prawda, prawda, zawołał generał-gubernator), ponieważ trudno, a nawet śmiem twierdzić, niemożliwe jest wskazać jedno

choćby miasto w Anglii, lub gdziekolwiekby indziej, które w stosunku do liczby swoich mieszkańców, dawałoby tyle na cele dobroczynne, ile daje Wilno w ciągu już lat kilkunastu“.

D-r Feliks Bartolozzi, lekarz włoski, mieszkający od dłuższego czasu na Podolu, przyjechawszy do Wilna w celu poznania jego instytucji oświatowych i dobroczynnych, był temi ostatnimi tak zachwycony, że powiedział mi: — „Doprawdy, Wilno zasługuje na to, aby w niem spoczęły zwłoki największego filantropa John'a Howarda¹⁾. — „Jak to?“ zapytałem. — „Wiadome jest panu, że Howard umarł w Chersonie, dokąd go przywiodły badania dżumy. Gdy w podobnym celu odwiedziłem to miasto, przede wszystkim postarałem się dowiedzieć, gdzie on został pogrzebany. Powiadano mi, że zwłoki Howarda złożono w winnicy odległej od miasta o pięć wiorst i stanowiącej własność niejakiego Doffinée. Nazajutrz pojechałem tam i istotnie w zapadłym kącie winnicy odszukałem mogiłę wielkiego filantropa, nad którą to mogiłą, znajdowała się nędzna piramida z cegieł z wyobrażeniem niby Howarda, a które ledwie było podobne do postaci ludzkiej. Zasmucony takim nieuszanowaniem pamięci wielkiego człowieka, postanowiłem postawić mu pomnik marmurowy z odpowiednim napisem, ale na to potrzebna była zgoda właściciela winnicy i generała Witta, ówczesnego komendanta fortecy chersońskiej. Z łatwością otrzymałem pozwolenie, a nawet generał Witt bardzo wziął do serca wykonanie mego projektu, lecz na nieszczęście

1) John Howard, znakomity filantrop, zwany „przyjacielem ludzkości“, reformator więzień, szpitali i zakładów dobroczynnych ur. r. 1726 w Enfield umarł z dżumy r. 1790 w Chersonie. Na skutek jego przedstawienia rządowi angielskiemu w r. 1774 zapadło postanowienie parlamentu co do polepszenia losu więźniów. Podczas swoich podróży Howard zawsze i wszędzie stawał w obronie upośledzonych i uciskanych, a pisma jego wywołały ruch ożywiony na polu filantropji w całej Europie. (W. Z.).

został on przeniesiony na inną posadę. Zwróciłem się wtedy do hr. Potockiego, prosząc go, aby postarał się otrzymać pozwolenie na przeniesienie ciała Howarda do Tulczyna i wzniesienia mu tam mauzoleum, ale i ten projekt nie doszedł do skutku i cała sprawa poszła w zapomnienie. Teraz, myślę, iż byłoby to godne pana, gdybyś pan nakłonił wileńskie Towarzystwo Dobroczyńności do sprowadzenia do Wilna szczątków Howarda, złożenia ich w gmachu własnym, albo w uniwersyteckim ogrodzie botanicznym i postawienia pomnika. Cała Europa przyklasnęłaby hołdowi, złożonemu pamięci wielkiego człowieka“.

Wyznaję, że zapaliłem się do tego projektu (który był przedmiotem mojej korespondencji z Bartolozzim) i że pragnąłem jak najprędzej jego urzeczywistnienia z warunkiem, że będzie on godny Howarda. Ale w tym właśnie była trudność nie doprzewyciężenia, ponieważ przewiezienie zwłok i wzniesienie okazałego pomnika, były związane z olbrzymim kosztem. Trzeba było tedy wyrzec się zamiaru.

Za to wynagrodziło mnie powodzenie innych projektów, w których brałem mniejszy lub większy udział. Gabinet fizyczny otrzymał z Paryża jeszcze za 1000 ludendorów przyrządów; kupiono górę, przylegającą do ogrodu botanicznego, do którego włączono ją, wreszcie skończono budowę oranżerii kosztem siedmiu tysięcy rubli. Cesarz ofiarował 50 tysięcy rubli na budowę teatru anatomicznego.

Nastąpiło otwarcie kliniki chirurgicznej, i nadzwyczajnym profesorem chirurgji został mianowany p. Niskowski. Liczba studentów medycyny na koszcie skarbowym wzrosła do 80-ciu. Prawdę mówiąc te ulepszenia w Uniwersytecie sprawiły mi większą przyjemność, aniżeli drogocenny pierścień, przysłany mi przez cesarza za leczenie żołnierzy. Podobne pierścienie otrzymali również moi koledzy, a p. Lobenwein, który przez ośm miesięcy stał na czele szpitala wojskowego, został obdarzony tabakierką, ozdobioną brylantami. Nagrody te za-

wdzięczaliśmy głównie p. Korsakowowi, który wkrótce powrócił z Petersburga, znalazłszy tam dość czasu, aby uzyskać dymisję bez pensji dla p. Bagniewskiego, gubernatora cywilnego. Nikt nie mógł zgadnąć, za co go taka niełaska spotkała.

Następcą jego został rzeczywisty radca stanu p. Brusiłow, przedtem gubernator połtawski. Był to człowiek uprzejmy i dbały o dobro publiczne. Szczególnie interesował się konwiktem skarbowym, którego byłem przełożonym. P. Brusiłow i jego córka, pani Hecewanowowa, prowadzili dom otwarty, i takiej, jak u nich, gościnności, dotąd nie spotkałem nigdzie. Te panie obdarzały mnie zaufaniem, zaś p. Śniadecki leczył gubernatora, który cierpiał bardzo z powodu kamieni nerkowych. Ten chemik wyobraził sobie, iż odkrył w platynie nowy metal, który nazwał *vestium*. Jego brat, rektor, na posiedzeniu publicznem zrobił z tego sprawę narodową. Już okrzyknięto Śniadeckiego, jako polskiego Bergmana, Klaprotha, Vauquelini, gdy pisma doniosły, iż najznakomitsi chemicy europejscy uznali, że pan wynalazca haniebnie się pomylił i że *vestium* jest urojeniem. Śniadecki nie miał odwagi zaprzeczyć i odtąd o *vestium* już nie było mowy

Panna Georges, znakomita francuska artystka dramatyczna, w drodze z Paryża do Petersburga zatrzymała się na krótko w Wilnie i jedyny wieczór, jakim rozporządzała, oddała p. Korsakowowi, który zrobił mi wielką przyjemność zaprosiwszy mnie i Krystynę. Zebrało się bardzo nieliczne towarzystwo. Panna Georges, której powiedziałem, że widziałem ją w Fedrze, deklamowała kilka scen z „Horacjuszów“, „Fedry“, „Atalii“, „Tankreda“ i z „Sida“. Chociaż zdawałoby się, że trudno jest sprawić wrażenie deklamacją bez kostjumu i innych warunków scenicznych, a jednak byliśmy poprostu oczarowani. Na spotęgowanie wrażenia wiele wpływała możność śledzenia zblizka mimiki anielskiej twarzy wielkiej artystki,

oraz ruchów jej przecudnych rąk. Gdy podano wieczerzę, p. Korsakow podał ramię pannie Georges, które to wyróżnienie wywołało niezadowolenie ze strony kilku pań, ale pani Choiseulowa skarciła je za ten niewłaściwy arystokratyzm.

Niedługo potem przyjechał inny, bardzo znakomity artysta, mianowicie p. Rode, który powracał z Petersburga do Paryża. W pierwszej z tych stolic przebył on niebezpieczną chorobę i ojciec mój uratował mu życie. Mówiono, że przyczyną choroby były zmartwienia i przykrości, doznane przez p. Rodego od policji rosyjskiej, która skonfiskowała jego notatki i nuty w nadziei, że znajdzie w nich klucz do tajnej korespondencji z rządem francuskim, o którą to korespondencję podejrzewano artystę. Jednak, sam cesarz Aleksander zadał kłam tym plotkom, zapytując mego ojca wobec całego dworu o stanie zdrowia artysty i uprzejmie dodając, że się nim bardzo interesuje. P. Rode bawił w Wilnie przez dwa tygodnie i był uprzejmie przyjmowany przez gen. Bennigsena. Dał on tu koncert, który mu przysporzył kilkaset dukatów.

Ponieważ artystom cudzoziemcom wcale się dobrze w naszym mieście powodziło, przeto odwiedzali je oni jeden po drugim. Wraz po p. Rode przybył p. Eloy, niezrównany skrzypek. Przywiózł on pani Frankowej list z Moskwy od sławnej śpiewaczki Maza, z którą poznała się ona w Wiedniu. P. Robertson, przygotowując się do wlotu na balonie, tymczasem pokazywał swoje obrazy ruchome i fantasmagoryczne. Przedstawiony p. Bennigsenowi, podjął się on skorzystać z wód, otaczających Zakret, by urządzić w ogrodzie kaskady. Uzyskawszy pozwolenie, p. Robertson świetnie się wywiązał z zadania i gen. Bennigsen był tak zadowolony, jak gdyby wygrał bitwę.

W tym czasie leczyłem panią Robertsonową, to też mąż jej, chcąc mi się wywdzięczyc, zaproponował, abym mu towarzyszył w jego podróży powietrznej, przyrze-

kając, że wzniesie się nie wyżej, jak na 100 sążni i wylądować jak tylko zechcę. Być może przyjąłbym propozycję, gdybym był profesorem fizyki, ale, jako profesor medycyny praktycznej nie miałem czego szukać w obłokach. Otrzymaawszy odmowę, p. Robertson prosił, abym dla zabawienia moich przyjaciół skorzystał z jego fantasmagoryi. Uczyniłem to w następujących okolicznościach.

Hrabina Olimpia Mostowska¹⁾ zanudzała gości p. Bennigsena kłamstwami (do czego jako księżniczka Radziwiłłówna, miała szczególne usposobienie²⁾ i opowiadania o strachach. Postanowiłem wyleczyć ją przynajmniej z tej ostatniej wady, a jednocześnie zabawić zebrane w Zakrecie towarzystwo.

Pamiędzy letniem mieszkaniem p. Bennigsena, a miastem, przy drodze znajdował się lasek jodłowy z kapli-

¹⁾ Znana pisarka, autorka kilku powieści, np. „Strach w Zameczku“ (ob. wyżej). (W. Z.).

²⁾ Niektórzy członkowie tego rodu opowiadali mi, że w liezbie przodków mieli oni kilku sławnych łgarzy, między innymi generała (Karol ks. Radziwiłł—„Panie Kochanku“) który opowiadał niestworzone rzeczy o swoich czynach wojennych. Przewidując jednak, że nikt jego opowiadaniom nie uwierzy, miał on zwyczaj powoływać się na swego dawnego adjutanta, któremu zapewnił życie bez troski, trzymając go przy swojej osobie. Ten dzielny człowiek nieraz znajdował się w nader kłopotliwym położeniu, nie chcąc potwierdzać kłamstwa, ale nie mogąc także ośmieszać swego dobroczyńcy. To położenie kłopotliwe stawało się tem przykrzejsze, gdy słuchaczom należały się pewne względy. Tak właśnie było, gdy generał Radziwiłł opowiadał królowi polskiemu o bitwie, w której on z kilku tylko towarzyszami stawił opór całej kawalerji tureckiej.

Spostrzegłszy, że król niebardzo zdaje się temu wierzyć, generał dodał:—„Tak Najjaśniejszy Panie, ale straciłem prawie wszystkich moich żołnierzy“ i, zwracając się do swego adjutanta, zapytał:—„Nie prawda?“ Ten odrzekł na to:—„Nie mogę o tem wiedzieć, książę, ponieważ i ja byłem w liezbie zabitych“.

ca-grobowcem księżnej Repninowej¹⁾. To właśnie miejsce wskazałem p. Robertsonowi dla jego „fantasmagoryi“. — „Gdy pani Mostowska, powiedziałem mu, będzie dziś wieczorem przejeżdżała tędy, niech pan otoczy jej powóz błędnymi ognikami“. Jakoż wpadła ona do Zakretu przerażona i z przesadą opowiedziała o tem, co ją w drodze spotkało. Całe towarzystwo odpowiadało, że nie wierzy jej opowiadaniom, a gdy w kwadrans potem przyjechałem, wszyscy rzucili się do mnie, zapytując, czy nie widziałem w drodze nic nadzwyczajnego?

— „Nic absolutnie“, odpowiedziałem, a po chwili niby namysłu, dodałem: — „Muszę jednak powiedzieć, że około grobowca księżnej Repninowej konie moje czegoś się przelękły, chociaż dotąd nigdy to im się nie zdarzało. — „Słyszycie państwo!“ zawołała pani Mostowska i zaczęła prosić gen. Bennigseną o gościnność na noc, przy sięgając, że za nic na świecie nie zgodzi się wracać w nocy do miasta.

P. Bennigsen przeprosił, że nie może jej zatrzymać, ponieważ właśnie odnawiają i malują pokoje gościnne. Wtedy wszyscy zebrani przyrzekliśmy pani Mostowskiej towarzyszyć jej po wieczery aż do rogatek miejskich.

Z niecierpliwością czekaliśmy końca kolacji, aby wyruszyć w drogę, ale przedtem jeszcze umówiliśmy się, iż będziemy udawać, że nic nie widzimy z tego, co nas miało spotkać. Byliśmy jeszcze daleko od p. Robertsona, gdy ujrzelśmy mnóstwo błędnych ogników. — „Widzicie państwo, widzicie!“ zawołała hrabina Mostowska, na co odpowiedzieliśmy zgodnym chórem: — „Co takiego? Co się pani śni? nic nie widzimy“. Jak tylko zrównaliśmy się z grobowcem, ukazała się z niego biała dama, która w miarę posuwania się ku nam, przybierała coraz bardziej olbrzymie rozmiary. Na ten widok pani Mo-

¹⁾ Kapliczka ta. wzniesiona przez pierwszego wielkorządcę Litwy ks. Repnina nad mogiłą żony, istnieje dotąd przy wjeździe do Zakretu po prawej stronie drogi. (W. Z.).

stowska zaczęła wydawać nieludzkie krzyki i tak drzeć na całym ciele, że obawiając się o jej zdrowie, powiedziałem: — „Uspokój się pani, czyś pani zapomniała o obecności w Wilnie Robertsona?“

Zamiast wdzięczności za uspokojenie, zaprzysięgła mi, jako autorowi mistyfikacji, nieubłaganą wojnę, ale odtąd już nie opowiadała nam historii o strachach.

W ciągu tego roku odwiedziło Wilno kilka wybitnych osobistości. Pierwszym był p. Pozzo di Borgo¹⁾, który w końcu marca znowu jechał do Petersburga z misją dyplomatyczną od Austrii i Anglii. Misja ta miała prawdopodobnie związek z wypadkami r. 1809. I tym razem p. Pozzo di Borgo mieszkał u nas i często widywał się z p. Bennigsenem

Hrabia Koczubey, który, jak o tem będzie niżej, porzucił ministerjum spraw wewnętrznych, również zatrzymał się z żoną w Wilnie na trzy dni. Ponieważ było to w końcu lipca i rektor spędzał wakacje na wsi, więc napisał do mnie, prosząc, bym zastąpił go w przyjęciu w imieniu Uniwersytetu dostojnych gości. Nie opuszczałem też ich ani na chwilę i nawet towarzyszyłem na obiad, wydane dla nich przez p.p. Bennigseną, Korsakowa i Brusilowa. Hr. Koczubeyowi bardzo się podobały nasze zakłady naukowe i dobroczynne i ze szczególną przyjemnością rozmawiał o Litwie z profesorem Szymonem Malewskim.

Ks. Adam Czartoryski przybył do Wilna zaraz po wyjeździe swego starego kolegi. Zawiadomiony o jego przybyciu, rektor pośpieszył z powrotem do miasta. Kurator po raz pierwszy zobaczył powierzony sobie Uniwersytet, ale czas wakacyjny był źle wybrany dla wizytacji. Z zakładów oglądanych przez księcia czynne były jedynie „clanicum ambulatorium i instytut walcynacyi. Był on również na moich wy-

¹⁾ Ob. wyżej—przypisek.

kładach metodologii lekarskiej dla kilku studentów na koszcie skarbowym, którzy z powodu znacznej odległości ich miejsc rodzinnych, woleli spędzić dwa miesiące wakacyjne w Wilnie, ja zaś nie chciałem pozostawiać ich bez zajęcia. Kurator był niezmiernie zadowolony z mojej gorliwości i mnie jednego tylko z członków Uniwersytetu zaszczylił swoją wizytą. Był wesoły, rozmówny i bez owej sztywności, z którą spotkał mnie w Petersburgu. Wolałbym nawet, aby był bardziej imponujący i nie tak się zaniedbywał. Podejrzliwość, z jaką badał sprawy, stanowiła rażącą sprzeczność z postępowaniem pod tym względem hr. Koczubeya.

Ponieważ p. Karp nie mógł się zdecydować na operację, przeto Pajola nakoniec rozstał się z nim, otrzymawszy przeszło sześć tysięcy dukatów. Miał Pajola szczęście, że nie operował p. Karpia, albowiem, gdy ten w parę lat potem umarł, znaleziono oprócz kamienia w pęcherzu, także kilka kamieni w nerkach i znaczne zmiany w narządach wewnętrznych. Wyjazd p. Pajoli, któremu zawdzięczam przysłany mi dyplom na członka Towarzystwa lekarskiego w Wenecji, był dla mnie tem przykrzejszy, że w tym samym czasie straciłem towarzysza przechadzek p. Capellego. Ten profesor, korzystając z ferji letnich, wybrał się w podróż do Niemiec północnych, aby zapomnieć o miłości, jaką wyobrażał sobie, że pałał ku niejkiej pani Wolskiej, która znakomicie bawiła się niedoświadczaniem zakochanego. Ale, gdy ten użył w liście do niej wyrazów: „nasz stosunek“ (notre liaison), pani Wolska rozgniewała się i zamknęła drzwi przed p. Capellim, który, choć biegły w języku francuskim, niebardzo rozumiał znaczenie wyrazu „liaison“: Wymowę miał znośną, ale zamiast u, wymawiał ou. Gdy pewnego razu zamiast L u n e, powiedział: L o u n e, prof. Grodek-Niemiec, chcąc go poprawić, wpadł w drugą ostateczność. — „Nie mówi się L o u n e, zawołał on, tylko L i n e“.

ROZDZIAŁ XV.

R. 1808.—Petersburg.—Śmierć W. Księżniczki Elżbiety.—
Dymisja Jana Piotra Franka i jego wyjazd z Rosji.—
Przygody w drodze.—Moskwa.—Kijów.—Wiedeń.—
Wilno.—Zatarg Józefa Franka z Uniwersytetem.

Wszystko się składało w ten sposób, aby utwierdzić mego ojca w zamiarze jak najprędzszego opuszczenia Petersburga. Protektor ojca, hr. Koczubey, przestał być ministrem spraw wewnętrznych i niewiadomo było, jak mój ojciec będzie widziany przez jego następcę, księcia Aleksego Kurakina. Jednak pierwsze jego kroki nie wróżyły nic dobrego. Gdy d. 18 (30) stycznia mój ojciec przyjechał na zwykłe posiedzenie w Akademii Medyko-chirurgicznej, p. Gajewski, jego asystent, powiedział mu, że minister tylko co rozkazał aptekarzowi dwóch szkół klinicznych nie zwlekając jechać do armii finlandzkiej i nie dał mu zastępcy. Ponieważ zima r. 1807—1808 była niezwykle łagodna i zdrowie ojca było w niezłym stanie, to też oświadczył on gotowość rozpoczęcia wykładów klinicznych i terapii szczegółowej. Po kilku jednak lekcjach, z rozkazu cesarza znowu zabrano mu wszystkich studentów 4-go kursu i posłano ich również do szpitali finlandzkich. Pisał on do mnie z tego powodu:

„Biedne dzieci płakały żegnając się ze mną. Przyznaję, że uważam tę rozłąkę, jako ostatni cios, wymierzony we mnie w tym kraju“.

Ponieważ wspomniani studenci nie ukończyli całego kursu medycyny, sumienie nakazywało memu ojcu oświadczyć, że składa z siebie wszelką odpowiedzialność za zło, jakie niewątpliwie wyniknie, jeżeli im będzie powierzone leczenie chorych.

Wśród tych okoliczności cesarzowa-matka podczas obiadu zapytała mego ojca, czy ma on wielu uczniów? Opowiedziawszy o tem, co go już po raz drugi spotkało, ojciec mój dodał, iż pragnąłby, aby mu nie przeszkadza-

no w jego zamiarze choć raz dać Rosji skończonych lekarzy. Na to cesarzowa odrzekła: — „Wiadomo panu, panie Frank, że wobec braku osób, chcących studjować medycynę, kazałem, aby z 300 chłopców, opuszczających co roku mój dom podrzutków w Moskwie, pięćdziesięciu przygotowano do odbycia studjów lekarskich. Tych młodych ludzi, jako najzdolniejszych, przyszlę do pańskiej szkoły i upewniam pana, że nikt mu ich nie odbierze przed ukończeniem nauk“.

Mój ojciec złożył ukłon i zauważył, iż pragnąłby tego bardzo, ale wątpi, czy zdrowie pozwoli mu ich wykształcić, a gdy cesarzowa żądała kategorycznej odpowiedzi, poprosił o sześć tygodni zwłoki.

D. 19 stycznia minister spraw wewnętrznych odwiedził Akademię medyko-chirurgiczną. Mój ojciec, jako rektor, spotkał go, przedstawił profesorów, poczem pokazał klinikę lekarską. Stąd minister udał się na obiad studentów i uznał go za mało pożywny, widząc, że zupa jest bardzo wodnista. Inspektor tłumaczył się szczupłością środków. Po obejrzeniu wszystkiego i wysłuchaniu skargi mego ojca na zabranie mu uczniów i aptekarza, minister odpowiedział, że uczniowie zostaną prędko wróceni, z wyjątkiem kilku, którzy będą zatrzymani, jako pomocnicy w szpitalach. Co do aptekarza, to odwołano go z rozkazu cesarza, ponieważ nie można się obejść bez niego w nowozałożonym szpitalu na 6 do 10 tysięcy chorych. Na uwagę, że bez aptekarza trzeba będzie zamknąć dwie szkoły kliniczne, minister odrzekł, iż można postarać się o innego. Opuszczając zakład minister powiedział: — „Proszę być cierpliwym, panie Frank, wszystko się naprawi, gdy się rozejrzę i zaprowadzę porządek“. Na to mój ojciec odpowiedział: — „Najzupełniej wierzę księciu, ale nie dowierzam samemu sobie, ponieważ dzięki tutejszemu klimatowi zdrowie moje jest zrujnowane“. D. 4 lutego, w dzień galowy, na przyjęciu dworskiem ks. Kurakin podszedł do mego ojca ze słowami: — „Otrzymałem od cesarza zapewnienie, że na przyszłość nigdy

nie będą panu odbierani uczniowie przed ukończeniem przez nich nauk i jeżeli pan zechce i nadal nimi kierować, zasługi pańskie będą należycie ocenione, ale Najjaśniejszy Pan chciałby mieć pewność, że pan pozostanie na jego służbie“. Na to mój ojciec odrzekł, iż nie jest pewny, czy zdrowie jego oprze się złemu wpływowi klimatu petersburskiego, ale w każdym razie gotów jest spróbować.

Tego samego dnia, gdy po nabożeństwie ojciec czekał w sali na audjencję i miał przed sobą tylko hr. Aleksego Razumowskiego, cesarz rozpoczął rozmowę z tym ostatnim, nie zwracając uwagi, kto za nim stoi. Ten dowód obojętności przekonał mego ojca ostatecznie o tem, co ma sądzić o pięknych słówkach ministra, to też postanowił starać się o uwolnienie z zajmowanych posad i uprzedził o tem cesarzową, której przyrzekł, że pozostanie do maja, kiedy jej córeczka skończy półtora roku i nastąpi czas odłączenia od piersi. Jej Cesarska Mość zaprosiła go do swego gabinetu i z największą uprzejmością powiedziała, że, chociaż ma do niego zupełne zaufanie i chociaż wyjazd jego sprawi jej ogromną przykrość, to jednak musi przyznać słuszość motywom, które na jego postanowienie wpłynęły, ale ma nadzieję, że zechce on od czasu do czasu przysyłać o sobie wiadomości i udzielać porad, szczególnie dla jej dziecka. Słyszac te miłe i łaskawe słowa ojciec mój głęboko wzruszony odrzekł, iż Jej Cesarska Mość wraca mu życie, zapewniając o swych wysokich dla niego względach.

Od Cesarzowej ojciec udał się do obermarszałka dworu i oddał mu przygotowane podanie o dymisję dla wręczenia cesarzowi, co też hrabia Tołstoj przyrzekł w najbliższym czasie wypełnić, przyczem wyraził ubolewanie z powodu jego postanowienia ¹⁾.

¹⁾ W „pamiętnikach“ znajduje się dosłowna kopja tego podania, w którym J. P. Frank, wyliczywszy wszystkie swoje zasługi, przebyte choroby, śmierć córki i t. d. prosi o dymisję, oraz o zachowanie mu umówionej emerytury, pomimo, że przebył w Rosji tylko połowę czasu zastrzeżonego w kontraktach. (W. Z.).

Jednocześnie mój ojciec zawiadomił o podaniu prośby o dymisję cesarzową-matkę, a także hr. Zawadowskiego, ministra oświaty i księcia Kurakina, ministra spraw wewnętrznych. Ten ostatni w uprzejmym liście prosił mego ojca o wskazanie jednego ze swoich uczniów zagranicznych, któryby mógł go zastąpić i prowadzić wykłady według jego metody.

Ukaz dany Rządzącemu Senatowi

Lekarzowi korpusowemu, Rzeczywistemu Radcy Stanu Frankowi, zgodnie z jego prośbą, dajemy pozwolenie opuścić Naszą służbę i rozkazujemy, aby aż do końca życia wypłacano mu trzy tysiące rubli asygn.

S. Petersburg. d. 25 lutego 1808 r.

Na oryginale podpisano ręką

Kontrasygnowano
Aleksy książę Kurakin,

Jego Cesarskiej Mości
Aleksander.

Ponieważ w owym czasie dukat holenderski zawierał pięć rubli asygnacjami, tedy emerytura wynosiła 7200 franków. Do tego należało dodać odsetki od oszczędności ojca, stanowiących 80 tysięcy rubli asygn., które były ulokowane w banku cesarskim w Petersburgu. Gdy kurs asygnacji zaczął spadać, poradzono ojcu, aby zamienił na nie posiadane złoto i kosztowności, ponieważ spodziewano się, że zawarcie pokoju wpłynie na zwyżkę kursu asygnacji. Na nieszczęście poszedł on za tą radą i to naraziło go na znaczną stratę, gdyż w tym czasie, dukaty sprzedane przez niego po 3 i trzy ćwierci rubli, poszły w górę i płacono za nie po 5 rs. Nie mówiąc już o latach następnych, kiedy papiery spadły tak bardzo, że za dukata płacono 12 rubli.

Pozostało memu ojcu jeszcze jedno źródło powiększenia kapitału, mianowicie sprzedanie biblioteki, którą woził ze sobą z Brukseli do Getyngi, stamtąd do Padwy, z Padwy do Wiednia, potem do Wilna, a stąd znowu do

Petersburga. Książnica nieco straciła na wartości, ponieważ ubyły z niej książki, zatrzymane przeze mnie, ale były to dzieła dotyczące wyłącznie medycyny praktycznej. Poza tem miała ona skompletowane wszystkie działy, szczególnie dział Policyi Lekarskiej i Sądowej Medycyny. Chociaż ten ostatni dział był jeszcze ojcu potrzebny dla dokończenia swojej „Policyi Lekarskiej“, tak go jednak przerażał koszt, jakiby pociągnęło za sobą przewożenie biblioteki do Niemiec, gdzie miał zamiar zamieszkać, iż zaproponował kupienie książnicy ministrowi oświaty.

Pragnąłbym bardzo, aby bibliotekę nabył Uniwersytet Wileński, ale nie mogłem mu tego zaproponować w obawie, aby nie posądzono mnie o interes osobisty, a zresztą kupowanie książek było najmniejszą z trosk naszego kuratora i rektora. Dopiero po długich pertraktacjach minister zdecydował się zaproponować cesarzowi kupienie biblioteki za 20 tysięcy rubli asygn. Jego Cesarska Mość rozkazał nabyć ją dla Uniwersytetu w Kazaniu.

Wzruszającym było pożegnanie mego ojca z książkami, które miały być wywiezione do Azji, a za które otrzymane 20 tysięcy rubli było bardzo nieznacznym wynagrodzeniem, ale, dodane do jego oszczędności, tworzyły kapitał 100 tysięcy rubli, które zostały ulokowane w cesarskim banku petersburskim, a że bank płacił 5 proc., przeto ojciec mój miał rocznego dochodu pięć tysięcy rubli. Pomimo, iż z chwilą wyznaczenia emerytury, ojcu przestano wypłacać dotychczasową pensję, jednak aż do Wielkiej Nocy miewał on wykłady w Akademji, za co otrzymał od ministra Kurakina listowne podziękowanie, na które wraz odpisał, a spełniając uprzednią prośbę ministra, zarekomendował na opróżnioną przez siebie katedrę w Akademji jednego z czterech lekarzy następujących: 1) De Brera, prof. medycyny w Padwie; 2) D-ra Horna, lekarza szpitala Charité w Berlinie; 3) D-ra Kreisiga, lejb-medyka króla saskiego i 4) D-ra Autenrietha,

prof. medycyny w Tubingen. Minister, dziękując za wskazanie kandydatów, prosił, aby J. P. Frank polecił synowi swemu porozumieć się z prof. Brera w sprawie objęcia przez niego katedry medycyny praktycznej w petersburskiej Akademii medyko-chirurgicznej

Chętnie spełniłem polecenie ministra i z niecierpliwością oczekiwałem odpowiedzi od p. Brera, a tymczasem otrzymałem od ojca list następujący:

Petersburg, 1 maja.

Drogi Synu.

Nie przypuszczałem, że przed wyjazdem z Petersburga wypadnie mi jeszcze opłakiwać śmierć w. księżniczki Elżbiety. Tymczasem ta zachwycająca dziewczyna została nam zabrana po ciężkiej dziesięciodniowej chorobie, której ofiarą padła wczoraj o godz. 7-ej rano. Możesz sobie wyobrazić moją rozpacz, wiedząc, jak bardzo byłem przywiązany do tego dziecka i jego nieszczęśliwej matki. Boleść moja i przygnębienie może się zmniejszać, gdy się niemi z tobą podzielę i opiszę ci szczegóły choroby. Wyrzynające się jednocześnie cztery zęby trzonowe i jeden kieł, wywołały konwulsję, których dziecko nie wytrzymało. Od trzeciego dnia choroby z rozkazu cesarza leczyłem maleństwo wspólnie z d-r Crichtonem. Na 7-y dzień przyłączył się do nas mój następca, d-r Stoffragen, tylko co przybyły z Rygi. Wszyscyśmy zgodzili się na to, że przyczyną choroby było niezmiernie trudne ząbkowanie. Chociaż dotąd nic nie wskazywało na porażenie mózgu, to jednak byłem zaniepokojony bardziej od moich kolegów, i rokowanie moje było wątpliwe. Na 8-y dzień chora bezustannie podnosiła rączki do główki i chwilami występowały w nich skurcze, chociaż puls był tylko zlekka gorączkowy. Na 9-y dzień wystąpiły ruchy konwulsyjne w gałkach ocznych, które wkrótce zawróciły się ku górze. Dziaśła jednak były bardzo nieznacznie napięte i zapalone, co potwierdził i dentysta nadworny.

Domyślasz się, że przypuszczałem wodę w głowie, ale, aż do dwóch dni ostatnich niczem się ona nie objawiła, zresztą sam wiesz, do jakiego stopnia objawy tej choroby są niepewne i wątpliwe. Dopiero na 9-ty dzień Crichton zaproponował nacięcie dziąseł. Dziecko było już bardzo słabe. D-r Stoffragen i ja nie sprzeciwialiśmy się operacji, ale oświadczyliśmy, że nigdy nie widzieliśmy, aby dała ona kiedy pomyślny wynik i że najwybitniejsi praktycy wcale jej nie zalecają. Crichton nie nastawał, ale po śmierci dziecka twierdził, iż należało spróbować zrobić operację. Nie będę ci opisywał szczegółów śmierci malutkiej, jak również stanu cesarzowej, która w tym samym dniu, w którym straciła jedynaczkę, otrzymała wiadomość o śmierci siostry, księżnej Brunświckiej, która umarła, wydawszy na świat martwe dziecko. Ileż to nieszczęść jest w życiu ludzi! Te smutne wydarzenia wstrzymały na pewien czas mój wyjazd z Petersburga. Sumienie i honor nie pozwoliłyby mi opuścić biednej matki w pierwszych chwilach bóleści. Pomimo całej doskonałości i wszystkich cnót, ta piękna dusza nie pocieszy się nigdy po takiej stracie. Mam jednak nadzieję, że za jakie dni 8—10 będę mógł pomówić z nią o moim wyjeździe, nie obawiając się zadrasnąć jej uczuć. Odczuwam konieczną potrzebę opuszczenia tych miejsc nieszczęśliwych i otrząśnięcia się z myśli żałobnych. Trwam w zamiarze jechania przez Moskwę i Kijów. Pociesza mnie tylko nadzieja zobaczenia się z wami. Do widzenia, drogi mój synu. Uściskam ciebie i Krystynę“.

D. 17 (29) maja mój ojciec pożegnał cesarzową, która ofiarowała mu na pamiątkę włosy zmarłej w. księżniczki w tabakierce, ozdobionej brylantami. Dnia następnego był on z pożegnaniem u cesarzowej-matki, która niezwykle uprzejmie zaprosiła go, by jej towarzyszył do Instytutu Panien, gdzie chciała mu pokazać tylko co urządzoną infirmerję. Znalazł on sporą liczbę chorych dziewczynek, przeważnie szkrofulicznych. Pragnąc, aby rekonwalescentki nie traciły czasu w bezczynności, Jej

Cesarska Mość kazała, by im zadawano lekcje, odpowiednio dla stanu ich zdrowia. Pielęgniarkami w infirmerji były dziewczyny wypuszczone z Domu podrzutków w ubiorach włściańskich, odznaczających się czystością. Po obejrzeniu zakładu, który nie pozostawiał nic do życzenia, Cesarzowa zaprowadziła mego ojca do nowego gmachu instytutu (stary budynek został przeznaczony na przytułek dla nieuleczalnych chorych). Ponieważ jedno skrzydło domu stało się pastwą pożaru, teraz je właśnie odbudowywano. Cesarzowa, żegnając mego ojca, powiedziała, iż wydała już rozkazy, aby, gdy będzie w Moskwie, pokazano mu utrzymywane tam przez nią zakłady dobroczynne i prosiła go, aby jej swoje zdanie o tych zakładach zakomunikował.

Pomimo, iż został już wyznaczony dzień pożegnalnej audjencji u cesarza, mój ojciec opuścił Petersburg nie dostąpiwszy tego zaszczytu. Czy stanęły na przeszkodzie jakie nieprzewidziane okoliczności, czy też miały miejsce intrygi, tego nie wiem. Za to wielkie księżniczki Katarzyna i Anna, oraz w. książęta Mikołaj i Michał, pożegnali go z właściwą im uprzejmością. Następujący fakt świadczy, jak wielką uwagę zwracano w wychowaniu wielkich książąt na przyzwyczajenie ich do grzeczności i uprzejmości.

Pewnego dnia w. książęta Mikołaj i Michał w towarzystwie gubernera schodzili po głównych schodach pałacowych, na które w tym samym czasie wstępował mój ojciec. Chociaż obaj bardzo grzecznie się uklonili, jednak gubernier nie był zadowolony i polecił im zawrócić i powiedzieć p. Frankowi kilka słów uprzejmych, co też oni jak najchętniej uczynili. Ojciec wyjechał z Petersburga 17 (29) maja w towarzystwie córki Karoliny (która nie przyjęła oświadczyn prof. Horna z Dorpatu) i dwóch służących. Jechali wielkim czteroosobowym powozem i oprócz tego mieli karetę oddaną do ich rozporządzenia przez hr. Szeremietjewa, który, mówiąc nawiasem, proponował memu ojcu taką samą pensję, jaką mu płacił ce-

sarz, byle tylko pozostał on w Petersburgu i zgodził się być jego lekarzem. Po drodze ojciec zwiedził Nowgoród, miasto potężne w wiekach średnich, które odegrało pierwszorzędną rolę w dziejach Rosji. Niestety, dziś jest ono wymownem świadectwem znikomości rzeczy ludzkich. W Twerze podziwiał on kanały, które łączyły morze Kaspijskie z Bałtykiem.

Pomimo okropnego stanu dróg, pocztyljoni lecieli na złamanie karku, nie zważając na spotykane po drodze przeszkody, ani też na krzyki podróżnych, którzy zaklinali ich, by nie jechali tak szybko, za co obiecywali im hojne napitki. Upór pocztyljonów, którzy bez przerwy śpiewali, gwizdali i często bywali pijani, szczególnie dawał się we znaki, gdy jechano przez bagna, na których, aby podróżni nie ugrzęźli, nakładano poprzek drogi rzędami bierwiona. Właśnie po takiej grobli ojciec jechał sam jeden w karecie, gdy przednie koła z taką mocą uderzyły o bierwiono na drodze, iż został on odrzucony w głąb powozu o szyby i tak silnie uderzył w głowę, iż padł bez czucia. Krzyk jego posłyszał służący, siedzący na koźle i wreszcie udało mu się zmusić pocztyljona do zatrzymania koni. Nadbiegła siostra i znalazłszy ojca okrwawionego, wskutek poranienia kawałkami szkła skóry na głowie, obmyła mu rany wodą z bagniska, jedyną, jaka była pod ręką. Tymczasem ojciec odzyskał przytomność i postanowił zanocować na pierwszej stacji. Przekonawszy się, że uderzenie i skaleczenie nie będą miały złych następstw, starał się uspokoić towarzyszków podróży i opowiedział im następującą anegdotę. Katarzyna II założyła się o sto tysięcy rubli z księciem Henrykiem Pruskim, który wtedy bawił w Petersburgu, iż każe go zawieść w 48 godzin do Moskwy na karnawał, który tam był szczególnie świetny i już się zbliżał ku końcowi. Książę, wiedząc, że od Petersburga do Moskwy liczą 725 wiorst (108 mil niemieckich), był pewny, że wygra zakład, czego w gruncie rzeczy chciała i cesarzowa i szukała tylko sposobności, by w delikatny sposób zro-

bić z tej sumy prezent swemu gościowi. Kazała ona jednak zawołać naczelnika poczty i zapytała go: — „Czy można zawieść księcia z Petersburga do Moskwy w 48 godzin?“ — „Jeżeli rozkażesz, to wola twoja musi być spełniona. Ciało jego z pewnością tam przybędzie, ale za duszę nie odpowiadam“. — „W takim razie urządź tak, aby podróż trwała 54 godziny i aby książę nie ucierpiał“. Tak się też stało i książę Henryk wygrał zakład.

Pomimo wyżej opisanych przygód, ojciec przyjechał do Moskwy d. 24 maja (5 czerwca) około godziny 4-tej rano. Ponieważ w tem wielkiem mieście nie było wcale hoteli w ścisłem tego słowa znaczeniu, z wyjątkiem dwóch zajazdów, utrzymywanych przy traktjerniach, przeto kilku magnatów petersburskich, stosując się do rosyjskiego obyczaju gościnności, oddali do rozporządzenia ojca własne pałace, zastrzegłszy sobie, że przez cały czas pobytu w Moskwie będą zaopatrywali go we wszystko, co tylko będzie potrzebne dla niego i jego rodziny. Nie mógł on jednak skorzystać z ich dobroci, ponieważ księżna Anna Golicyna umyślnie sama przed nim pojechała do Moskwy, by tam wszystko na jego przyjęcie przygotować. Ulokowała go ona w swoim domu na „D z i e w i c z e m P o l u“¹⁾. Jest to plac obszerny, na którym Piotr I kazał ściąć w obecności swej siostry Zofji znaczną liczbę zbuntowanych strzelców. Ojciec odwiedził grób tej księżniczki, niegdyś pięknej i rozumnej. W prostej trumnie kamiennej, przykrytej suknem czerwonym, znalazła ona spokój, którego nie miała za życia. Odszukał on w Moskwie p. Lodera i swoich dawnych uczniów p. p. Rehmana, Szmita i Haase, którzy świadczyli mu tysięczne grzeczności. Senatorowie Muchanow i Baranow, dyrektorowie instytucji dobroczynnych cesarzowej-matki, pierwszy szpitala dla biednych, a drugi podrzutek,

¹⁾ Jest to historyczne przedmieście Moskwy z klasztorem, w którym była więziona z rozkazu Piotra Wielkiego i tam umarła carówna Zofja. (W. Z.).

pierwsi przyjechali do niego z wizytą. Gdy ojciec, spełniając obowiązek grzeczności, pojechał do generał-gubernatora moskiewskiego, p. Tutołmina, ten go zatrzymał na obiad i poznał z najwybitniejszymi osobistościami stolicy¹⁾. Z największą dokładnością odpowiadał on na zapytania ojca, dotyczące Moskwy, to też wydało mu się dziwnem bardzo niecisłe obliczanie mieszkańców tej stolicy na 300, albo 400 tysięcy osób. Widząc zdziwienie ojca, generał-gubernator dodał:—„Ubiegłej zimy, jak i poprzednich, 11 tysięcy szlachty z 80 tysiącami służby przyjechało ze wsi do Moskwy dla zabaw, a z wiosną wszyscy wrócili do swoich dóbr“.

Ojciec poskładał wizyty najbardziej głośnym w Moskwie lekarzom i chirurgom, których zresztą już poznał na licznych konsultacjach, ponieważ codziennie bywał na kilka zapraszany. Największy szacunek jego zjednał sobie d-r Freze, cieszący się wielką sławą w kraju. Oceniał on także zasługi doktorów: Pekena, Jaenisha, Richtera, Szetera, Wüllena, Muchina, Kryłowa i kilku innych. Oprócz Domu podrzutek i Szpitala dla biednych, zostających pod opieką cesarzowej-matki, ojciec zwiedził również szpital Golicyna, i znalazł go urządzonym wzorowo. Nie można tego powiedzieć o klinikach, którym również, jak niektórym innym instytucjom lekarskim, nie jedno dałoby się zarzucić.

Nowo mianowany kurator Uniwersytetu Moskiewskiego, Aleksy hr. Razumowski, zamierzał wprowadzić znaczne ulepszenia w zakładach naukowych i można było spodziewać się, że to uczyni, ponieważ był znany, ja-

¹⁾ Bilet z zaproszeniem na obiad został przysłany przez ordynansa - podoficera, a że ranga cywilna rzeczywistego rady stanu odpowiada wojskowej generał-majora, kazano oficerowi by wręczył list generał-majorowi Frankowi. Spostrzegłszy, że ten nie mówi po rosyjsku, ordynans pokiwał głową i wyszedłszy powiedział w przedpokoju: „Teraz rozumiem, dlaczego nas zawsze biją. To dlatego, że mamy generałów, którzy nie umieją z nami rozmawiać!“

ko protektor nauk, a jego ogród botaniczny pod Moskwą był zachwycający. Na wielkim obiedzie u kuratora, mój ojciec miał sposobność poznać wybitniejszych uczonych moskiewskich, między innymi znakomitego profesora Reussa. Znajdował się tu również dyrektor muzeum przyrodniczego, prof. Fiszer ¹⁾, którego niegdyś ojciec znał w Wiedniu.

Brak czasu nie pozwolił mi na obejrzenie osobliwości Moskwy, z wyjątkiem Kremlu. D. 3 (15) czerwca opuścił ojciec Moskwę, udając się przez Tułę (185 wiorst od Moskwy) i Orzeł (369 w.) do Kijowa (852 w.). Po drodze podziwiał w tej części Rosji urodzajność i doskonałą uprawę roli. Był on zmuszony wyrzec się zwiedzenia w Tule fabryki broni i stali, ponieważ chciał mieć więcej czasu na obejrzenie osobliwości Kijowa. Tam bawił dwa dni, był we wspaniałej cerkwi przy klasztorze oraz w katakumbach ²⁾, w których znajduje się mnóstwo relikwii świętych, wystawionych w niszach dla zwiedzających katakumby pielgrzymów. Mój ojciec złożył hołd zwłokom latopisca Rosji, nieśmiertelnego Nestora, który w XI wieku mieszkał w tym klasztorze. Żadna pielgrzymka katolicka nie mogła dać wyobrażenia o zgromadzeniu tylu naraz kalek i paralityków, co kijowska, i ojciec mój pomyślał sobie, że, gdyby tak można było po śmierci tych nieszczęśliwych, zabrać ich ciała, to utworzyłby się najbogatszy na świecie gabinet patologiczny. Ojciec gorąco pragnął przed wyjazdem z Rosji

¹⁾ Gothelf Fischer de Waldheim, dr. Med., prof. w Moskwie. Znakomity przyrodnik, prezes Towarzystwa miłośników przyrody w Moskwie. Od r. 1823 był członkiem Wileńskiego Towarz. lekarskiego, które brało udział w obchodzie jubileuszowym Fischera i posłało mu ozdobny dyplom honorowy drukowany złotem, srebrem i kolorami na białej jedwabnej tkaninie. (W. Z.).

²⁾ Słynny monaster, czyli ławra Kijowo-Pieczerska, znajduje się pod Kijowem w południowej części Pieczerska. Posiada rozległe katakumby z grobem Nestora. (W. Z.).

uściskać mnie raz jeszcze (jak sądził—ostatni) i dlatego prosił, abym przyjechał do Kijowa dla widzenia się z nim. Nawet książe Czartoryski polecił Uniwersytetowi, aby mi dano urlop trzydniowy, przyczem nie szczędził słów uznania dla mnie i mego ojca, ale zastrzegł, aby ten urlop, udzielony profesorowi podczas roku szkolnego, nie był złym przykładem na przyszłość. Ja ze swej strony zaproponowałem ojcu, abyśmy się spotkali na granicy, skąd razem pojedziemy do Wiednia, gdzie spędzimy wakacje, poczem ja powrócę do Wilna na otwarcie roku szkolnego. Zrobiłem tę propozycję, aby jak najdłużej być z ojcem, a także dlatego, że pobyt w Wilnie po zerwaniu z panią K... stał mi się przykrym, a i zdrowie wymagało zmiany klimatu.

Ojciec odpisał mi: 1-o) że, wyjeżdżając razem z Rosji damy powód do domysłów, iż ojciec otrzymawszy dymisję, teraz buntuje syna, i 2-o) że, jeżeli sprawy sercowe zniechęciły mnie do Wilna, w takim razie chyba niema na ziemi takiego miejsca, do którego bym się nie zraził.

Uważałem za nieuzasadnioną obawę, aby nasz wspólny wyjazd miał być źle wytłumaczony, tem bardziej, że pozostawiałem w Wilnie zakładnika w osobie pani Frankowej. List mój, wysłany do Moskwy, poste restante, doszedł rąk ojca przed samym wyjazdem z tego miasta, to też był on mocno zaniepokojony mojem milczeniem. Ojciec udał się za granicę przez Żytomierz, Brody, Lwów, Ołomuniec i Berno i przyjechał do Wiednia d. 9 lipca. Już w Moskwie poczuł się zdrowszym, a jak tylko znalazł się w Niemczech, zdrowie jego znacznie się poprawiło, pomimo zmęczenia podróżą. Ojciec zajechał do swego domu na przedmieściu Alster. Pani Sattler, która podczas nieobecności ojca zarządzała domem, wydała na jego odnowienie 3 tysiące florenów.

Trudno o bardziej pochlebne przyjęcie, jak to, które spotkało ojca od publiczności wiedeńskiej. Nawet lekarze, których dochody, wskutek jego nieobecności, znacznie się zwiększyły, wyrażali radość z jego powrotu. Nie stanowił

wyjątku nawet p. Capellini... Jednak mój ojciec niebardzo się rozczulał nad jego zapewnieniami o przyjaźni, ponieważ pamiętał, jakich środków używał ten pan, aby zagarnąć jego pacjentów na długo jeszcze przed wyjazdem ojca do Rosji. Ojciec wolał popierać d-ra Malfati, dla którego dotąd nic nie uczynił, a który pomimo to wyrobił sobie pochlebną opinię, niż swego ziomka-rywala. Początek tedy kolosalnej fortuny tych dwóch lekarzy zależał od wręcz przeciwnych sobie przyczyn. Jeden zawdzięczał fortunę wyjazdowi, a drugi powrotowi ich projektora.

Ojciec nie miał zamiaru zamieszkać w Wiedniu na stałe, pragnąc osiąść w jakim niewielkim miasteczku dawnego cesarstwa Niemieckiego, np. we Fryburgu, albo Bresgen. Przyjaciele wiedeńscy napróżno usiłowali odwieść go od tego projektu. Ja znowu radziłem sprzedać dom na przedmieściu, zimę spędzić w Wiedniu, a lato w jakiej pięknej wili podmiejskiej. „Będąc zupełnie niezależnym, pisałem do ojca, nie będzie miał ojciec żadnych trosk, a nawet chorzy nie sprawią mu kłopotu, jeżeli ojciec poprzestanie na konsyljach. Dochód z takiej praktyki wynagrodzi straty poniesione na zniżce kursu asygnacji rosyjskich, które, chociaż z dniem każdym coraz bardziej spadają, ale na których zawsze jeszcze można zarobić, zamieniając je na bankocetle austriackie. Mieszkanie w Wiedniu da możliwość utrzymywania stosunków z Petersburgiem, że nie mówię już o stosunkach z Wilnem, gdzie mieszka twój jedynak. Piszesz mi ojczyźnie o tak zasłużonym przez ciebie odpoczynku po życiu burzliwym, oraz o potrzebie dokończenia twych prac. Ale czy nie obawiasz się ojczyźnie, że nagłe przejście od życia czynnego do zupełnego spokoju może ujemnie wpłynąć na twoje zdrowie? Wierz mi, drogi ojczyźnie, że na twoje postanowienie zamieszkania w małym miasteczku wpływają wspomnienia młodości. Niebawem jednak przekonasz się, że w takich miejscach ludzie umierają z nudów. Gdybyś przynajmniej miał upodobanie do fajki. Nie wyobrażaj

także sobie, że ciebie w takim Fryburgu pozostawią w spokoju. Znajdą cię tam chorzy, żądni rad twoich, tylko zamiast przedstawicieli wyższego towarzystwa, będzie to sąsiad piekarz, lub kto inny w tym rodzaju, a że to miasto leży niedaleko od twoich stron rodzinnych, gdzie masz sporo ubogich krewnych, z pewnością będziesz przez nich oblegany. Nakoniec pomyśl także i o tem, że południowe i zachodnie Niemcy przedewszystkiem staną się teatrem wojny, która, jak mi wiadomo, zagraża także i Austrii“.

Tym moim listem uzyskałem obietnicę spędzenia przez ojca zimy w Wiedniu, zanim się nie wyjaśni, jaki obrót wezmą sprawy polityczne.

D. 14 września przyjechał do tej stolicy książę Konstanty Czartoryski¹⁾ z żoną Radziwiłłówną. Wieczorem o godz. 10-tej, wezwał mego ojca, który stwierdził u księżnej suchoty w ostatnim stopniu. Jakoż już 16-go ta kobieta, niegdyś piękna i urocza, zakończyła życie. Książę wpadł w straszną rozpacz i został dotknięty paraliżem prawej strony twarzy. Niedługo potem wyjechał do Włoch, dokąd podążył za nim i książę Adam, nasz kurator. Ten, będąc w Wiedniu, nie szczędził mi pochwał.

Hr. Kazimierz Rzewuski, którego interesa wezwały do Wilna, uspokoił mnie co do stanu zdrowia mego ojca. Przedtem jeszcze przyjmowaliśmy piękną panią Naryszkinową²⁾, której przyjazd dał powód do rozmaitych domysłów. Jedni przypuszczali, że wśląd za nią przybędzie cesarz, inni znowu twierdzili, że spotkała ją niełaska. To ostatnie przypuszczenie niewątpliwie było mylne, ponieważ wszyscy, począwszy od generał-gubernatora, nie przestawali ubiegać się o jej względy.

Generał Bennigsen z rodziną był w tym czasie nieobecny w Wilnie. Usunął się na wieś do Sawejek, zmartwiony wciąż wzrastającym zbliżeniem się cesarza

¹⁾ Brat ks. Adama, kuratora Uniwersytetu Wileńskiego.

²⁾ Faworyta cesarza Aleksandra I. (W. Z.).

Aleksandra do Napoleona, a szczególnie ich spotkaniem się w Erfurcie. Wkrótce jednak powrócił do Wilna, gdzie żona jego miała odbyć połów. Tu wstąpiła weń otucha, gdy przyszła wiadomość o zwrocie, jaki zaszedł w wojnie hiszpańskiej i o przygotowaniach Austrii, które zrodziły w nim nadzieję na lepsze czasy. Chciał nawet jechać do Wiednia, aby tam służyć swoim doświadczeniem, zdobytem w wyprawach przeciw Napoleonowi. Nie ulega kwestji, że w obecnych warunkach nie pozwolono mu na podobną podróż. Prosił mnie o napisanie do ojca, aby nie opuszczał żadnej sposobności przedstawienia austriackim mężom stanu następujących zasad:

1-o. Zawsze działać wielką masą, ponieważ wtedy nie będzie obawy, że się zostanie przez nieprzyjaciół otoczonym.

2-o. Być zawsze gotowymi do kontrataku i

3-o. Posiadać silną rezerwę.

Pospieszyłem spełnić to polecenie generała, ale ojciec mój, wierny zasadzie niewtrącania się w nie swoje rzeczy, zwłaszcza w sprawy polityczne, nie przystał na propozycję.

W gruncie rzeczy przeciwko zasadom Bennigsen'a zgrzeszono tylko podczas kampanji 1809 r., kiedy zamiast działać w masie, Austriacy rozbili swoją armję na kilka korpusów i nawet wysłali 30 tysięcy do Księstwa Warszawskiego, gdzie wtedy wcale nie było z kim walczyć, jak gdyby nie przewidywano, że losy wojny rozstrzygną się nad Dunajem!

Ale nie wyprzedzajmy wypadków. Z przyjemnością dowiedziałem się, że nasz dawny rektor został mianowany na wileńską stolicę biskupią, opróżnioną z powodu śmierci Kossakowskiego. Powiadano, że, gdyby on spodziwał się dla siebie tej nominacji, nie byłby się starał u cesarza o odłączenie od biskupstwa wileńskiego kilku bogatych prebend na rzecz Uniwersytetu. Najbardziej jednak ucieszyła mnie wiadomość, że cesarz zgodził się na wszystko, o co prosiłem dla studentów medycyny na

koszcie skarbowym, t. j. aby sumy, przeznaczone na ich utrzymanie, były wypłacane w rublach srebrnych, nie zaś, jak dotąd, asygnacjami, i aby każdemu studentowi dawano dwa pudełka: jedno z narzędziami anatomicznymi i drugie z takimiż chirurgicznymi. Ta łaska tembardziej zwiększyła moją gorliwość w kształceniu młodych ludzi. Na nieszczęście, często doznawałem przeszkód ze strony Uniwersytetu, szczególnie, gdy szło o rozkład lekcji. Profesorowie obowiązani byli mieć 6 godzin tygodniowo. Otóż profesorowie wydziałów fizycznego i lekarskiego zaproponowali, iż będą wykładali cztery razy w tygodniu po półtorej godziny. Dzięki takiej kombinacji, mieliby oni dwa dni w tygodniu wolne, oprócz niedziel, czyli 80 dni w ciągu dziesięciu miesięcy roku szkolnego.

Chociaż zdawałoby się, że taka kombinacja nie zmienia postaci rzeczy, prosiłem jednak Uniwersytet o zachowanie dawnego porządku i zaprotestowałem przeciwko półtoragodzinnym lekcjom cztery razy na tydzień, a to dla następujących powodów:

1-o. Studenci nie będą mogli należycie uważać na wykładach, trwających dłużej niż godzinę. 2-o. Związek pomiędzy lekcjami lepiej da się zachować przy wykładach codziennych i 3-o. Rozkład lekcji będzie łatwiejszy.

Powoływałem się przytem na to, że w Uniwersytetach w Getyndze, Edynburgu, Jenie, Padwie, Wiedniu, Dorpacie wykłady zawsze trwają tylko jedną godzinę. Wyjątek stanowi Paryż, ale tam dwugodzinne lekcje są wprowadzone jedynie z powodu znacznych odległości. Wyłożyłem również zasady, na jakich, mojem zdaniem, powinien opierać się rozkład godzin.

1-o. Dzień należy podzielić na dwie części, mianowicie, od godziny 8-iej rano do południa i od 2-iej do 6-iej wieczorem. W przerwie studenci będą mieli dość czasu na obiad i na wypoczynek.

2-o. Pomiedzy lekcjami porannymi i wieczornymi nie powinno być czasu niezajętego, ponieważ byłby on dla

studentów nie tylko stracony, ale niekiedy nawet źle przez nich użyty.

3-o. Wykłady trudniejsze, wymagające większego skupienia uwagi, powinny poprzedzać łatwe i przyjemniejsze.

4-o. Wykłady nie powinny się przeciągać, a to dlatego, aby studenci mogli powtórzyć kurs nauk, którego nie byli w stanie należycie wystudjować w ciągu roku.

Na to wszystko odpowiedziano mi, że:

1-o. Zimą dni są za krótkie, aby można było naznaczać lekcje, wymagające dobrego światła dziennego.

2-o. Studenci przechodząc z jednego wykładu na drugi, zawsze tracą nieco czasu, co nie stanowi wielkiej różnicy, jeżeli lekcje trwają po 1½ godziny 4 razy na tydzień, ale ta strata da się odczuć przy lekcjach codziennych, trwających godzinę.

3-o. Należy pozostawić studentom czas na powtarzanie lekcji w domu.

4-o. Doświadczenia zawsze potrzebują czasu więcej, niż godzinę, nawet, jeżeli potrzebne przyrządy zostały przygotowane przed lekcją.

Powyższe dowodzenia nie przekonały mnie, to też odpowiedziałem, że:

1-o. Istotnie krótkie dni wymagają, aby i lekcje również nie były długie.

2-o. Ponieważ wykłady fizyki i medycyny odbywają się w lokalach blisko siebie położonych, przeto studenci będą tracić nie więcej czasu, jak gdyby przechodzili z jednego pokoju do drugiego, a często nawet mniej, gdyż niektóre przedmioty są wykładane w tej samej sali.

3. Studenci mają dość czasu na powtarzanie lekcji od godz. 5-ej do 8-ej rano i wieczorami po skończonych wykładach, a także w niedziele, święta, oraz w czasie świąt Bożego Narodzenia, zapust, Wielkiejnocy i t. d.

4. Doświadczenia, wymagające więcej, niż godzina czasu, nie dadzą się wykonać i w 1½ godziny i w takich

wypadkach lepiej jest dokończyć je nazajutrz, aniżeli po dwu lub trzydniowej przerwie.

Te nowe argumenty nie przekonały Rady Uniwersyteckiej, która jednak pozwoliła mi miewać wykłady po godzinie. Ponieważ nie chodziło tu o mnie, ale o dobro publiczne, więc napisałem do hr. Zawadowskiego, że objąwszy kierownictwo Uniwersytetu w nieobecności rektora, czuję się w obowiązku zawiadomić go, iż zamierzają tu wprowadzić rozkład lekcji niezgodny z korzyścią słuchaczy. Następnie, wyłożywszy jak najszczegółowiej całą sprawę, przedstawiłem swój plan rozkładu lekcji.

Minister przesłał ten plan Uniwersytetowi z poleceniem wykonania. Jak jednak postąpił Uniwersytet? Powążył się powołać na zasadę „*audiatur et altera pars*” i zacytował powyższe przysłowie, wypisał te same zarzuty, które wyżej wyliczyłem.

Za całą odpowiedź minister przesłał Uniwersytetowi mój list z poleceniem wzięcia go pod uwagę. W tym liście między innymi napisałem, że mówienie w ciągu półtorej godziny będzie męczyć profesorów i że skończą oni na godzinnych wykładach 4 razy na tydzień. Ten ustęp doprowadził ich do wściekłości. Dzięki całej tej sprawie moja pozycja stała się wielce nieprzyjemną, to też żałowałem, że przez przywiązanie do Wilna za lekko traktowałem propozycję, którą mi uczynił d-r Rehman w imieniu kuratora Uniwersytetu Moskiewskiego, abym się przeniósł do Moskwy na taką samą katedrę i z taką samą pensją.

„Hr. Razumowski, pisał d-r Rehman, nie może sam wystąpić z propozycją, nie chcąc, aby wyglądało, iż usiłuje on odebrać profesora swemu koledze, innemu kuratorowi. Ale, jeżeli pan sam wyrazi życzenie zamiany Wilna na Moskwę, wtedy hrabia, również jak minister, popra pana i nominacja pańska będzie przez wszystkich Rosjan przyjęta jak najzyczliwiej. Zresztą myśl tę podał pański ojciec, gdy bawił w Moskwie”.

Po mojej odpowiedzi, w której zacytowałem przysłowie: „chi sta bene non si muovo“¹⁾, na katedrę Medycyny praktycznej w Moskwie został wybrany d-r Mudrow, który przez pewien czas uczył na moje wykłady w Wilnie. Również nie powiodło się d-rowi Rehmanowi staranie o rękę mojej siostry Karoliny, ponieważ ojciec ani słuchać nie chciał o tem małżeństwie, obawiając się powierzyć los córki człowiekowi mającemu tylko posadę prywatną. Wolałby wydać Karolinę za d-ra Häyera, swego dawnego ucznia, który ubiegał się o katedrę Medycyny Praktycznej w Pradze, ale ten pan nie podobał się mojej siostrze.

Prosiłem d-ra Brera, by mi odpisał po francusku, a to dlatego, abym mógł przesłać jego list ministrowi spraw wewnętrznych ks. Kurakinowi, który, jak o tem wyżej wspominałem, polecił mi, abym zapytał go, czyby nie zgodził się zająć wakującej w petersburskiej Akademii medyko-chirurgicznej katedry Medycyny praktycznej i jakie byłyby jego warunki? Te ostatnie były tak wygórowane²⁾, że czułem się w obowiązku zwrócić na to uwagę zarówno ministra, jak i p. Brera, jednak listu tego ostatniego nie mogłem przesłać ministrowi, ponieważ p. Brera, żądając w razie swojej śmierci emerytury dla dzieci, napisał, że ma ich dwoje: s a m c a i s a m i c z k ę, przetłumaczywszy w ten sposób włoskie: m a s c h i o i f e m i n a, których to wyrazów Włosi używają zarówno w stosunku do ludzi, jak i zwierząt. Zakomunikowałem tedy tylko treść listu. Katedrę wspomnianą otrzymał p. Uden, lekarz niewątpliwie bardzo uczony, prawy i uczciwy, ale bez wyrobienia medycznego. P. Uden prawdopodobnie zawdzięczał swoją nominację p. Wylie, który został rektorem Akademii medyko-chirurgicznej, z pensją i innemi dodatkami, co razem wynosiło przeszło osiem tysięcy rubli.

¹⁾ Kto dobrze stoi niech się nie rusza. (W. Z.).

²⁾ Dwanaście tysięcy rubli rocznej pensji, order, emeryturę i t. d.

— „Dobrze zrobiłem, pisał do mnie ojciec, usuwając się z Akademii, i nawet powinienem być wdzięczny moim wrogom, ponieważ dzięki im odzyskałem zdrowie i spokój, co mi pozwoli dokończyć mojej pracy.

ROZDZIAŁ XVI.

Rok 1809.—Wilno.—Surowa zima.—Tomasz Wawrzecki.—Koncerty.—Wystawienie „Stworzenia świata“ Haydna.—Założenie Instytutu Macierzyństwa.—Korespondencja z ministrem.—Kutuzow.—Kanonik—złodziej.—Studenci Niemcy w Uniwers. Wileńskim.—Niedoszły samobójca.—List do ks. Ad. Czartoryskiego w sprawie reformy Uniwersytetu Wileńskiego.

Zima r. 1809 była niezmiernie surowa. W Wilnie w ciągu 62 godzin termometr wskazywał 22—24° R. poniżej zera, a nawet spadł do 26°. Miasto miało niezwykły wygląd. Od świtu z kominów majestatycznie wznosiły się w niebo słupy gęstego dymu i oświetlone pierwszemi promieniami słońca mieniły się różnemi kolorami. Tarcza słoneczna była podobną do rozżarzonego węgla. Kłęby gęstej pary wydobywały się z piwnic i z otworów kanałów podziemnych. To samo można było powiedzieć, gdy na chwilę otwierano drzwi, lub okna. Szyby pokryte warstwą lodu, który się skryształizował w cudne desenie, były zupełnie nieprzezroczyste. Ludzie i zwierzęta na ulicach byli przyprószeni szronem. Nikt nie miał odwagi zatrzymać się dla pogawędki, tylko śpieszył do celu swej wycieczki. To też ci ludzie, zwykle powolni i obojętni, wyglądali na ogromnie zajętych. Dotąd słyszę skrzypienie śniegu pod nogami przechodniów, ostre dźwięki od obrotu kół na osiach i odgłosy dzwoneczków przy sankach. Zdarzało się nieraz, że sanki przybywały do rogatek miejskich ze zmarzniętymi włościanami, którzy siedzieli w tej samej pozycji, w jakiej z domu wyjechali i jeszcze w ręku lejece trzymali, a ich małe koniki na-

wet nie zdawali się spostrzegać, aby zaszła jaka zmiana w kierowaniu niemi.

Jeżeli w samym mieście nie było podobnych nie-szczęść, zawdzięczają to jego mieszkańcy komendantowi, który często luzował sztydłwachów (opatrzonych w dobre futra i buty futrzane), a także Towarzystwu Dobroczynności. To ostatnie przez cały czas trwania mrozów, rozwarło swoje podwoje dla wszystkich przychodzących, by się mogli ogrzać, a najbiedniejszym dawało zupę i chleb.

Po śmierci biskupa Kossakowskiego prezesem Towar. Dobroczynności został p. Tomasz Wawrzecki, ten sam, który po Kościuszcze dowodził wojskiem polskim. Był to człowiek niedaleko widzący, ale całą duszą oddany sprawie dobroczynności. Miał wygląd łagodny i do-broduszny, pomimo, że był popędliwy i o byle co się unosił. Poza tem nieposzlakowanej był uczciwości. Pragnąc dać mu dowód, jak bardzo cenię jego zasługi w niesieniu pomocy biednym, szczególnie w wypadkach nadzwyczajnych, podczas tej tak surowej zimy, zaproponowałem mu, iż urządzę koncert, z którego połowę dochodu oddam do jego rozporządzenia, zaś drugą przeznaczam dla 3-go wydziału. P. Wawrzecki z wdzięcznością przyjął moją propozycję. Koncert odbył się d. 15 stycznia w Kasynie i dał dochodu 900 rubli. Na koncercie wykonano piękną uverturę z *Fingala* Józefa Kozłowskiego, dyrektora kapeli cesarza rosyjskiego, a ponieważ ten utwór wymagał akompanjamentu *t a m-t a m*, pożyczyłem ten instrument wschodni od p. Robertsona, który go używał dla swoich przedstawień fantasmagorycznych i w tym celu sprowadził z Indji za dwa tysiące franków. Nigdy już potem nic podobnego nie słyszałem. Dźwięk *t a m-t a m*, podobny do dźwięku olbrzymiego dzwonu, wstrząsał nerwami audytorjum. Spodziewając się tego, kazałem wraz po tym utworze wykonać milutką kawatinę z opery *Alonzo i Cora Magera*, przy akompanjamentie tylko arfy i dwóch skrzypiec. Odśpiewała ją pani Frankowa. Ten kontrast sprawił doskonałe wrażenie. Następnie

grali na fagocie i na kornecie dwaj bracia Ham, z których jeden był dentystą. Publiczność, która na razie śmiała się,



Tomasz Wawrzecki,

prezes wileńsk. Tow. Dobroczynności.

(Z portretu znajdującego się w Towarzystwie Dobroczynności).

czytając na afiszach: *T a m-t a m* i *H a m-H a m*, była zachwycona tym wieczorem muzycznym. Pani Frankowa otrzymała od generał-gubernatora list następujący:

„Czuję się w obowiązku podziękować Pani za jej udział w niesieniu pomocy biednym m. Wilna. Każda inna osoba, obdarzona tak olbrzymim, jak Pani talentem, poprzestałaby na czarowaniu swym śpiewem przyjaciół i znajomych. Pani zaś oddaje swój talent na usługi cierpiącej ludzkości. Proszę wierzyć, iż uwielbiam Pani zasługi i zalety, które ją wyróżniają w gronie dam. Łączę wyrazy szacunku i niezmiennej życzliwości. Korsakow“.

Amatorowie po raz drugi odegrali tragedję *F e d r e*, ale dochód oddany Towarzystwu Dobroczynności nie przewyższył 1800 rs. Spodziewano się uzyskać znacznie więcej ze względu na to, że przedstawienie odbyło się w czasie sejmików, kiedy do Wilna zjechała się szlachta z całej Litwy. Ja również postanowiłem skorzystać z tego zjazdu dla wydziału Towarzystwa Dobroczynności, powierzonego mojej opiece.

Zdawało się, że to przedsięwzięcie spotka się z nieprzewidywanymi na Litwie trudnościami, a jednak udało mi się ono znakomicie. Oto, w jaki sposób wziętem się do rzeczy. Przedewszystkiem uprosiłem p. Ksawerego Chomińskiego, znanego z udatnych przekładów poezji francuskich na język polski, aby przetłumaczył „*S t w o r z e n i e ś w i a t a*“. Chętnie się na to zgodził, ale dodał, że gdy chodzi o stworzenie, to zwykły śmiertelnik nie może się z niem załatwić tak prędko, jak Pan Bóg. Ta uwaga świadczyła, że p. Chomiński był leniuchem, który nic nie zdążył zrobić na czas, wada, która przyprawiła go o stratę znacznej części majątku. Poza tem i zdrowie tego starca było w oplakanyam stanie. Przetłumaczywszy za ledwie pierwszą część „*Stworzenia*“ umarł na apopleksję. O dalszy ciąg tłumaczenia zwróciłem się z prośbą do kaznodziei i prof. Teologii, ks. Chodaniego, który znakomicie wywiązał się z zadania ¹⁾.

¹⁾ „*Stworzenie Świata*“, ułożone na muzykę przez Józefa Haydna, doktora muzyki, kapelmistrza w centralnej służbie księcia Esterhazego etc. z niemieckiego na język polski

Mając już tekst, postarałem się teraz o zastosowanie go do muzyki. Uważałem za konieczny warunek zachowanie prawidłowej akcentacji wyrazów, co Polacy w śpiewie zwykli zaniedbywać. Nie stanowi dla nich różnicy śpiewać *dobry*, czy *dobry*, *sercé*, czy też *serce* i t. d. Co prawda, musiałem w wielu miejscach zmienić znaczenie nut niektórych, ale ta zmiana była prawie niedostrzegalna, gdy tymczasem nieprawidłowa akcentacja ogromnie razila w języku polskim, tak znakomicie nadającym się do śpiewu. Jedno, co mógłbym temu językowi zarzucić, to brak w nim jednosylabowego wyrazu na określenie pojęcia światła (*Licht*), co psuło piękność sławnego frazesu: „*fiat lux*“ — „*Es werde Licht*¹⁾“.

Gdy już słowa i muzyka były gotowe, udałem się na poszukiwanie śpiewaków i orkiestry. Pani Frankowa miała wykonać rolę, napisaną dla niej przez samego Haydna ²⁾. Partję tenorową i barytonową oddałem p.p. Palczewskiemu i Wolskiemu, artystom teatru. Kościoły wileńskie, teatr i Towarzystwo dostarczyły mi 24 chórzystów. Ponieważ potrzebowałem ich znacznie więcej, więc zwróciłem się do biskupa i archiereja w Mińsku, prosząc o pozwolenie ich śpiewakom przyjechania do Wilna na początku postu. Biskup Dederko stanowczo od-

przetłumaczone przez X. Chodaniego, nadwycz. profesora teologii moralnej w Imperatorskim Uniwersytecie wileńskim. Exekwowane w Wilnie w sali ratuszowej dnia 17 lutego roku 1809 na korzyść trzeciego wydziału Towarzystwa Dobroczynności w Wilnie. U Józefa Zawadzkiego typografa Uniw.

Oprócz P. Chomińskiego i ks. J. K. Chodaniego niektóre arje przetłumaczył Lewicki, profesor gimnazjum wileńskiego; przystosowanie wyrazów do muzyki wykonał p. Sokulski. Świadczy o tem sam ks. Chodani w przedmowie do wspomnianej broszury. (W. Z.).

¹⁾ Zarzut niesłuszny. Język polski posiada wyrazy: *świt*, *brzask*. (W. Z.).

²⁾ Aniola Gabryela i Ewy. (W. Z.).
„*B. P.*“. Pamiętniki Franka. Tom II.

mówił, „mając za złe p. Frankowi, że wybrał on W. Post dla zabawy“, jak gdyby ten czas nie był najodpowiedniejszy dla wykonania oratorjum i jak gdyby tu chodziło o moją zabawę. Archirej, Potiemkin był wyrozumiały i oddał do mego rozporządzenia dwunastu śpiewaków, prosząc tylko o przysłanie im zawczasu nut, aby mogli zapoznać się z muzyką. Okolice Wilna dostarczyły mi jeszcze czterech chórzystów, podoficerów niektórych pułków.

Co się tyczy orkiestry, utworzyłem ją ze stu muzyków, ponieważ szlachta, jadąc do Wilna na sejmik, przywiozła ze sobą swoich muzykantów.

W tym czasie zawitał do Wilna znakomity pianista i kompozytor Steibelt, który jechał z Paryża do Petersburga. Będąc obecny na próbie „Stworzenia“, oświadczył mi, że niewiele brakuje, aby wykonanie było bez zarzutu. — „Co stanowi to „niewiele?“ zapytałem. — „Mniej śpiewne—recitativo i więcej duszy w partjach instrumentowych“. — Mogę pana zapewnić, że pod tym względem ściśle się stosuję do wskazówek samego Haydna, a któż lepiej od autora może wiedzieć, jak jego utwór powinien być wykonany“. — „Pod względem deklamacji śpiewacy niemieccy, nawet włoscy nie wytrzymują porównania z francuskimi, a orkiestra wiedeńska myśli, że wiele zrobiła, ściśle się trzymając nut, zaś paryska wkłada w grę duszę. Gdybyś pan słyszał wykonanie „Stworzenia“ w konserwatorjum paryskim, przyznałbyś mi słuszność“.

Prosiłem p. Steibelta, aby zechciał udzielić nam wskazówek. Przedewszystkiem zalecił on śpiewakom, aby nie patrzyli wciąż na nuty, ale starali się śpiewać z pamięci i towarzyszyć śpiewowi, jeżeli nie gestami, to przynajmniej mimiką o ile ta jest na koncercie odpowiednia. Co do orkiestry, to jego zdaniem instrumenty powinny wtórować słowom. Każden z nich tym sposobem staje się malarzem i aktorem. Ponieważ chóry również były

ożywione podobnem uczuciem, więc pragnąłbym, aby sam Haydn mógł zobaczyć wykonanie swego dzieła.

Wiedząc, że „Stworzenie“ nie sprawi należytego wrażenia w teatrze, albo w innym miejscu zabawy, postanowiłem wystawić je w wielkiej sali ratuszowej, która mogła zmieścić do tysiąca widzów. Aby zaś przypominała świątynię, odpowiednio ją przybrałem i oświetliłem. Na pięknej estradzie umieściłem chóry. Śpiewacy byli ubrani czarno, zaś śpiewaczki w bieli.

Aby publiczność lepiej mogła ocenić piękność oratorjum, rozdawano drukowane wyjaśnienia do tekstu. Zjazd był tak liczny, że wiele osób nie dostało biletów. Przedewszystkiem zachowałem fotele dla generał-gubernatora i gubernatora cywilnego. P. Korsakow, przyjechawszy wcześniej, z łatwością trafił na swoje miejsce, ale p. Brusiłow, który się spóźnił, zastał fotel zajęty, to tak go oburzyło, że niezwłocznie opuścił salę, co mnie mocno zmartwiło. Ale wkrótce zapomniałem o tej przykrości, a to dzięki niezwykłemu powodzeniu, jakie miał koncert. Entuzjastyczne przyjęcie i ogólne żądanie powtórzenia koncertu aż nadto wynagrodziły mnie za moją pracę. Nazajutrz koncert został powtórzony i wywołał niemniejszy zachwyt, chociaż publiczności było mniej, niż dnia poprzedniego, ponieważ p. Brusiłow, który czuł się obrażony, jakoby uchybieniem jego godności, chcąc się zemścić, urządził tego dnia u siebie wieczór taneczny.

Pomimo, że nikt nie płacił ponad oznaczoną cenę biletu (3 rs. sr.) i pomimo, że wydatki były znaczne (do 900 rs.), jednak czystego dochodu na rzecz mego 3-go wydziału pozostało 1000 dukatów. Nie było to za dużo, ze względu na niezwykłą mnogość chorych ubogich, a ponieważ zima tego roku była bardzo mroźna, a drwa ogromnie podrożały, przeto o pomoc często zwracały się osoby, które dotąd jej nie potrzebowały.

Wiosenne porównanie dnia z nocą zaznaczyło się 21^o R. mrozu, a pomimo to zaczęły grasować febry, co dowodzi, że przyczyna ich leży nie w błotach, które w

tym czasie były zamrożone. Wobec tego, że dzięki systemowi kontynentalnemu cena chininy podniosła się do niemożebności, powziąłem myśl zastąpienia jej odwarem kory chinowej, w przekonaniu, że zawiera dostateczną ilość leku działającego na febrę. Moje oczekiwanie nie zawiodło, tem bardziej, że już przedtem robiłem w tym kierunku doświadczenia w Pawji.

Masami przychodzili również kołtunowaci, którzy ogromnie cierpieli od zimna. Widząc, że u wielu z nich są owrzodzenia o charakterze rakowatym, zacząłem podejrzewać, że pomiędzy kołtunem a rakiem musi zachodzić pewien stosunek

Panujące mrozy zwiększyły śmiertelność wśród dzieci. Pomiedzy ofiarami mrozów było także nie mało ubogich położnic. Widywałem przykłady, od których serce mi się ścisnęło. Proszę bowiem sobie wyobrazić kobietę oczekującą rozwiązania, która nie miała ani drow, ani buljonu, ani bielizny, ani też wprawnej akuszerki, a trzeba do tego jeszcze dodać, że otaczały ją małe dzieci i że jedyną pomoc miała w mężu przez dzień cały nieobecny i powracającym wieczorem często w stanie nie-poczytalnym. Pamiętałem dobrze, jaką opieką w Anglii i we Francji są otaczane ubogie położnice, dzięki Towarzystwu pań dobroczynnych, to też zapragnąłem założyć podobne Towarzystwo w Wilnie. Czyniłem już podobną próbę w Wiedniu, ale ta mi się nie udała, może dlatego, że powierzyłem wykonanie projektu damie, która sama nigdy trosk macierzyństwa nie zaznała. Pamiętając o tem, starałem się obecnie nie powtórzyć tego błędu i czekałem odpowiedniej chwili, aby wystąpić ze swoim projektem. Jakoż wkrótce sposobność się nadarzyła.

Pani Bennigsenowa, oczekując końca ciąży, nie ukrywała przede mną obawy, aby znowu nie przyszło na świat dziecko martwe. — „Jedynie, myśl, iż właśnie pan śledziłeś moją ciążę i będziesz obecny przy położeniu, dodaje mi odwagi, mówiła mi. Po Bogu w panu całą nadzieję pokładam“. — Niechże mi pani dopomoże w sprawie, która

będzie miłą Bogu, a pani szczęście przyniesie“. — „Ależ z całej duszy!“

Niebawem udałem się do p. Wawrzeckiego, by go zawiadomić o dobrych chęciach p. Bennigsenowej, z których należało korzystać. Wystaliśmy do niej za wspólnym naszym podpisem list następujący:

Szanowna Pani!

Po tylu pięknych i szlachetnych usiłowaniach Pani, aby zapewnić pomyślny rozwój Towarz. Dobroczyńności w Wilnie, nie wątpimy, że zechce Pani takowe usiłowania chlubnie uwieńczyć, przyczyniając się do stworzenia nowej instytucji. Z dołączonego projektu Szanowna Pani zobaczy, że chodzi o Instytut macierzyństwa. Towarz. Dobroczyńności błaga, aby Pani nie odmówiła przyjęcia godności prezeski tego instytutu. Prosimy uważać tę prośbę za słaby dowód szacunku, jaki zalety Pani nakazują wszystkim, mającym zaszczyt znać ją, a szczególnie niżej podpisanym. Łączymy wyrazy głębokiego poważania, najniżsi słudzy:

Tomasz Wawrzecki. Józef Frank.

Gdy pani Bennigsenowa w uprzejmych słowach podziękowała za zaproszenie i wyraziła swą zgodę, wysłaliśmy list następujący do pani Kossakowskiej, bratowej niedawno zmarłego biskupa.

„Nazwisko, które pani nosi, a które jest tak drogie Towarzystwu Dobroczyńności, jak również Jej cnoty osobiste, ośmielają niżej podpisanych do przedstawienia Pani statutu nowej instytucji, która ma powstać pod nazwą „Instytutu macierzyństwa“ i proszenie pani o zostanie wice-prezeską tegoż. Sądzymy, że wyprzedziliśmy życzenie Pani ofiarowawszy godność prezeski pani baronowej Bennigsenowej, której zgodę już posiadamy. W nadziei, iż Szanowna Pani przychyli się do naszej prośby, łączymy wyrazy i t. d.“

Gdy i pani Kossakowska chętnie na naszą propozycję

przystała, pozostawało nam tylko znaleźć sekretarza. Wybór padł na panią Frankową.

Oto wyciąg z ustawy wspomnianego Towarzystwa.

— Zadaniem Instytutu Macierzyństwa jest niesienie pomocy ubogim położnicom w ich mieszkaniach.

— Instytut stanowi część 3-go wydziału Towarzystwa Dobroczynności.

— Członkami są damy i obywatelki miasta. Zarząd stanowią: prezeska, wice-prezeska i sekretarka. Jako członkowie doradcy do zarządu wstępują: dyrektor domu Dobroczynności¹⁾ i prezes 3-go wydziału.

— Instytut będzie udzielał pomocy tylko kobietom zamężnym i wdowom, których mężowie zmarli w czasie ich ciąży.

— Potrzebująca pomocy powinna mieć świadectwo ubóstwa i dobrego prowadzenia od opiekuna ubogich w parafji, podpisane przez gospodarza domu.

— Liczyć na pomoc mogą tylko kobiety zamieszkałe w Wilnie przynajmniej od roku.

— Przy jednakowych warunkach pierwszeństwo będą miały matki kilkorga dzieci, oraz żony robotników podziennych. Z pomocy Instytutu nie mogą korzystać żony służących, których panowie są dość zamożni.

— Każda kobieta, korzystająca z opieki Instytutu, powinna zgodzić się na zaszczerpienie jej niemowlęciu ospy ochronnej.

— Położnice będą skierowywane do znanych w mieście akuszerok, które ma opłacać Towarzystwo.

— W ciężkich przypadkach do porodu będą zwywani lekarze specjaliści.

— Kobiety, przyjęte pod opiekę Towarzystwa, oprócz pomocy lekarskiej, otrzymują: bon na dwa funty mięsa codziennie, aż do 11-go dnia, licząc od dnia porodu, oraz na dwie bułki na dzień. Instytut ma wejść w umowę z rzeźnikami i piekarzami.

¹⁾ Dominikanin Korzeniewski.

— Drwa będą dostarczane położnicom z Domu Dobroczynności.

— Na każdą położnicę Towarzystwo ma wydatkować około 7 rubli.

— Życzący zostać członkiem Instytutu Macierzyństwa, powinni opłacać co roku składkę, przynajmniej na utrzymanie jednej położnicy.

Projekt powyższy dał powód do tyłu drwin i dowcipów, że tylko bardzo niewiele pań zechciało zapisać się na członków Towarzystwa. Ale gdy w roku następnym dowiedziano się w Wilnie, że Napoleon z okazji zaślubienia Marji Ludwiki założył podobny Instytut Macierzyństwa w Paryżu, wtedy zaczęto śpiewać na moją cześć hymny pochwalne. Chciałem skorzystać z tego przychylnego dla mnie nastroju, aby założyć również Towarzystwo pomocy osobom, wystawionym na niebezpieczeństwo pożarów, ale zaniechałem projektu, obawiając się zrazić publiczność ciągłym odwoływaniem się do jej dobroczynności.

W tym czasie „Dziennik oświecenia publicznego w Petersburgu“ wydrukował wyciąg ze sprawozdania Ludwika hr. Platera o Uniwersytecie Wileńskim, w którym to sprawozdaniu była mowa o wszystkich profesorach. O jednych hr. Plater odzywał się bardzo powściągliwie, o innych z pochwałą, ale o żadnym z takim uznaniem, jak o mnie.

Minister spraw wewnętrznych rozkazał wprowadzić wacyzację do nowoprzyłączonego obwodu Białostockiego. Zarząd lekarski tej prowincji, nie posiadając dobrej wacyzny, prosił mnie o przysłanie mu tejże i zapewniał, że o mojej uczynności nie omieszka zawiadomić ministra.

Z ministrem już przedtem korespondowałem bezpośrednio. D. 9 stycznia 1809 r. otrzymałem od niego list po rosyjsku pisany, który w tłumaczeniu przytaczam:

Wielce Szanowny Panie Józefie Iwanowiczu.

Rząd, czyniąc co tylko może, aby zapobiedz brakowi

w armji lekarzy, nie mógł odmówić przyjęcia propozycji, uczynionej przez studentów medycyny w Rombergu, którzy wyrazili gotowość wstąpienia do służby w Rosji. Prawdopodobnie w ich liczbie znajdują się tacy, którzy po złożeniu w Uniwersytecie wileńskim odpowiednich egzaminów, będą mogli niezwłocznie być przyjęci na służbę, to też Cesarz polecił naszemu posłowi w Dreźnie sporządzenie listy tychże studentów i skierowanie ich do Wilna. Życzeniem Jego Cesarskiej Mości jest, aby ci studenci, którzy na egzaminie okażą się niedostatecznie przygotowani, pozostali w Wilnie pod pańskim dozorem dla uzupełnienia wiedzy. Wileński gubernator cywilny zakomunikuje panu o warunkach, na jakich ci studenci będą utrzymywani w Uniwersytecie Wileńskim.

Zawiadamiając W. Szan. Pana o włożonym na niego przez Cesarza zaszczytnym obowiązku służenia dobru publicznemu, zapewniam Pana, iż o jego staraniach i osiągniętem powodzeniu z prawdziwą przyjemnością będę zawiadamiał Cesarza, jako zasługujących na szczególną uwagę.

W. Szanown. Pana sługa uniżony książę Aleksy Kurakin.

Odpowiadając z wdzięcznością na ten uprzejmy list, nie skryłem przed ministrem przeszkody, jaka istniała ze względu na to, iż w Wilnie niektóre przedmioty lekarskie były wykładane po polsku. Zwróciłem jednak uwagę, że przeszkoda z łatwością da się usunąć, jeżeli we wszystkich wykładach (z wyjątkiem wykładów dla akuserek) język polski zostanie zastąpiony przez łaciński. W końcu prosiłem ministra, by mi było pozwolono komunikować mu moje postrzeżenia, dotyczące ulepszeń, jakie będę uważał za niezbędne do wprowadzenia na wydziale lekarskim, tak dla dobra spodziewanych tu Niemców, jak również studentów Polaków, których mam pod swoim dozorem.

Jak tylko to pozwolenie zostało mi udzielone, skorzystałem z niego, aby raz jeszcze wykazać niepraktycz-

ność półtoragodzinnych lekcji, wyszczególnić wszystko, co jest najbardziej potrzebne przy kształceniu lekarzy i chirurgów i zanieść skargę na niedbałe pełnienie swych obowiązków przez niektórych profesorów. Jako przykład, wspominałem prof. anatomji ¹⁾, który swój kurs rozciągnął na dwa lata i nawet nie pokazał studentom kobiecych narządów płciowych, jak również systemów żył i nerwów. Nie skrywałem, że już w tej sprawie zwracałem się do samego profesora ²⁾, ale moja interwencja nie odniosła żadnego skutku, to też prosiłem, aby dano było przełożonemu skarbowego konwiktu studentów pełnomocnictwo żądania od profesorów Uniwersytetu, aby należycie spełniali swe obowiązki. Proponowałem, aby prefekta konwiktu nazwać inspektorem nauk fizyko-lekarskich i zapewniałem, że wcale nie kieruje mną ambicja. Przewidywałem, że minister spraw wewnętrznych sam nie będzie mógł spełnić mojej prośby, ale miałem nadzieję, że, gdy przedstawi przychylnie to wszystko ministrowi oświaty, ten nie będzie miał odwagi nic w tej sprawie nie zrobić, jak to już raz miało miejsce.

List następujący, również po rosyjsku pisany, przekonał mnie, że moje przypuszczenie było trafne.

W. Szanowny Józefie Iwanowiczu!

Miałem honor otrzymać przesłany mi za pośredni-

¹⁾ Profesor Jan Lobenwein.

²⁾ Oto list, który do niego napisałem: „Studenci, którzy przeszli na 3-i kurs, proszą mnie o przypomnienie Panu jego obietnicy dania im dodatkowego kursu o anatomji, aby ten przedmiot zakończyć. Nie mogę tej ich prośbie odmówić, jakkolwiek wiem, że Pan jest obareczony mnóstwem innych zajęć. Ponieważ jednak na pierwszym miejscu powinno stać kształcenie młodzieży, zaś wszystkie inne sprawy są mniej ważne, przeto pozwalałam sobie przyłączyć się do prośby studentów. Ci młodzi ludzie sprawią mi wiele kłopotu, jeżeli będą ucześnieć na kursy akuszerji nie mając pojęcia o kobiecych narządach płciowych, jak również na kurs chirurgji bez koniecznych wiadomości o żyłach i nerwach. Łączę wyrazy i t. d.“

ctwem wileńskiego gubernatora cywilnego projekt ulepszeń na wydziale medycznym Uniwersytetu Wileńskiego. Zważywszy jednak, że usunięcie braków, istniejących w Uniwersytecie przede wszystkim zależy od ministra oświaty, którego pieczy zostały przez Cesarza powierzone sprawy oświatowe, zawiadomiłem tego dygnitarza o wskazanych przez Pana brakach w Uniwersytecie Wileńskim i o projektowanych przez niego środkach ku usunięciu tychże.

Uwagi pańskie, mające na celu dobro publiczne, należy przypisać tylko pragnieniu doprowadzenia do doskonałości sprawy, którą panu powierzono, to też wystąpienie pańskie zasługuje na zupełne uznanie. Proszę tedy przyjąć wyrazy mojej szczególnej wdzięczności, również, jak życzenie, aby pańskie starania dla dobra Uniwersytetu zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Mam honor być W. Szan. Pana najniższym sługą książę Aleksy Kurakin.

Napróżno jednak łudziłem się nadzieją, że moja propozycja, poparta przez ministra spraw wewnętrznych, zostanie przychylnie przyjęta przez ministra oświaty. Nie mając możliwości zmusić profesorów do sumiennego pełnienia obowiązków, starałem się przynajmniej zmusić do pracy studentów. Zachęciłem kilku z nich do przetłumaczenia na język polski niektórych elementarnych dzieł lekarskich. Tak p. Herberski przetłumaczył anatomję Hempela, p. Bielkiewicz — wskazówki Okena, jak należy dokonywać sekcji trupów, zaś p. Wojniewicz — fizjologję Prochaski. Aby dać moim uczniom dobre wzory historii chorób, kazałem przedrukować rozprawę Trillera o zapaleniu płucnej.

Zajmowałem się mymi uczniami nietylko pod względem naukowym, ale również starałem się zwalczać wrodzone im uprzedzenie do rządu rosyjskiego. „To uprzedzenie, mówiłem im, będzie nieszczęściem waszego życia. Rosja przedstawia dla kariery obszerne pole, na którym będziecie mogli zastosować wasze zdolności. Korzy-

stajcie z tego! Jak wiele zdziałacie dla chwały waszej Ojczyzny, gdy Rosjanie będą zmuszeni uznać was za najlepszych swoich lekarzy. Bierzcie przykład z Kurlandczy-



Michał Kutuzow

general-gubernator wileński.

(Z portretu znajdującego się w pałacu general-gubernatorów wileńskich).

ków, którzy z własnej woli wstępując na służbę rosyjską, dziś doszli do tego, że zajmują w administracji najwyższe stanowiska. Nie mówię o wdzięczności, którą

winniście cesarzowi, jako założycielowi instytucji, która was przygarneła, karmi, odziewa, dostarcza wam książek, papieru i zaopatruje was we wszystkie potrzebne rzeczy. W innych krajach młody lekarz, po skończeniu nauk, nie wie, co począć, by znaleźć posadę, zaś w Rosji posady same czekają na was. Czyż można żądać więcej?“

Tem większą miałem słuszość chwalać rząd rosyjski, że właśnie w tym czasie na Litwie zaszła dodatnia zmiana w zarządzie. P. Korsakow został odwołany, a na jego miejsce przysłano Kutuzowa¹⁾. Liczył on 64 lat życia, był otyły i już zaczynał słabnąć na siłach. Wzrostu średniego, obejście miał grzeczne i doskonale mówił po francusku i po niemiecku. Nieustraszony na polu bitwy, był niezmiernie miły i uprzejmy w towarzystwie. Szczególnie lubił towarzystwo kobiet, dla których, pomimo podeszłego wieku, zawsze miał słabość²⁾. Zostałem mu przedstawiony przez p. Bennigsenę, który już przedtem taką dał o mnie atestację, że generał Kutuzow od razu prosił mnie, abym był jego lekarzem i przyjacielem. Byłem ogromnie ciekaw zbadać bliznę, którą miał na twarzy po sławnej ranie, otrzymanej pod Oczakowem. Przekonałem się, że kula weszła przez jedną kość skroniową i wyszła przez drugą, przeszedłszy przez *Sinus frontalis* i uszkodziwszy oko. Kutuzow, który już za Pawła I był wojennym gubernatorem Litwy, znał ją doskonale i lubił jej mieszkańców. Otworzył on dla publiczności ogród przy swoim pałacu i nad bramą kazał umieścić napis:

„Kto wchodzi do mego domu — robi mi zaszczyt; kto przychodzi do mego ogrodu — sprawia mi przyjemność“.

¹⁾ Michał syn Ilarjona Goleniszczew-Kutuzow dwa razy był wielkorządcą Litwy. Po raz pierwszy od r. 1799 do r. 1801 i powtórnie od r. 1809 do 1812. (W. Z.).

²⁾ Sobary (obrazki litewskie, str. 63) tak pisze o Kutuzowie: „Był to człowiek dziwnie łagodny i sprawiedliwy; nie prześladował Polaków, sam mówił po polsku i nawet własnoręcznie poprawiał korekty sprawozdań teatralnych w „Kurjerze Litewskim“. Lubił Wilno i był lubiany“. (W. Z.).

Do tego ogrodu zwykł przychodzić po obiedzie sam Kutuzow, mając kieszenie pełne cukierków, które rozdawał dzieciom i ich bonom, szczególnie, jeżeli te ostatnie były przystojne. Nie jedna kurtyzana korzystała z tego. Jedna z nich szczególnie zajęła sobą generała. Była tak niezwykle piękną, że nawet panie wileńskie zachwycały się nią, a p. Kutuzow nie wahał się przedstawiać ją znajomym damom. Sam słyszałem, jak mówił do pani Bennigsenowej: — „Czy widziała Pani kiedy kobietę piękniejszą od Anety“, a potem: — „Chodź tu moja kochana, pokaż się pani baronowej“.

Ta osobka znaną była w Wilnie pod nazwą „O s t r o b r a m s k i e j“, ponieważ uprawiała swoje rzemiosło zamieszkawszy w bliskości obrazu Matki Boskiej, który to obraz ściągwał mnóstwo pobożnych, a że znajdował się na bramie „Ostrej“, przeto i Matka Boska na tym obrazie nazywała się Ostrobramską. Ta okoliczność dała powód do następującego *qui pro quo*. Ksiądz Lautrec, emigrant francuski, był obecny przy opisanej wyżej prezentacji Anetki i ma się rozumieć był bardzo zgorszony. Gdy wkrótce złożył wizytę pani Bennigsenowej, zastał ją wyszywającą złotem sukienkę do obrazu. Na zapytanie dla kogo jest ona przeznaczona, pani Bennigsenowa odpowiedziała, że dla „Ostrobramskiej“. Oburzenie księdza, który znał pod tem imieniem Anetkę, granic nie miało. — „Ach, pani, zawołał, jak można do tego stopnia posuwać pobłażliwość dla podobnych kreatur!“

Pan Kutuzow bardzo się interesował Uniwersytetem, ale nie brał przykładu z postępowania swego poprzednika i nie chciał wywierać żadnego wpływu na tę wyższą uczelnię. Nawet nie bez trudu otrzymałem pozwolenie przedstawienia mu studentów, których byłem profesorem. Pragnąc dodać blasku temu przedstawieniu, urządziłem je możliwie uroczyście.

Moi uczniowie, w liczbie pięćdziesięciu, podobni do oficerów, byli ustawieni w półkole, zaś ja stanąłem w środku tegoż, tak, aby mieć przed sobą generał-guber-

natora i audytorjum. Gdy do sali wszedł p. Kutuzow, ozwały się dźwięki muzyki wojskowej. Zagailem posiedzenie przemówieniem francuskim o powstaniu konwiktów medyków, kształconych na koszt skarbu. Następnie poleciłem jednemu ze studentów przeczytać po rosyjsku ustawę. Dodałem od siebie słów kilka, poczem student p. Raczyński w imieniu kolegów dziękował po rosyjsku generał-gubernatorowi za zaszczyt, jaki okazał zakładowi, odwiedzając go. Przemówienie to sam ułożyłem po francusku i poprosiłem o przetłumaczenie tegoż profesora literatury rosyjskiej. Wywiązał się on z zadania znakomicie, a że i deklamacja młodego mówcy była bez zarzutu, to też przemówienie zrobiło dobre wrażenie. Zakończenie było mniej więcej następujące: „Obyśmy jak najprędzej byli w stanie leczyć rany naszych dzielnych żołnierzy, prowadzonych ku nowym zwycięstwom przez bohatera, który zaszczyca nas swoją obecnością“.

Pan Kutuzow był bardzo wzruszony tym komplementem i zapytał mnie, przez kogo przemówienie zostało ułożone. Wskazałem, jako autora, profesora literatury rosyjskiej. P. Kutuzow zaprosił go na obiad. Mając go za wielkiego historyka i znawcę literatury, niebawem spostrzegł, iż jest dość ograniczony. Widząc się ze mną nazajutrz generał ze śmiechem rzekł mi — „Oszukałeś mnie panie Frank, profesor Rosjanin jest za głupi na napisanie mowy, ogłoszonej przez pańskiego ucznia“. Następnie zrobił słuszną uwagę, że minister oświaty powinien był postarać się o jak najlepszego profesora Rosjanina dla Uniwersytetu polskiego, aby dać mu pochlebne pojęcie o narodzie rosyjskim, a nie posyłać niezdarę, z którym nie można rozmawiać bez śmiechu. — „Gdyby wasz kursorator był sprytniejszy, posądzałbym go, że to on, jako patriota Polak, umyślnie popierał ten wybór“.

— „Ekscelencja niezbyt wysokiego mniemania o ks. Czartoryskim?“

— „Naturalnie, że nie. Zawsze znałem go, jako człowieka słabego, dającego się kierować otaczającym go

osobom, zaś do jego lodowatego sposobu trzymania się można zastosować przysłowie: „Milczenie jest cnotą mądrego i ucieczką głupiego“.

Nikt nie umiał prowadzić rozmowy tak, jak p. Kutuzow. Przy obiedzie każde danie nastęczało mu sposobność do powiedzenia czegoś zajmującego i do wciągnięcia do rozmowy współbiesiadników. Tak, jeżeli między nimi byli przyrodnicy, wówczas każde mięso, zwierzyzna, ryby, jarzyna dawały temat do uwag z dziedziny zoologii, lub botaniki. Gdy wśród gości byli lekarze, mówiono o djetetyce; jeśli znajdowali się przy stole podróżnicy, rozprawiano o potrawach narodowych, a w obecności kupców roztrząsano sprawy kolonjalne i dyskutowano nad systemem kontynentalnym. Obiady te byłyby jeszcze przyjemniejsze, gdyby nie niektóre zwyczaje, do których cudzoziemcy nigdy nie będą w stanie się przyzwyczaić. Tak, gdy wnoszono danie, starszy lokaj wybierał z niego najlepszy kąsek i podawał gospodarzowi. Bardziej wyszukane potrawy, jak np. ostrygi, podawano tylko jemu. Wino, którego butelka stała przed nim, było bez porównania lepsze od tego, które nalewano gościom. Wszystko to byłoby skłoniło mnie do unikania obiadów u p. Kutuzowa, gdyby nie ta okoliczność, że czyniono dla mnie wyjątek, który stawiał mnie w kłopotliwym położeniu; ale takie postępowanie było zawsze upozorowane, albo odwołaniem się do mego zdania o potrawie, jako lekarza, lub jako znawcy-gastronoma. Niekiedy znowu generał kazał podawać mi swoje potrawy pod pretekstem, że zabezpieczą mnie one przed chorobami zakaźnymi, albo wzmocnią me siły, wyczerpane pracą.

Jeżeli już p. Korsakow mało dbał o moralność, publicznie ukazując się w łoży ze swemi dwiema córkami nieprawego łoża, to p. Kutuzow poszedł jeszcze dalej, bywając w teatrze z kochanką i jej krewnymi. Publiczność sarkąła, szczególnie na tych ostatnich, ale tolerowała panią Łobarszewską, z domu Narbuttównę, która służąc generałowi, starała się jednak ująć sobie wszyst-

kich. Trzeba przyznać, że była piękną, wykształconą i zachwycająco śpiewała. Urodzenie dawało jej prawo bywania w dobrym towarzystwie. Jednak to ostatnie miało kłopot z przyjmowaniem jej siostry, pani Dolińskiej, której imię Zuzanna, wymawiano ze śmiechem. Te panie miały dwóch kuzynów kanoników. Jeden z nich prałat Dłuski był człowiekiem niepospolicie rozumnym, zaś drugi kanonik Grosmani był skończonym bydlęciem i dopomagał Zuzannie w jej miłostkach. Dawał on jej na schadzki swoje mieszkanie, za co musiała mu ofiarowywać filiżanki porcelanowe, ponieważ był namiętym zbieraczem porcelany, której rzadką kolekcję posiadał.

Następujące opowiadanie (które właściwie odnosi się już do r. 1811) każe przypuszczać, że p. Grosmani pragnął urozmaicić swe zbiory.

Książę Eugenjusz Würtemburski, stojąc z garnizonek w Wilnie, często spędzał wieczory u Kutuzowa. Zasiadając do gry generał zwykle prosił księcia, aby ten odpasł szablę. Gdy pewnego wieczoru w dzień galowy, po skończonej grze, książę wziął swój pałasz, spostrzegł brak w rękojeści tegoż wielkiego solitera, a ponieważ wraz po przyjeździe księcia wszyscy oglądali i podziwiali ten brylant, tedy widocznym było, że został on zgubiony w mieszkaniu p. Kutuzowa. Przeszukano wszystkie kąty, ale solitera nie znaleziono. Upłynęło kilka miesięcy. Pewien oficer, potrzebując pieniędzy, zwrócił się do naczelnego lekarza szpitali wojskowych na Litwie, radcy d-ra Tiffenbacha, z prośbą o pożyczkę pod dobry zastaw, na co doktor-lichwiarz chętnie się zgodził. Gdy Tiffenbach umieszczał otrzymany w zastaw przedmiot w szafie obok innych, oficer spostrzegł znajdujący się tam soliter księcia Würtemburskiego i pośpieszył zawiadomić go o tem odkryciu. Dowiedziano się, że pod zastaw tego klejnotu Tiffenbach pożyczył kanonikowi Grossmaniemu sto dukatów. Za tę sumę książę wykupił swój soliter i sprawę jakoś umorzono.

Wracam jednak do moich uczniów.

Studenci z Romberga, w liczbie piętnastu, przyjechali na wiosnę. Przyjemność, której doznałem na widok tylu ziomków, wkrótce bardzo się zmniejszyła, gdy przekonałem się, że większa ich część jest nieokrzesana i grubijańska, a jeden z nich wcale nie znał łaciny. Nie byli to wcale studenci medycyny, tylko chłopcy od cyrulików. Jednak przypuszczając w nich dobrą wolę i pilność, nie traściłem nadziei, że w końcu dopnę celu i uczynię z nich użytecznych dla państwa ludzi. Pomimo, że byłem przepracowany, jednak codziennie miewałem dla nich godzinę wykładów, aby przygotować ich do słuchania kursów. Uprosiłem prof. Grodka, aby trochę zajął się z nimi łaciną, dając mu do zrozumienia, że prawdopodobnie otrzyma za to wynagrodzenie. Ten człowiek zawsze chętny i oddany sprawie nauczania, nie kazał się prosić. Poradziłem młodemu Niemcom, aby poznajomili się z kilku moimi uczniami Polakami, rozumiejącymi po niemiecku, a którzy mogliby być im pod każdym względem użyteczni. Zamiast tego pozawierali oni znajomość z terminatorami rzemieślników, również Niemcami. Co niedziela cała ta kompanja zbierała się w szynkach podmiejskich, tam się upijała i niekiedy robiła burdy. Wymówki i kary nie osiągały żadnego skutku. Wobec podobnego postępowania nie było co ludzię nadzieją, aby była jaka korzyść z ich nauki. P. Grodek również oświadczył mi, iż oni wcale nie robią postępów w łacinie i że szkoda czasu na te lekcje. Z mojami wykładami było trochę lepiej, ale trzeba było zmuszać ten osobliwy rodzaj słuchaczy do uwagi. Nie przeszkodziło to jednak jednemu z nich zasnąć tak mocno na lekcji, iż upadł z ławki na podłogę z taką siłą, że aż audytorjum się zatrzęsło. Widząc to wszystko postanowiłem niezwłocznie zawiadomić ministra spraw wewnętrznych o tem, jak niefortunnym nabytkiem dla Rosji są studenci Romberscy i prosić go o jak najprędsze zabranie ich z Wilna, gdyż obawiam się ich złego wpływu na moich uczniów Polaków, których postępowanie jest bez zarzutu. Tylko jeden z nich, p. Lewic-

ki, sprawił mi zmartwienie, które jednak skończyło się na śmiechu. Rzecz tak się miała. Kilku studentów cudzoziemców z mego konwikt, wychodząc z lekcji chemji, wszczęło kłótnię i bójkę, do której wniósł się poczwierc Lewicki, przy tem dostał policzek, co, jako dobry chrześcijanin, schował do kieszeni. Dowiedziawszy się o tem, zabroniłem mu nosić mundur studentów, zostających na koszarach skarbowych do czasu, aż przez jakiś czyn chwalebny stanie się go znowu godnym.

Młodzieniec zdawał się ogromnie tą karą zasmucony i odszedł nie rzekłszy ani słowa. Nazajutrz otrzymałem następujący list z czarną pieczęcią: „Gdy pan to pismo otrzyma, mnie już nie będzie na świecie. Lewicki“.

Pomimo, iż to wszystko wyglądało na farsę, jednak pośpieszyłem do klasztoru Bernardynów, w którym ten student mieszkał i wezwałem tam policmajstra. Wytłomaczyłem ojcu Gwardjanowi o co chodzi i we trzech udaliśmy się do pokoju Lewickiego. Drzwi były zamknięte od wewnątrz, a w odpowiedzi na nasze wołanie, usłyszeliśmy tylko jęki. Gdy wysadzono drzwi i weszliśmy do pokoju, znaleźliśmy p. Lewickiego leżącego nawznak na łóżku. Usta jego były wymazane czerwoną rtęcią (Hydrarg. praecipitatum rubrum). Pomimo to, tak z wyglądu, jak z pulsu i wreszcie ze wszystkiego przyszedłem do przekonania, że chłopiec gra komedję, ale ponieważ twierdził, że połknął truciznę, czułem się w obowiązku dać mu na wymioty. W pobliżu nie było apteki, ale każdy z moich uczniów posiadał niewielką kolekcję farmakologiczną, to też kazałem tym, co przybiegli na wieść o zamachu samobójczym, aby mi przynieśli swoje zapasy ipecacuany. Wszyscy pobiegli po lekarstwo. Rozmawiając z policmajstrem powiedziałem temu, który pierwszy wrócił: — „Proszę dać choremu tyle proszku, ile się zmieści na końcu noża“. Student rozmięszał proszek w wodzie i dał Lewickiemu do wypicia. Rzuciwszy okiem na pozostałość w łyżce, spostrzegłem, że zamiast ipecacuany w pośpiechu dano choremu proszek kanta-

rydowy. Maszę rozumieć tem bardziej uznałem za konieczne wywołać wymioty i sam dałem ipecacuane, przyniesioną przez innych bardziej przytomnych studentów. W obfitych wymiotach znajdował się proszek kantarydowy, ale wcale nie było rtęci. Dla p. Lewickiego wszystko skończyło się na strachu i lekkim niedomaganiu. Uważałem, iż był dostatecznie ukarany, naraziwszy się na śmieszność. Studenci mówili między sobą, iż, gdyby miało miejsce istotne samobójstwo, nie omieszkanoby przypisać je mojej zbytnej surowości.

Niedługo potem z rozkazu ministra spraw wewnętrznych zabrano z Wilna studentów romberskich i przeniesiono ich do Uniwersytetu Dorpackiego, który ja sam poleciłem, jako jedyny w Rosji z wykładami w języku niemieckim. Naturalnie, że za tę nieudaną próbę nie dostałem żadnego wynagrodzenia, ale przynajmniej list ministra przekonał mnie, że nie przestałem cieszyć się jego względami.

Wielce Szanowny Józefie Piotrowiczu¹⁾.

Rada medyczna, oceniając pańskie zasługi, jednogłośnie postanowiła powołać pana na swego członka. Odpowiednią uchwałę miałem zaszczyt przedstawić Jego Cesarskiej Mości i otrzymać Jego Najwyższe zatwierdzenie. Poczytuję sobie za przyjemny obowiązek przesłać Panu kopję mego przedstawienia i korzystam ze sposobności, aby powinszować mu tak zaszczytnego odznaczenia, oraz ponowić zapewnienia szacunku, z jakim mam honor być pańskim najniższym sługą

książę Aleksy Kurakin

28 grudnia 1809 r.

Ponieważ ks. Adam Czartoryski powrócił do Petersburga i znowu zaczął pełnić obowiązki kuratora Uniwersytetu Wil., więc d. 10 listopada 1809 r. napisałem do niego list następujący, poprzedzając go krótkim wstępem:

¹⁾ Mój ojciec miał dwa imiona: Jan-Piotr, przeto nazywano mnie to Józef Iwanowicz, to Józef Piotrowicz.

Jaśnie oświecony Książę.

Liczne i różnorodne moje prace, zarówno jak względy, jakich ze strony mieszkańców tego kraju doznaję, mogłyby uczynić me życie w Wilnie bardzo szczęśliwym, gdybym nie doznawał przykrości, pod innymi względami. Obejmując stanowisko profesora, miałem nadzieję, że nowoutworzony Uniwersytet pozwoli mi poświęcić się całkowicie podniesieniu w kraju oświaty i — muszę się przyznać — otworzy mi drogę do sławy, jaką się cieszy mój ojciec. Teraz dopiero widzę, jak się omyliłem i nie będzie mi trudno przekonać o tem i Waszą Książęcą Mość, jeśli zechce mi pozwolić być zupełnie szczerym.

Uniwersytet Wileński, zamiast być instytucją naukową, stał się wyłącznie instytucją ekonomiczną. Zarządzanie dobrami i kapitałami pochłania całą uwagę osób, któreby winny myśleć o pedniesieniu oświaty w kraju. Pomimo rozkazu W. Ks. M., ustawa Uniwersytetu nie istnieje, co gorsza, nikt nad jej ułożeniem nie pracuje. Jak i uprzednio panuje tu samowola (l'arbitraire), która obecnie stała się jeszcze przykrzejszą wskutek niewłaściwego postępowania rektora. Następstwem tego jest, iż każdy się trzyma zosobna, zaś posiedzenia administracyjne bywają bardzo nieliczne. Nie zasługują one nawet na nazwę, którą noszą. Na szczęście to wszystko odbywa się w życiu wewnętrznym akademji. Lecz, cóż powiedzieć o uroczystościach publicznych, które odkrywają przed światem panujący w Uniwersytecie nieład i niedbalstwo. Część profesorów przybywa na uroczystości w togach, inni w mundurach, inni znowu w togach na mundurach, a są i tacy, którzy świecą nieobecnością. Odczyty, wygłaszane na posiedzeniach, albo usypiają audytorjum, albo je skandalizują, jak to miało miejsce z rozprawą p. Capellego, który mówił o prawach męża względem żony. Była w tym odczycie mowa o niewierności małżeńskiej i innych występkach. Dobrze to i ciekawe dla lekcji, ale nie nadaje się do rozprawy akademickiej, wygłoszonej wobec studentów wszystkich fakultetów.

Na szczęście słuchacze przeważnie nic z tej przemowy łaćnińskiej nie zrozumieli, ponieważ zamiast przyjmowania do Uniwersytetu młodych ludzi, którzy ukończyli studja gimnazjalne, dano możliwość wstąpienia do tego przybytku nauki nawet takim, którzy nie umieją czytać, np. cyrulikom. Skandaliczne jest zachowanie się tej młodzieży, zwłaszcza na wykładach fizyki. Nikt nie słucha profesora, jedni się śmieją, inni rozmawiają i t. d., co było przyczyną, iż młodzi książęta Czetwertyńscy, którzy bywali obecni na wykładach, przestali na nie uczęszczać. Smutniejszy fakt zdarzył się pewnego dnia po lekcji chemji. Studenci, wychodząc z audytorjum, wszczęli bójkę, policzkowali się wzajemnie i rzucali jeden drugiego o ziemię.

Ale wracam do uroczystości publicznych. W dni świąteczne, lub galowe, gdy ciało uniwersyteckie powinno być obecne w kościele, częstokroć przybywa tylko rektor, oraz 3—4 profesorów, którzy przychodzą jeden po drugim. Tymczasem muzyka kościelna fałszami rozdziera uszy słuchaczom. Te sprawy, acz małej wagi, lecz wzięte razem, przyczyniają się do wytworzenia wśród publiczności bardzo niepoehlebnego zdania o Uniwersytecie, który powinien być wzorem pod każdym względem. Okoliczności te nabierają daleko większej wagi, gdy się do nich przyłączają takie wydarzenia, jak zawalenie się domu profesora budownictwa, oraz sprawy profesora astronomji, którego pewien student¹⁾ publicznie oskarżył, iż w ciągu roku miał ledwo kilka wykładów. Sprawa ta, jakkolwiek nieznaną rektorowi, bardzo źle wrażenie sprawiła w mieście. Mogę upewnić W. Ks. M., iż nigdy nasz Uniwersytet nie stał tak nisko w oczach władzy i publiczności, jak to ma miejsce obecnie. A jednak zmiana gubernatora wojennego mogłaby mieć dla Uniwersytetu

¹⁾ Student Kobecki ze Żmudzi (przyp. prof. M. Homolickiego).

doniosłe znaczenie, ponieważ p. Kutuzow zawsze był i jest przyjacielem i opiekunem nauk i tych, co im służą.

Jaką atoli odpowiedź można dać na pytanie: „Co robi dla Państwa Uniwersytet tak bogato uposażony?”

Nie śmiem wypowiedzieć mego zdania w ogólności o Seminarjum duchownem, muszę jednak zaznaczyć, że jego strona zewnętrzna przedstawia się wcale niekorzystnie. Wszystko tam brudno, zaś seminarzyści pokazują się między publicznością, nie zachowując decorum, przynależnego ich stanowi.

Seminarjum pedagogiczne nie lepiej się przedstawia. Uczniowie tego zakładu słusznie narzekają, iż położenie ich wielce się różni od położenia studentów medycyny, utrzymywanych kosztem skarbu, a którzy tworzą korporację wspaniałą i szanowną. Z równą słuszością uskarżają się oni na obarczenie pracą, źle rozłożoną. Istotnie, zamiast podziału uczniów na dwa wydziały, z których jeden kształciłby młodzież w naukach fizycznych, drugi w naukach moralnych i w literaturze, wymagają od uczniów, aby jednakowo studjowali wszystkie te nauki i aby byli w stanie po pewnym czasie zająć każdą katedrę, jaka im w gimnazjach zostanie powierzona.

Nawet instytut studentów na koszcie skarbowym jest daleki od doskonałości, jaką mógłby osiągnąć, jeśliby na wydziale medycznym pod niektórymi względami wprowadzono stosowne zmiany.

W czasie nieobecności W. Ks. M. zrobiłem o tem przez gubernatora cywilnego wileńskiego, jako zwierzchnika zakładu, przedstawienie panu ministrowi spraw wewnętrznych, który przesłał je ministrowi oświaty. Skarżyłem się głównie na wadliwy rozkład godzin, oraz na wprowadzony zwyczaj dawania lekcji 4 razy na tydzień po 1 i pół godziny, zamiast codziennie po godzinie. Zwracałem również w tem piśmie uwagę na niektóre warunki, wpływające szkodliwie na postępy uczniów.

O innych zamilczałem, jak np. o tem, że p. Becu co-rocennie ogłasza w programie swych lekcji kurs higieny i

policji lekarskiej, w rzeczywistości zaś nietylko nie mie- wa tych wykładów, lecz nawet nigdy ich nie rozpoczy- nał, a także o tem, że p. Jundziłł czyni to samo z ekskur- sjami botanicznymi. Przedstawienie swoje zakończyłem propozycją, aby mi powierzono główny nadzór nad nau- kami fizyko-medycznymi. Miałem nadzieję wówczas pod- nieść fakultet lekarski. Nie wiem, jak mój list został przy- jęty przez ministra oświaty, ale od ministra spraw we- wnętrzych otrzymałem bardzo pochlebną odpowiedź.

Wszakże ostatnie moje zabiegi u rektora przekonały mnie, że użyty przeze mnie środek nie był wystarczający. Rektor, który o wszystkim decyduje tonem wyniosłym, jak uważałem, kończy każdą podobną rozmowę powoły- waniem się na Uniwersytet Krakowski, który według je- go zdania jest wzorem doskonałości.

Pomimo nieporządków, istniejących na wydziale le- karskim, fakultet ten jest jedynym, który się cieszy względnie niezłą opinią. Za to wydział prawny wcale nie kształci uczniów na dobrych prawników. Nasi adwokaci zupełnie nie uczęszczają na wykłady prawa i dyskredy- tują swój zawód; sędziowie nie lepiej od nich są obezna- ni z prawem. P. Capelli również bez skutku przedstawił projekt uporządkowania wykładów na wydziale praw- nym. Tylko matematycy są u nas uważani za ludzi uży- tecznych i względami cieszą się tylko nauki fizyczne. Za to nauki moralne i polityczne są poczytywane za przed- mioty bardzo małej wagi. Zachowanie form przyzwoitości ze strony ludzi nauki u nas nie istnieje, to też coraz bar- dziej tracimy sympatję publiczności. Oburzającą jest bru- talność, na jaką bywają narażone osoby, zwiedzające ogród botaniczny. Kilka osób wybitnych spotkało się tu z obelgami. W ogrodzie dotąd sadzą kapustę i pomimo rozkazu W. Ks. M. przez całe lato ubiegłe ogród nie był oczyszczany z chwastów i zielska.

Może z większą uprzejmością spotkalibyśmy się w gabinecie zoologicznym, gdyby można było rzec, że ta-

ki istnieje, nie posiada on bowiem nawet setnej części zwierząt litewskich.

Pozbawiony jest również Uniwersytet gabinetu anatomicznego i nigdy go mieć nie będzie bez zdolnego profesora; tego zaś stale mieć nie życzymy. Jakie poniżenie dla Uniwersytetu Wileńskiego, zwłaszcza przy porównaniu jego zbiorów ze zbiorami, znajdującymi się w Dorpacie. Nowe laboratorium chemiczne może zrobić korzystne wrażenie, szczególnie, jeśli postaramy się zapomnieć o okolicznościach, które budowie tego gmachu towarzyszyły. Zniesiono dom, kupiony od Mikulicza i pozostawiono zeń tylko cztery ściany kapitalne, w zamiarze skorzystania z nich dla wzniesienia laboratorium. Gdy już przystąpiono do budowy pod kierunkiem profesora architektury, Szulca, dopiero teraz spostrzegł on, że fundamenty nie wytrzymają ciężaru nowego gmachu. Zdwojono grubość murów, co wpłynęło na uszczuplenie sali, przeznaczonej na audytorjum, oraz pociągnęło za sobą nieprzewidziane, znaczne wydatki. Nie było rzeczą właściwszą zachować ten dom, a laboratorium wybudować w innym miejscu. Wydatek byłby prawie ten sam, a gdyby nawet poszło na to jakie dwa tysiące rubli, Uniwersytet zachowałby przynajmniej stary dom i nie miałby teraz kłopotu z mieszkaniami dla profesorów.

Uniwersytet nasz ma i inne liczne braki, które czułbym się w obowiązku opisać, gdybym nie obawiał się nadużyć cierpliwości W. Ks. Mości. Sądzę jednak, że powiedziałem dosyć, aby usprawiedliwić propozycję, którą ośmielam się uczynić na końcu tego listu. Obecny stan Uniwersytetu pozwala przewidzieć, że instytucja ta z dniem każdym będzie traciła w oczach mieszkańców tego kraju i że wystarczy przyjazdu kilku podróżnych, aby zdyskredytować ją również za granicą. Prorokuje jeszcze więcej: Waszej Ks. Mości zaciąży nareszcie stanowisko kuratora.

Co do mnie, nie mogę zamilczeć, że nie chcąc brać na siebie części wstydu, poważnie myślę o połączeniu się

z moim ojcem. Uczynię to, jak tylko ostatecznie stracę nadzieję ujrzenia naszego Uniwersytetu w stanie kwitującym.

Jeżeli nadziei tej dotąd się nie pozbyłem, to tylko dlatego, że tuszę sobie, iż W. Ks. Mość łaskawie raczy przyjąć projekt, który ośmielam się przedstawić.

1-o. Odjąć Uniwersytetowi zarządzanie funduszami etc. i to wszystko powierzyć osobnej komisji, a to w celu, aby rektor i profesorowie na przyszłość oddawali się wyłącznie nauczaniu i staraniom około dźwigania nauki.

2-o. Prosić Jego Cesarską Mość o mianowanie rektora na lat trzy.

3-o. Obowiązać nowego rektora, aby najdalej w ciągu 3 miesięcy przedstawił do zatwierdzenia wyższej władzy statut Uniwersytetu.

4-o. Rozkazać, aby komitet stanowiący dyrekcję szkół, został uznany w statucie Uniwersytetu.

Zawieszenie prawa wyboru rektora nie powinno wydawać się dziwnem, albowiem wszyscy wybierani dotąd przez Uniwersytet rektorowie wcale nie dbali o wprowadzenie w nim porządku. Tak wielkiemu dziełu nie może podolać jeden człowiek, zaś szczególne przywileje Uniwersytetu winny mu być przyznane dopiero wówczas, gdy cały mechanizm będzie prawidłowo i samoistnie działał. Jeśli i tym razem pozostawić Uniwersytetowi prawo wyboru rektora, prawdopodobnie nadal zostanie na urządzie p. Jan Śniadecki, albo też wybór padnie na Kundzicza lub Mickiewicza. Trzyletnie doświadczenie pokazało, czego się można spodziewać po pierwszym z tych panów. Nie trudno również przewidzieć, jak będzie postępował drugi! Gdyby p. Grodek umiał lepiej się urządzać z własnymi sprawami i gdyby nie pozaciągał długów u kilkunastu członków Uniwersytetu, byłby on pod wieloma względami odpowiedni na rektora.

Zważywszy powyższe okoliczności i czystość moich intencji, jak również tusząc, iż W. Ks. Mość zna mój sposób myślenia, nie waham się z zaofiowaniem siebie

na stanowisko rektora na trzy lata następne. Nie laski żądam, lecz uważam to za jedyny środek ku dźwignięciu Uniwersytetu, który się chyli ku zupełnemu upadkowi.

Nie mało mnie kosztuje to wyznanie, lecz nie mogę milczeć, gdy widzę zło, które naprawić czuję się zdolny. Jeżeli W. Ks. M. raczy przyjąć moją propozycję, zaręczam mu słowem honoru, iż Uniwersytet nasz w krótkim czasie zrówna się z najprzedniejszymi akademjami Europy i że duch, jakim będzie ożywiony obejmie cały kraj, którego mieszkańcy będą go błogosławić.

Poczuwam się atoli do obowiązku wskazania na niektóre trudności, z jakimi będzie połączone przyjęcie mojej propozycji.

Przyjmując obowiązki rektora, musiałbym wyrzec się praktyki, t. j. środków do życia. Przy największej oszczędności wydają rocznie 6 tysięcy rubli. Tysiąc dwieście rubli stanowiących pensję rektora, wystarcząłyby zaledwie na pokrycie wydatków, jakie pociąga za sobą reprezentacja tego urzędu.

Wobec tego byłbym w stanie przyjąć nominację na rektora jedynie z pensją, któraby zaspokajała moje potrzeby i która byłaby równa pensji pobieranej w naszym Uniwersytecie przez mego ojca. Oczywiście, po złożeniu urzędu rektora nie będę rościł pretensji, aby mi i nadal tę sumę wypłacano.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania
prof. Józef Frank.

ROZDZIAŁ XVII.

Projekt reformy Uniwersytetu Wileńskiego.—List księcia A. Czartoryskiego.—Przygoda w drodze.—Nieudany obiad dla cesarza Aleksandra.—Dr. Liboszye i okulista Smith.—Ożenienie się prof. Capellego.—Śpiewak sopranista Torquinio.

Stanowisko rektora Uniwersytetu Wileńskiego różni się od takiegoż rektora innych uniwersytetów, ponie-

waż tam rektor wybierany najczęściej na rok jeden, jest tylko pierwszym między równymi. Przeciwnie, rektor wileński był naczelnikiem oświecenia publicznego w dziełach gubernjach¹⁾, które pod względem obszaru przewyższają niejedno królestwo. Stanowisku rektora, również, jak gubernatora, przysługiwała ranga radcy stanu. Od samego założenia Uniwersytetu zajmowali je tylko biskupi i inne znakomite osoby.

Chociaż wybierani tylko na trzy lata, rektorowie zwykle piastowali tę godność znacznie dłużej, ponieważ mieli sposoby na to, aby ich wybierano ponownie. Przed zaproponowaniem siebie na rektora, dobrze przygotowałem się do pełnienia jego obowiązków i odświeżyłem w pamięci wszystko, co wiedziałem o organizacji zakładów naukowych w Getyndze, Pawji, Wiedniu oraz tych, które poznałem podczas moich podróży po Niemczech, Francji, Anglii i Szkocji. Przystudjowałem także kilka dzieł o Uniwersytetach, z których to dzieł najbardziej trafiła mi do przekonania praca Meinersa. Nie brak mi było również znajomości miejscowych warunków²⁾; język polski znałem już na tyle, ile tego wymagały sprawy. Zresz-

¹⁾ Okręg naukowy wileński, nad którym nadzór miał Uniwersytet Wileński, składał się z gubernji: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohilewskiej, kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej. W całym tym ogromnym okręgu Uniwersytet miał pod swoim zarządem wszystkie szkoły i trzymał niejako wszystkie nici wychowania w swoim ręku, przez co na całym tym obszarze wytworzył system jednolity wychowania publicznego. (W. Z.).

²⁾ Pod tym względem Frank ludził się. Właśnie nie znał on duszy polskiej, nie znał i nie rozumiał dążeń i ideałów społeczeństwa polskiego. Nie pojmował, i nie współczuł usiłowaniom Czartoryskiego i Śniadeckiego, aby stworzyć polską wszechnicę. Jak to widać z innych miejsc Pamiętników, Frank był zwolennikiem rządu rosyjskiego i potępiał Polaków za to, że nie chcą pogodzić się ze swoim losem. W liście do kuratora Fr. proponował poprostu zamach na samorząd Uniwersytetu Wileńskiego. (W. Z.).

tą francuski i łacina, aż nadto wystarczały dla korespondencji z uczonymi. Gdyby nieudolne rządy p.p. Stroynowskiego i Śniadeckiego i ich niewybaczalne pod każdym względem błędy, nie zadały Uniwersytetowi Wileńskiemu ciężkiego ciosu, możnaby z niego uczynić zakład jedyny w swoim rodzaju.

Przedewszystkiem należało sprzedać wszystkie budynki uniwersyteckie i dołączywszy otrzymane stąd pieniądze do olbrzymich kapitałów, jakie Uniwersytet posiadał, dzięki szczodroblewości cesarza Aleksandra ¹⁾, wybudować, że użyję tego wyrazu, przedmieście akademickie. Do tego znakomicie nadawała się Pohulanka, która graniczyła od wschodu z miastem Wilnem, od zachodu z lasami Zakretu, od północy miała Wilję, zaś od południa obszerną równinę. Tu można było zgrupować wszystkie niemal budynki uniwersyteckie, mieszkania profesorów, seminarja, kolegia, słowem wszystko, co miało związek z Uniwersytetem. Źródła Wingierskie i Wilja dostarczałyby w obfitości wodę dla wodotrysków, któremi możnaby ozdobić miejscowość, również jak urządzeniem ogrodów, alei, ustawieniem posągów i t. d. Wszystko to dałoby się wykonać w niespełna dwadzieścia lat, a korzyść byłaby niezaprzeczoną, ponieważ zyskanoby wyśmienite powietrze, ciszę, możnaby mieć własną policję i t. d.

W r. 1804 projekt ten jeszcze był wykonalny, ale już nie w 1809-tym, chociaż i teraz jeszcze dałoby się wiele

¹⁾ Szczodroblewość ta wyraziła się w tem tylko, że na utrzymanie Uniwersytetu Wileńskiego przeznaczono dochody z dóbr po-jezuickich, zatem wszystkie ziemie, majątki, domy, należące dawniej do akademji jezuickiej, a potem do Szkoły Głównej litewskiej. Cesarz Aleksander I w akcie swoim zaręczył, że dobra te i dochody stanowią na wieczne czasy własność Uniwersytetu i nie mogą być użyte na inne cele: „ręczy my za to Imperatorskiem słowem Naszem za Nas i za Naszych następców“. (W. Z.).

zrobić. Oto co zamierzałem uczynić, gdybym został rektorem.

Miałem na celu tylko dobro publiczne, przedewszystkiem dlatego, że tak być powinno, a potem i dlatego, iż byłem przekonany, że jeżeli nie będą widoczne usługi oddane przez Uniwersytet państwu i wszystkim warstwom ludności, w takim razie wcześniej, lub później kapitały oddane Uniwersytetowi i przyznane mu przywileje staną się przyczyną jego zguby, ponieważ wzbudzą zawiść u naczelników innych części administracji, które często cierpią niedostatek, zaś naczelnicy najczęściej są za mało inteligentni, aby mogli ocenić dobrodziejstwa oświaty. Takich ludzi należy namacalnie przekonywać o pożyteczności dla ogółu Uniwersytetu. Najlepszą ku temu sposobność nastęrczały posiedzenia publiczne przy końcu roku, na których to posiedzeniach zbierali się przedstawiciele administracji, szlachta, duchowieństwo i obywatele miasta, należący do różnych sfer. Potrafiłbym uczynić takie posiedzenia interesującemi. Dwunastu inwalidów stróżów stanowiłoby policję na zewnątrz Uniwersytetu, zaś woźni wszystkich wydziałów, pełniący obowiązki pedłów, utrzymywaliby porządek wewnątrz gmachu. Profesorowie wdziawaliby togi. Wielki amfiteatr zajmowałiby studenci w mundurach odmiennych dla każdego wydziału. Przedstawiając ich zebraniu wygłosiłbym odpowiednią mowę ¹⁾

Domagałbym się aby biblioteka, gabinety i inne urządzenia uniwersyteckie nie służyły wyłącznie studentom, ale, aby były dostępne dla wszystkich, kto tylko zechce zastosować się do przyjętego regulaminu.

Zamiarem moim było podzielić Uniwersytet na pięć fakultetów:

¹⁾ W Pamiętnikach swoich Frank przytacza swoją mowę, którą wygłosił, gdyby był rektorem. Opuszczam ją. (W. Z.).

1. Wydział nauk ogólnych, t. j. niezbędnych dla wszystkich osób, które pragną ogólnego wykształcenia. Mam na myśli: matematykę, logikę, geografję, historję, archeologję, numizmatykę, literaturę starożytną i współczesną, fizykę, historję naturalną, antropologję i chemję. Ten, co kursu tych nauk nie przeszedł, nie może być przyjęty na inne wydziały.

2. Wydział teologiczny, urządzony przy seminarjum duchownem i zarządzający kościołem uniwersyteckim, który to kościół powinien wyróżniać się porządkiem, nabożeństwem, kazaniami i muzyką. W seminarjum kształconoby dwudziestu chłopców, obdarzonych pięknym głosem, na przyszłych nauczycieli szkoły organistów, a tym czasem tworzyliby oni chór kościelny. Znalazłyby się również tenory i basy, szczególnie przy dobrych nauczycielach śpiewu. Wydziałowi teologicznemu przysługiwałoby prawo wybierania członków honorowych, począwszy od biskupów, przez co ci ostatni, mając wpływ na seminarjum duchowne, nie stawaliby w opozycji względem Uniwersytetu.

3. Wydział prawny również powinien mieć prawo mianowania członków honorowych, np. prezydentów trybunałów, magistratów, a także wybitnych adwokatów. Uniwersytet byłby niezmiernie wdzięczny tym panom za dopuszczanie na ich posiedzenia celujących studentów.

4. Wydział lekarski, w którym także wykładanoby chirurgję i położnictwo. Postawiłbym sobie za cel życia i chwałę uczynić ten wydział doskonałym z możliwie niewielką liczbą profesorów, bez zbytecznego rozdrabniania nauk i przy zachowaniu ciągłej łączności praktyki z teorią. Apteka uniwersytecka dopomagałaby do kształcenia młodych farmaceutów, zaś instytut macierzyństwa byłby niezmiernie pomocnym przy nauczaniu praktycznego położnictwa. Moją klinikę powiększyłbym o dwie sale, a to dla leczenia chorych dzieci. Posiadaliśmy już

kilka pokojów dla obłąkanych, dla cierpiących na wodę w głowie i t. d.

W celu rozwoju praktycznych zajęć studentów należałoby, aby wszystkie szpitale wileńskie zależały od Uniwersytetu. Do fakultetu medycznego zostałby również przyłączony 3-ci wydział Towarzystwa Dobroczynności.

5. Wydział nauk matematycznych, ekonomicznych i politycznych, obejmowałby wyższą matematykę, astronomję, matematykę i chemję zastosowane do sztuki, górnictwo, szkołę rolniczą (urządzoną w fermie) ekonomję polityczną, handlową, domową i filantropijną, oraz statystykę i dyplomację.

Zamiast wydziału i profesorów sztuk pięknych, dałbym Uniwersytetowi dobrych nauczycieli rysunku, malarstwa, rytownictwa, rzeźby, muzyki, tańców, konnej jazdy, pływania, obowiązuąc pierwszych, aby dopomagali profesorom medycyny w ozdabianiu ich prac rycinami. Uniwersytet miałby również specjalistów od modelowania z wosku i wypychania zwierząt. Zastąpiłbym również profesorów nowożytnych języków przez nauczycieli, ponieważ pierwsi kosztują drogo i niechętnie dają prywatne lekcje w mieście. Przedewszystkiem użyłbym tych nauczycieli dla instytutu guwernerów i guwernantek, który to instytut założyłbym w Wilnie na wzór stworzonego przez hr. Czackiego w Krzemieńcu.

Na zapytanie, czy na wykonanie moich projektów wystarczyłyby dochody Uniwersytetu, z głębokiem przekonaniem odpowiedziałbym twierdząco, tem bardziej, że dochód 420 tysięcy franków z łatwością dałoby się zwiększyć jeszcze o 200 tys. franków przez wyzyskanie beneficjów duchownych, przywiązanych do Uniwersytetu i przez odzyskanie majątków ziemskich, niegdyś do Jezuitów należących, a które znajdowały się w obcych rękach, gdy powinny były stanowić część funduszu oświecenia publicznego. Niemniej, w razie potrzeby założenia nowej instytucji pożytecznej, można rachować na

wspaniałomyślność Cesarza i na hojność magnatów. Można by również pobierać pewną zapłatę od zamożnej młodzieży, uczęszczającej do Uniwersytetu, ponieważ dawanie jej darmo nie tylko nauki, ale także stopni naukowych i dyplomów, jest szczodrobliwością trochę za daleko posuniętą.

Powyższe źródła dochodów i niektóre oszczędności dałyby mi możność nagradzania gorliwszych profesorów, ponieważ jestem przekonany, że jedną z przyczyn ich zaniedbywania się jest pewność, że niezależnie od gorliwości w pełnieniu obowiązków, zawsze będą oni jednakowo opłacani. Wielu z nich patrzy na katedrę, jako na synkurę i tylko niektórzy marzą o sławie.

Za mego rektoratu nie zostałby profesorem nikt, kto by przedtem nie dał się poznać światu uczonemu przez kilka prac z odnośniej dziedziny nauki. Gdyby znaleźli się tacy ludzie w kraju, mieliby oni pierwszeństwo; w razie przeciwnym sprowadzałbym profesorów z zagranicy.

Prawdę mówiąc, pensja profesorska sześć tysięcy franków wcale nie stanowi atrakcji dla uczonych zagranicznych, cieszących się sławą we własnym kraju (bo tylko takich zapraszałbym), tem bardziej, że musieliby mieszkać w surowym klimacie, ale z drugiej strony mogły pociągnąć do Wilna uczonych obcokrajowców bezpłatne mieszkanie, niezależność, rangi, łatwość otrzymywania nagród, jak również nadzieja emerytury z pensją dożywotnią, tem bardziej, że południe Europy wciąż było teatrem wojny i ofiarą żadnego sławy Bonapartego.

Należy tu zaznaczyć, że ani p. Stroynowski, ani p. Śniadecki nie pomyśleli o stworzeniu funduszu emerytalnego dla profesorów. Mojem zdaniem należało to uczynić, jak również założyć kasę dla wdów. Zdolność zastanawiania się tych panów była do takiego stopnia ograniczona, że chociaż Uniwersytet posiadał kilkanaście gmachów, zaś w Wilnie pożary wcale nie były rzadkie, nigdy nie pomyśleli oni o usunięciu, lub zmniejszeniu nie-

bezpieczeństwa od ognia za pomocą środków powszechnie w Europie praktykowanych. Nie lepiej były zabezpieczone należące do Uniwersytetu rozmaite zbiory. Każdy z profesorów był, że tak powiem, gospodarzem kolekcji, odnoszących się do wykładanych przezeń przedmiotów. Śmiało mógłby sprzedać trzecią część kolekcji i niktby tego nie zauważył. Jabym domagał się, aby wszystkie gabinety były oddane pod dozór jednego kustosa, po złożeniu przez niego odpowiedniej kaucji. Największą uwagę zwróciłbym na bibliotekę, ponieważ, mojem zdaniem, jest ona duszą każdego Uniwersytetu. Książnica wileńska zawdzięcza swój początek Jezuitom, którzy nawet pomyśleli o zaopatrzeniu jej w dzieła lekarskie. Po zreformowaniu Uniwersytetu na bibliotekę przeznaczono tylko ośm tysięcy franków rocznie, licząc w to pensję bibliotekarza i innych pracowników. To też można sobie wyobrazić, w jakim biblioteka jest stanie, szczególnie, jeżeli przypomnieć, że na bibliotekę w Getyndze Uniwersytet wydaje dziesiątą część swoich dochodów. Nie uspokoiłbym się dotąd, aż biblioteka wileńska miałaby do rozporządzenia rocznie 40 tysięcy franków. Miałbym w różnych krajach agentów, którzyby nabywali biblioteki, sprzedawane z licytacji, a pierwszorzędne księgarnie europejskie zaopatrywałyby nas w najnowsze dzieła. Ale w wyborze książek kierowałbym się tylko ich użytecznością, ponieważ jestem tego zdania, że wydania wytworne, luksusowe powinny znajdować się tylko w bibliotekach cesarskich i królewskich, książnice zaś uniwersyteckie mają posiadać tylko takie książki, które bez obawy można dać w ręce osób chcących się uczyć i nawet trzeba się cieszyć, gdy takie książki wracają zużyte. Aby pieniądze, na ten cel użyte, wydały owoce pożądane, postarałbym się, aby biblioteki były otwarte także w niedziele, dnie świąteczne, podczas wakacji i w każdym razie sześć do ośmiu godzin z rzędu. Albowiem otwierać je tylko na czas trwania wykładów i tylko na godzin kilka, to znaczy, kpić sobie z publiczności. Pomyślałem i o tem,

że w razie urzeczywistnienia moich projektów, byłaby potrzebna dość znaczna liczba pracowników.

Nasz Uniwersytet wydzierzawia rozmaitego rodzaju kupcom sklepy, znajdujące się w jego domach. Jabym oddawał te sklepy tylko kupcom, sprzedającym dzieła sztuki, ryciny, obrazy, mapy geograficzne, instrumenty fizyczne i t. d.

Postarałbym się nawet o urządzenie kawiarni akademickiej, albo Minerwy, jedynej, do której studenci mieliby prawo uczęszczać, ale tu nie byłyby dopuszczone ani fajki, ani likiery. Przy kawiarni można by urządzić czytelnię. Pozwoliłbym również studentom bywać od czasu do czasu w teatrze, ale tylko na takich przedstawieniach, o których wiedziałbym, że mogą dobrze wpływać na wyrobienie gustu. Nawet nie miałbym nic przeciwko temu, aby młodzież akademicka raz do roku urządziła bal dla znajomych rodzin.

Miałem w projekcie znaleźć kilku profesorów emerytów, z których utworzyłbym komitet opiekuńczy przy Uniwersytecie i gimnazjum. Rodzice, mieszkający daleko oddawaliby pod opiekę tego komitetu swych synów, powierzaliby jemu przeznaczone dla nich pieniądze i t. d. Nikt nie miałby prawa lokować uczniów na stancjach bez pozwolenia komitetu, który dawałby je dopiero po przekonaniu się o moralności i dobrem prowadzeniu się gospodarza stancji.

Wreszcie, będąc przekonany, że studenci często psują zdrowie i obyczaje uczęszczając do złych traktjermi, już miałem na widoku pewnego dzielnego i zacnego człowieka, któremu dałbym bezpłatnie lokal w jednym z domów uniwersyteckich na urządzenie restauracji z warunkiem, że studenci znajdą w niej za cenę umiarkowaną zdrowy pokarm, odpowiedni dla ludzi, zmuszonych prowadzić życie mniej lub więcej siedzące. Taka restauracja mogłaby jednocześnie być szkołą dla pragnących poświęcić się sztuce kulinarnej.

Wspomniałem już, że w Wilnie, mówiąc o zakładach

naukowych, nie robią różnicy pomiędzy wyrazami: Uniwersytet i Akademia. Miałem zamiar wyjaśnić tę różnicę, przedstawiając Uniwersytet, jako zakład, mający na celu nauczanie młodzieży, zaś Akademię, jako instytucję, której zadaniem powinno być posuwanie nauki naprzód. Akademia powinna miewać własne posiedzenia, na których akademicy mają odczytywać swoje prace z dziedziny wszelkich nauk, a następnie sporządzać akty. Nie Uniwersytet, jak było dotąd, ale tylko Akademia może mieć członków honorowych i wydawać pismo na wzór „Gelehrte Anzeigen“, wydawane w Getyndze. Uniwersytet i Akademia wileńskie powinny być źródłem światła dla ośmiu gubernji podległych ich naukowemu zwierzchnictwu. Każde liceum, każde gimnazjum powinny szerzyć to światło w swojej prowincji. Jako rektor nie poprzestałbym na raportach delegowanych przez Uniwersytet wizytatorów szkół, ale własnymi oczami starałbym się widzieć stan rzeczy i na każdym kroku zaznaczałbym, jak wielkie znaczenie nadaję tym zakładom. Szybkość, z jaką podróżują na Litwie, Wołyniu i Podolu, szczególnie, gdy się jedzie w sprawach rządowych, pozwoliłaby mi być wszędzie bez uszczerbku dla moich obowiązków wileńskich. Nieskończenie ułatwiałby mi zadanie podział kancelarji uniwersyteckiej na oddziały: administracyjny, naukowy, oraz gimnazjów, liceów i innych szkół.

Takim był mój projekt reformy Uniwersytetu Wileńskiego. Na mój list do naszego kuratora, przytoczony w rozdziale poprzednim, otrzymałem odpowiedź następującą:

„Szanowny Panie.

Otrzymałem list pański z d. 10 listopada. Wysłanie listu było prawdopodobnie bardzo opóźnione, ponieważ doręczono mi go dopiero po upływie trzech tygodni. Oddaję zupełną sprawiedliwość pobudkom, które panu to pismo dyktowały, gdyż zasługują one na najwyższą pochwałę. Wierzę, że kierowało Panem tylko pragnienie

dobra dla oświaty publicznej, ale powodowany gorliwością i przejęty chęcią udoskonalenia Uniwersytetu, odmalował Pan ten zakład w zbyt czarnych barwach. Wiadomo mi, że są tam braki i nadużycia, ale mają one znaczenie drugorzędne, chwilowe i z łatwością dadzą się usunąć bez potrzeby uciekania się do środków nadzwyczajnych. W tym właśnie celu mam zamiar tej jeszcze zimy przyjechać do Wilna i chociaż nie mogę jeszcze ściśle określić czasu, kiedy to nastąpi, nie mniej jednak podróż ta jest postanowiona, o czym już zawiadomiłem pana Rektora Śniadeckiego. Cieszy mnie, że zgadzamy się ze sobą w niektórych kwestjach, dotyczących Uniwersytetu. Właśnie opracowuje się projekt odjęcia Uniwersytetowi zarządzania jego majątkami, co dlań jest bardzo uciążliwe i powierzenie tegoż osobnej komisji. Wiadomo także Panu, że uznają konieczność szczegółowego regulaminu dla Uniwersytetu. Co do mianowania Rektora, niestety, nie mogę podzielić zdania pańskiego, bo przede wszystkim nie da się pogodzić z naszą ustawą propozycja pańska, aby rektora mianował Cesarz. Zrozumiem Pan, jak niebezpieczną jest rzeczą najmniejsze chociażby podkopanie fundamentów, na których się wspiera cały gmach Uniwersytetu. Jeżeli obecnie my sami pogwałcimy naszą ustawę, to któż zaręczy, że w przyszłości dyplom rektorski nie będzie dawany pierwszemu, kto zażąda, jak obecnie dają patenty na rangę radcy? Proszę dodać jeszcze, że ubiegający się o stanowisko rektora, członek Uniwersytetu, aby dopiąć celu, mógłby używać środków niepożądanych. Uważam, że bardziej właściwym jest stosowanie się do form przyjętych.

Znając pańskie zdolności i zalety, nie wątpię, że pan mógłby pełnić obowiązki rektora z niemałym dla Uniwersytetu pożytkiem, ale trzeba pamiętać, że Pan zajmuje dwie katedry, stoi na czele instytutu uczniów skarbowych i ma obszerną praktykę, której nie mógłby pan porzucić wobec próśb pacjentów i ze względu na straty materialne. Te to wszystkie zatrudnienia razem wzięte

pochłaniałyby Panu cały czas i niewieleby go zostawało na pełnienie obowiązków z nową posadą związanymi. Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że Pan nie nadaje się na rektora. Owszem, w przyszłości może Pan o to stanowisko ubiegać się, ale obecnie na rektorze leży wiele spraw najrozmaitszej natury, które wymagają znajomości kraju, jego praw, urządzeń i obyczajów. Ten, który nim zostanie, musi im poświęcić swój czas całkowicie. Zdaje mi się, że p. Śniadecki posiada wszystkie te zalety. Zna on dobrze bieg spraw, cieszy się powszechnem w kraju poważaniem, ma zaufanie p. Wawrzeckiego, również jak członków Komisji Wileńskiej i Wołyńskiej. Ci, co widzą w nim niejakie wady, nie powinni zapominać, że ma on również wielkie zasługi. Dlatego to sądzę, iż powinien on i nadal pozostać na stanowisku rektora i że Uniwersytet tyłkoby ucierpiał, gdyby go kim innym zastąpiono. Proszę mi wierzyć, że nie rządę się partyjnością i że nie mam do nikogo uprzedzenia. Rozpatrzyłem sprawę wszechstronnie, zważyłem wszystkie za i przeciw i dopiero po głębokim zastanowieniu, o czym zapewniam pana słowem honoru, przyszedłem do przekonania, że najlepiej postąpię, jeżeli w chwili obecnej będę przemawiał za p. Śniadeckim. Mam nadzieję, że Pan uwierzy w czystość moich intencji, zgodzi się z memi poglądami i nie będzie miał nic przeciwko ponownemu wybraniu p. Śniadeckiego na następne trzechlecie.

Niech Szanowny Pan będzie przekonany, że jednako leży mi na sercu rozwój wszystkich gałęzi wiedzy w naszym Uniwersytecie, bez wyróżnienia którejkolwiek z tychże.

Pisze Pan, iż w czasie mojej nieobecności, przesłał ministrowi spraw wewnętrznych memorjał w sprawie instytutu skarbowego studentów medycyny, w którym to memorjale proponował Pan niektóre zmiany w rozkładzie godzin i w obecnym stosunku pańskim do Uniwersytetu. Ponieważ memorjału nie czytałem, przeto nic o nim powiedzieć nie mogę.

Nie wątpię, że poglądy pańskie mogą być słuszne, ale muszę zwrócić pańską uwagę, iż posunął pan swą gorliwość za daleko. Bywają okoliczności, w których najlepsze chęci prowadzą do skutków wręcz przeciwnych tym, jakich się spodziewamy. Według ustawy nie powinien Pan być posyłać swego podania do ministra spraw wewnętrznych inną drogą, jak tylko przez kuratora, a w razie mojej nieobecności należało je przesłać ministrowi oświaty, tem bardziej, że tylko on może rozstrzygnąć poruszone przez Pana kwestje. Poco poddawać Uniwersytet wpływom obcym, gdy tyle włożyliśmy pracy, by go od tych właśnie wpływów wyzwolić i gdy w naszym własnym interesie leży nigdy ich nie dopuszczać. Gdyby panu udało się uzyskać potwierdzenie swego projektu za pomocą użytych przez Pana środków, powiedzianoby, że Pan podkopuje fundamenty Uniwersytetu, dezorganizuje go i burzy aż do podstaw system oświecenia publicznego w naszym kraju.

Mam nadzieję, że Szan. Pan zechce uważać ten list, jako nowy dowód mego dla Pana szacunku. Jednocześnie mogę go zapewnić, że nikt bardziej ode mnie nie oddaje Panu sprawiedliwości.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku i poważania, z jakim mam honor być

najniższym sługą

A. Czartoryski

Petersburg

18 grudnia 1809 r.

List ten nie zmartwił mnie, pomimo, że w niwecz obracał moje projekty i nadzieje. Nawet przeciwnie. Zbyt dobrze znane mi były ogrom pracy i odpowiedzialność, któreby spadły na mnie wraz z godnością rektora, abym nie miał się cieszyć, że to mnie ominęło, tem bardziej, iż nie mogłem sobie wyrzucać, że byłem obojętnym widzem istniejącego zła, które mogłem uprzedzić. Uniknąłem ciężaru, sama myśl o którym już mnie przygniatała, a który,

gdyby spadł na mnie mógłby mnie zmiażdżyć. Przekonawszy się o bezpłodności moich starań ku zapewnieniu Uniwersytetowi świetnego rozwoju, byłem zadowolony, że mogłem poprzestać na pełnieniu swoich obowiązków, jako profesor terapii szczegółowej i kliniki, jako prefekt uczniów na koszczie skarbowym, jako prezes 3-go wydziału Towarzystwa Dobroczyńności i jako sekretarz Towarz. lekarskiego.

Tych zajęć było aż nadto, by człowiekowi czas zapełnić, tem bardziej, że moje prace naukowe i szczególnie opracowywanie *Praecepta praxeos medica* zabierały mi trzy do czterech godzin dziennie. Ale w owym okresie mego życia (miałem wtedy 38 lat), byłem tak bardzo czynny, iż wciąż mi się wydawało, że mógłbym jeszcze więcej robić.

Co prawda zaoszczędzałem sobie czas, zaprzestawszy brać udział w posiedzeniach Uniwersyteckich. Za pretekst służyła mi konieczność odwiedzania klinik wieczorami, zaś rektor, zadowolony z mojej nieobecności, wcale nie starał się podać w wątpliwość tych tłumaczeń. Ponieważ sumienie nie pozwalało mi przy wyborze rektora głosować za p. Śniadeckim, a że nie chciałem również działać przeciwko woli kuratora, więc nie poszedłem na zebranie wyborcze. Niektórzy profesorowie zrobili to samo i p. Śniadecki został ponownie wybrany na trzy lata.

W rozdziale poprzednim mówiłem o niezwykle surowej zimie roku 1809. Otóż 11 stycznia, kiedy mróz doszedł do 26^o R. przy okropnym wietrze, co rzadko się zdarza w czasie wielkich mrozów, byłem zmuszony udać się do Radziwiłmontów, wezwany do starego księcia, który zapadł na silną gorączkę, spowodowaną niestrawnością. Obawiając się, że w taki mróz nie pojedę na zwykłe listowne zaproszenie, książę przysłał po mnie swego syna, księcia Antoniego. Wyjechaliśmy w przepysznych krytych saniach, otuleni futrami. Za ledwie ujechaliśmy półtrzeciej stacji, gdy posłyszałem trzask sań, które prawdopodobnie nie pełniły służby od czasu ślubu

starego księcia i teraz rozsypały się na części. Stało się to około godziny 8-ej wieczorem i znajdowaliśmy się na równinie, zewsząd otoczonej lasami, pomiędzy Solecznikami a Woronowem, wśród śniegów i lodów. Nie było sposobu naprawić sań i ani pocztyljon, ani konie nie wytrzymałyby trzaskającego mrozu, stojąc nieruchomo.

Pomimo jasnego nieba nigdzie nie było widać żadnego domostwa, ale pocztyljon zapewniał, że o pół mili znajduje się karczma. Wysławszy konie i zostawiwszy w saniach służącego dobrze odzianego w futro i uzbrojonego w strzelbę, aby mógł się bronić przeciw wilkom, księżę Antoni i ja puściliśmy się pieszo w drogę. Za nami drugi służący niósł prowizję. Nie zapadaliśmy do śniegu, który był twardy, ale za to ślizgaliśmy się, jak po lodzie, tem bardziej, że futra i buty futrzane, bardzo utrudniały ruch. Wreszcie ujrzeliśmy światelko, które pochodziło z karczmy, w której była jedna tylko izba, a w niej natłoczeni chłopci, żydzi, świnię, gęsi, kury. W dymie, napełniającym pokój, nic prawie widać nie było. W takim to miejscu mieliśmy spędzić noc, t. j. prawie 11 godzin! Jedyną pociechą były wzięte ze sobą zapasy jedzenia, ale i z tem trzeba było czekać, bo chleb i mięso zupełnie zamarły, a w winie pływały kawałki lodu. Zdrzemnąłem się siedząc na ławce przy piecu, zrujnowanym, jak nasze sanie i raczej zimnym, niż ciepłym, ale drzemka trwała niedługo, ponieważ przyśnili mi się złodzieje. Machinalnie sięgnąłem po zegarek, aby się przekonać, że jest on na miejscu i aby zobaczyć, wiele zostaje jeszcze do świtu. O godz. 9-tej rano dano nam znać, że sanie są tak bardzo uszkodzone, iż, aby je naprawić, potrzeba conajmniej półtora dnia, i jeżeli chcemy wydostać się z tej okropnej dziury, nie pozostaje nic innego, jak jechać pocztą w prostych saniach. Tak też zrobiliśmy i czuliśmy się wcale nieźle, ponieważ mróz zelżał. Kłusem przebyliśmy Niemen i inne rzeczki. W Łopenicy spotkałem się z baronem Teffenbornem, pozostającym wówczas na służbie Austrii. Jechał do Petersburga do ambasadora, księcia Karola

Schwarzenberga. P. Teffenborn podróżował krytym powozem, postawionym na płozach i wywracał się co najmniej ze dwadzieścia razy. Zaprosiłem go, aby w Wilnie zajechał do nas, zapewniając, iż będzie mile widzianym, pomimo mojej nieobecności. Księżę i ja udaliśmy się w dalszą drogę i nazajutrz rano przyjechaliśmy do Radziwiłmontów, gdzie zastałem starego księcia już powracającego do zdrowia. Po krótkim odpoczynku powróciłem do Wilna w krytych saniach, przebywszy tę 40-milową drogę w 17 godzin. Wcale nie cierpiałem od mrozu, który znowu się zwiększył.

Pierwszem mojem zapytaniem w domu było, czy widziano się z p. Teffenbornem. Objasniono mnie, że przyjechał tego samego dnia, w którym mnie spotkał, wyczerpany ze zmęczenia i głodu.

Podczas mojej nieobecności nasza kuchnia była nie świetnie zaopatrzona, ale znalazła się w niej doskonała pieczeń na kolację. Na nieszczęście służący, korzystając z mojej nieobecności podpił sobie i wnosząc do jadalnego pokoju półmisek z pieczenią, upuścił go na posadzkę. Zamiast tedy kolacji gość musiał poprzestać na wetach. Zmartwienie pani Frankowej było wielkie, ale w każdym razie mniejsze od tego, jakie miał generał Bennigsen w następujących okolicznościach.

Gdy główny oddział armji rosyjskiej podczas ostatniej wojny z Francją znajdował się w Bartensteinie, cesarz Aleksander udał się tam również i zrobił honor gen. Bennigsenowi, obiadując u niego. W połowie obiadu nastąpiła dłuższa przerwa pomiędzy daniami. Cesarz, widząc zakłopotanie gospodarza, powiedział ze zwykłą sobie uprzejmością. „Lubię taką przerwę, ponieważ można trochę odpocząć“. Ale, gdy antrakt zbyt się przedłużył, gen. Bennigsen polecił swemu adjutantowi dowiedzieć się, co się stało? Adjutant, wszedłszy do kuchni, zastał tam kucharza zupełnie pijanego. Kłócił się on z kuchcikami i ciskał im w głowy jedną potrawę po dru-

giej. Obiad, ma się rozumieć, był zniszczony i trzeba było poprzestać na wetach. Kucharz otrzymał sto pałek.

Zdrowie gen. Bennigsena znowu bardzo mnie niepokoiło. Tym razem była to dusznica bolesna (angina pectoris). Ktoby widział go podczas napadu, mógłby pomyśleć, że chory umiera. Oprócz niepokoju, właściwego tej chorobie, generał siniał, kończyny stawały się zimne, a puls niewyczuwalny. Jednocześnie okropny ból rozsadzał piersi i rozpostrzeniał się w lewe ramię. Cierpienie to, zwykle zależne od zwapnienia tętnic sercowych, w tym przypadku było wywołane wielkiem zmartwieniem, którego nie podzielała małżonka generała, będąca w ciąży. Nie miałem nadziei, aby rozwiązanie było pomyślne, a jednak poród odbył się szczęśliwie, chociaż był krwotok. Spędziłem w Zakrecie kilkanaście dni. Przybycie kilku pań i szczególnie odjazd ks. Platona Zubowa znowu wniosły ożywienie i wesołość do tego czarującego letniska. Ma się rozumieć, nie obeszło się bez mistyfikacji, których i ja miałem paść ofiarą, ale zostałem uprzedzony przez akuszerkę pani Bennigsenowej. Ta poczciwa starszuszka sądziła, że figiel, który miano mi spłatać, ubliżałby mojej godności profesorskiej i wydała sekret. Mianowicie, panie uradziły, aby położyć mi do łóżka manekin kobiety. Dowiedziawszy się o tem, niebawem sprowadziłem z miasta szkielet ludzki i umieściłem go na mojem łóżku. Już podczas kolacji spostrzegłem, że piękne panie pała się z niecierpliwości, aby prędzej przystąpić do wykonania swego zamiaru. Jak tylko powstano od stołu, wszystkie ulotniły się z sali. Korzystając z tego, gospodarz domu uprzedził mnie o znowie. Opowiedziałem mu o tem, com przygotował. Nie zdążyłem jeszcze skończyć opowiadania, gdy posłyszeliśmy nieludzkie krzyki i do sali wpadły panie blade i drżące z przerażenia.

Choroba p. Bennigsena zakończyła się obfitym krwotokiem z nosa. Natura, usuwając za pomocą krwotoku następstwa skurczu serca, była mądrzejszą ode mnie, który stosowałem środki antispazmatyczne.

Prezydent Lachnicki cierpiał na żółtaczkę, która to się zwiększała, to zmniejszała. Pogorszenie zwykle poprzedzały okrutne bóle w dołku pod żebrami i wymioty. Nie wątpiąc, że u chorego są kamienie żółciowe, zaleciłem mu wodę karlsbadzką, po użyciu której wyszło więcej, niż 200 kamuszków i p. prezydent zupełnie wyzdrowiał, nawet pomimo zajścia tragicznego, którego był świadkiem. Gubernjalny marszałek szlachty, księżę Giedroyć, którego żonie również był zalecony Karlsbad z powodu melancholji, prosił pana Lachnickiego, by ten zaopekował się nią. Pewnego dnia księżna wzięła potajemnie pistolety swego towarzysza podróży, strzeliła sobie w brzuch i ciężko się zraniła. Jednak udało się ją uratować, a razem z tem pozbyła się ona i melancholji.

Stary doktor Liboszyc prawie zupełnie zaniewidział z powodu katarakty w obu oczach. Prosił mnie on o wskazanie operatora. Poradziłem mu udać się do sławnego okulisty i naturfilozofa Adama Smitha, profesora wiedeńskiej wojennej akademji medyko-chirurgicznej. Ponieważ chory nie mógł jechać do Wiednia, chciał, aby operator przyjechał do Wilna. Liboszyc obowiązywał się opłacić koszta podróży w obie strony, dać mieszkanie i stół przez cały czas pobytu w Wilnie i zapłacić 500 dukatów. Chociaż warunki nie były zbyt świetne, spodziewałem się jednak, że zostaną przyjęte, tem bardziej, że piękna pogoda i czas wakacyjny czyniły podróż łatwą i przyjemną. Podjąłem się pertraktacji z d-rem Smithem i oto jaką odpowiedź otrzymałem: „Oko jest narządem również drogocennym, jak pęcherz moczowy, to też jeżeli zapłacono Pajoli tysiąc dukatów, nie widzę racji, dla której nie miałbym otrzymać kilkunastu setek“.

Ta zdumiewająca logika istotnie godną była naturfilozofa. My, lekarze, myśląc o ratowaniu chorego, nie bylibyśmy w stanie oznaczać ceny za każdy organ ciała ludzkiego, ale przyjęlibyśmy pod uwagę różnicę, jaka zachodzi pomiędzy magnatem, a lekarzem miasta prowincjalnego.

„Przyjadę do Wilna, pisał dalej Smith, jeżeli zostaną przyjęte następujące moje warunki:

1) Chory ma złożyć w Wiedniu 1500 dukatów hollenderskich. Z tych 500 mają mi być wypłacone w chwili mego wyjazdu, zaś tysiąc przez dwa tygodnie osobie, przeze mnie wskazanej.

2-o. Koszta podróży powinny mi być zwrócone.

3-o. W Wilnie będę miał wygodne mieszkanie.

4-o. Nie mam obowiązku bawić w Wilnie dłużej nad dni trzydzieści i przez cały ten czas będzie mi wypłacano na stół codziennie dukata i dostarczana butelka dobrego wina.

5-o. W razie przedłużenia mego pobytu na tydzień, mam pobierać za każdy dzień po 10 dukatów.

6-o. Jeżeli w drodze złamię nogę, albo spotka mnie jakie inne nieszczęście, tak że nie będę w stanie operować, albo jeśli umrę, nikt nie będzie miał prawa żądać ode mnie, lub moich spadkobierców zwrotu otrzymanych pieniędzy.

7-o. W umowie nie ma być z mojej strony poręczenia za pomyślny wynik operacji, ponieważ reputacja moja świadczy o mojej umiejętności, która ręczy sama za siebie, ale nie za organizm operowanego.

Zważywszy, że autor tego listu umarł niedługo potem, pragnąłbym dla uratowania jego honoru przypuszczać, że w czasie pisania listu choroba już dotknęła jego władze umysłowe. Co prawda, olbrzymia suma, otrzymana przez Pajolę, rozbudziła apetyt nie tylko okulisty Smitha. Prof. Kern z Wiednia, za pośrednictwem mego ojca, prosił mnie, bym go panu Karpowi rekomendował i nawet znakomity Scarpa pisał do mnie z Pawji d. 10 lutego 1809 r. „Gdy pomyślę o zimnie, jakie znosił Pajola, wcale już mu nie zazdroszczę. Gdyby do mnie zwrócono się z Litwy, nie pojechałbym tam za żadne skarby świata, gdyby zaś wezwano mnie do Neapolu, chętniebym do tego miasta się udał“.

P. Szumowski, rektor Uniwersytetu Kazańskiego, pisał do mnie z Petersburga z d. 24 czerwca 1809 r.:

„Uniwersytet Kazański zawdzięcza ojcu pańskiemu profesora anatomji i fizjologii, pana zaś upraszam o danie nam profesora patologji i terapii. Niech jedynie sławnej rodzinie Franków nasz Uniwersytet zawdzięcza obsadzenie ważniejszych katedr na wydziale lekarskim“.

Zgubiłem bruljon mojej odpowiedzi i już nie pamiętam, co odpisałem, kogo rekomendowałem, ani też kto był wybrany.

Towarzystwo Fizyko-Medyczne w Erlangen zaszczyliło mnie przysłaniem dyplomu na członka honorowego¹⁾. Podobny dyplom otrzymałem od Towarzystwa medycyny praktycznej w Paryżu, którego prezesem był p. Chaussier²⁾

Do rzeczy przyjemnych, które mnie w tym czasie spotkały, zaliczam i na zawsze zachowam w pamięci wizytę generała Korfa, który przyjechał z Petersburga i przywiózł dla pani Frankowej ukłony od cesarzowej Elżbiety. Widząc mnie niedomagającym, generał zapragnął być moim lekarzem i doradzał mi konną jazdę, ja zaś poszedłem za jego radą. Prof. Capelli, który mnie we wszystkim małpował, również skądś zdobył sobie wierzchowca i dosiadał go z takim strachem i przerażeniem, że całe Wilno się śmiało.

Dowiedziawszy się, że przestałem odwiedzać pewną piękną osobkę, zagadnął mnie o przyczynę zerwania. Odpowiedziałem mu żartem, iż ona jest zbyt skromna. — „Doprawdy? Ach, niech mnie pan z nią poznał“.

Przedstawiłem go tej pani, w której Capelli zakochał się do szaleństwa, dał jej potrzebne na rozwód z mężem pie-

1) Z datą 16 stycznia 1809, podpisany przez Ch. F. Harles, dyrektora, oraz E. H. Th. Schrygera i E. T. C. Hohnbauma—sekretarza.

2) Datowany d. 7 czerwca 1809 i podpisany przez p. Girand, stałego sekretarza.

niądze (około 300 dukatów) i wreszcie ożenił się z nią. W nagrodę za moją usługę, Capelli przestał widywać się ze mną, nie przedstawił pani Frankowej żony i zabarykadował schody, wiodące do jego mieszkania, które znajdowało się nad mojem.



Aloisy Capelli
profesor prawa.

W tym czasie zyskaliśmy śpiewaka włoskiego sopranistę, p. Torquinio. Ponieważ we Włoszech z chwilą wejścia Francuzów tego rodzaju śpiewacy zostali usunięci z teatrów, Torquinio pojechał do Paryża, zachęco-

ny przykładem Crescentini, który nietylko że został przyjęty w Tuilleries, ale nawet występował tam w roli Romea i otrzymał order żelaznej korony ¹⁾. Niezadowolony z przyjęcia, jakie go w tej stolicy spotkało, Torquinio skorzystał ze znajomości z księciem Gabrielem Ogińskim i przyjechał z nim do Wilna.

Ten śpiewak, wychowaniec szkoły neapolitańskiej, oprócz doskonałej metody, posiadał głos czarujący, a że był miłym i dowcipnym towarzyszem, stał się dla mnie prawdziwym skarbem, który ceniłbym wszędzie, a tem bardziej na Litwie.

ROZDZIAŁ XVIII.

Rok 1809. — Korespondencja z ojcem. — Wiedeń. — Wojna Austrii z Francją. — Zajęcie przez Francuzów przedmieścia Wiednia—Alser. — Śmierć marszałka Lannes. — Spotkanie z Napoleonem. — Rozmowa z nim. — Liszaj Napoleona. — Zdanie Napoleona o Janie Piotrze Franku. — Dr. Corvisart, lekarz Napoleona. — Dar Napoleona. — Traktat Schoenbruński. — Wiedenki a Polki. — Wyjazd J. P. Franka do Fryburga.

.....²⁾

Ojciec dotrzymał danego mi słowa i w ciągu pięciu miesięcy, kiedy komunikacja pomiędzy Wiedniem a Wil-

¹⁾ W pewnych pamiętnikach znajduje się opowiadanie o odpowiedzi panny Grassini, kiedy ktoś oburzył się, że Napoleon dał Crescentiniemu order przeznaczony przedewszystkiem jako nagroda za waleczność i rany. „Cóż chcecie! przecie on także był skaleczony. (Dowcip ten zawiera aluzję do tego, że Crescentini był kastrowany. Cresc. Girolamo ur. w Urbania nieopodal Urbino. Był on jednym z najslawniejszych sopranistów swego czasu. Napoleon w r. 1804 powołał go do Paryża i mianował pierwszym śpiewakiem koncertów dworskich. Cr. był także niepoślednim kompozytorem. (W. Z.).

²⁾ W pamiętnikach znajduje się kilka listów Jana Pio-

nem była przerwana, korzystał z okazji prywatnych, które się nastreczały, aby pisywać do mnie. Niestety, otrzymałem tylko te listy, które mi przywiózł gen. Czernyszow, posłany przez cesarza Aleksandra do Napoleona, by mu towarzyszył w kampanji. Czytelnicy zapewne domyślają się, że mówię o epoce, w której Austria, korzystając z tego, że Napoleon był zajęty w Hiszpanji, uważała chwilę za właściwą dla wypowiedzenia mu wojny, w nadziei, że odzyska to wszystko, co utraciła od czasu rewolucji francuskiej, oraz mając zamiar rozbić związek reński i uwolnić Niemcy od jarzma, w którym one jęczały. Nie wiedziała Austria, że jej wystąpienie było na ręce Napoleonowi, dając mu pretekst do wycofania się z honorem, a przynajmniej do wycofania własnej osoby z Hiszpanji, gdzie, jak on przewidywał, wojna, pomimo zwycięstw, miała zaciągnąć się na długo, i że nie tak łatwo da on sobie radę z Wellingtonem, jak z generałami austriackimi, którzy wcale sławą się nie okryli. Naturalnie, nie przypuszczał aby jedna z najgroźniejszych armji, zasilona przez Landwehr (pospolite ruszenie) i mająca za wodza kapitana, którego czyny poprzednie budziły słuszne zaufanie, aby ta armja, broniąca swych ognisk, dała się pobić przez pośpiesznie zebrane wojska związku reńskiego i aby oddała przedmieście stolicy w miesiąc po wypowiedzeniu wojny. W następującym liście ojca znajduje się nieco szczegółów o zajęciu przez nieprzyjaciół przedmieścia Alser.

Wiedeń, 2 czerwca.

„Zapewne już wiecie z gazet, że armja Napoleona weszła do przedmieść Wiednia 9 marca, że bramy miasta były przed nią zamknięte, że wobec tego stolicę bombardowano, ale, chociaż bombardowanie trwało 36 godzin, zburzono tylko kilkanaście domów i zabito kilku mieszkańców. Jednak cierpieliśmy bardzo, gdyż serce mi się

tra Franka do syna. Listy te, jako mające czysto osobisty charakter i nie zawierające nic ciekawego—opuszczam. (W. Z.).

krwawiło na widok bomb, które mogły ugodzić w moich przyjaciół i znajomych. Niewiele brakowało, abym sam padł ofiarą niemądrego zamiaru oblegania wielkiej stolicy. O godzinie wpół do piątej po południu siedziałem pod kasztanami w swoim ogrodzie, gdy naraz kula armatnia przeleciała nad moją głową. Ledwo uniknąłem jednego niebezpieczeństwa, gdy wraz potem zagroziło mi inne. Stałem właśnie przed drzwiami domu, gdy strzelec konny i kirasjer francuski, ujrzawszy mnie, zażądali mego zegarka i z pałaszami w rękach zmusili mnie do jego oddania. Za ten zegarek zapłaciłem w Petersburgu 580 rubli, nie rachując wcale pięknej i kosztownej dewizki złotej, darowanej mi przez księżnę Mieszczerską. Domyślasz się, drogi synu, wrażenia, jakie ta scena wywarła na mnie. Drżeliśmy na samą myśl, że miasto i przedmieścia mogą być zrabowane, to też uczyniliśmy wszystko możliwe, by ratować nasze mienie. Na szczęście obawy nasze były płonne, i chociaż wsie spustoszone, ale w granicach miasta przyczyniono szkód niewiele“.

Dla jakichś szczególnych względów w domu mego ojca ulokowano naczelnego lekarza armji francuskiej, d-ra Gilbert'a z żoną, synem (kapitanem marynarki) i sekretarzem. „Nie mogę się pochwalić, pisał ojciec, tymi lokatorami. W mojej stajni stoją ich konie, dziedziniec zajmują ich powozy i psy, a powietrze, którem oddycham, nie pachnie ani ambrawą, ani moszusem. Płacę miesięcznie 90 florenów na utrzymanie ich służących“.

Wobec strasznej drożyzny produktów spożywczych, utrzymanie rodziny d-ra Gilberta kosztowało ojca niemało, tem bardziej, że ci panowie wcale się nie krępowali i zapraszali na obiady składających im wizyty przyjaciół, dla których żądali win najlepszych.

Pomimo tych przykrości, miał ojciec kilka chwil przyjemnych. Tak, zobaczył się ze swoim starym przyjacielem, radcą Ochtem, komisarzem ze strony arcyksięcia Badeńskiego przy armji Napoleona. Pan Gilbert, z którym poznałem się w Paryżu, często mówił ojcu o

mnie z wielkiem uznaniem. Wreszcie w miarę, jak przychodziły wojska francuskie, najwybitniejsi lekarze i chirurgowie składali memu ojcu wizyty i okazywali mu najwyższy szacunek, jaki według ich zapewnień podzielali wszyscy lekarze francuscy.

Szczególną uprzejmością odznaczyli się: p. Hourteloup, naczelny chirurg armji, p. Boudet, naczelny farmaceuta, d-r Larrey, generalny inspektor-chirurg, p. Iwan, lejeb-chirurg Napoleona, a także p.p. Renoult, Lanfranc, Roux, Vedi i inni.

D-r Larrey często opowiadał memu ojcu o mnie i o moim kuzynie Ludwiku Franku, przybocznym lekarzu Ali Paszy w Janinie.

D. 29 maja marszałek Davoust przysłał w nocy do mego ojca, prosząc, aby się on udał do brata marszałka, pułkownika gwardji, mieszkającego w pałacu Schwarzenberga w mieście. Cierpiał on na okropne spazmy żołądkowe, z których go ojciec prędko wyleczył.

Po bitwie pod Aspern¹⁾ (d. 21 i 22 maja), Francuzi, oblegający Wiedeń, stali się ogromnie podejrzliwi; wszystko wzbudzało ich niepokój. Widząc bohaterstwo wojska austriackiego w tej wojnie, zaczęli zastanawiać się nad własnem położeniem, które wcale nie było wesołe, a mogło stać się rozpaczliwem, jeżeliby arcyksiążę Karol zechciał skorzystać z odniesionego zwycięstwa i zaatakował wyspę Lobau (na której Francuzi urządzili skład amunicji i zapasów żywności), oraz stosując się do

¹⁾ Aspern i Esling, są to dwie wioski pod Wiedniem, między którymi Austriacy pod dowództwem arcyksięcia Karola d. 21, 22 maja walczyli z Francuzami, dowodzonymi przez samego Napoleona. Austriacy zdołali utrzymać się przy Aspern, ale zato Francuzi zawładnąwszy Esling mieli zabezpieczony odwrót. Napoleon nadaremnie usiłował przełamać środek armji nieprzyjacielskiej i cofnął się na wyspę Lobau. Obie strony straciły po kilkanaście tysięcy ludzi, zabitych i ranionych, ale bitwa nie miała stanowczego rezultatu.

(W. Z.).

rady dzielnego generała, księcia Jana Lichtenszteina, przeprowadził za Dunaj jeden korpus, któryby zaszedł nieprzyjaciela od tyłu.

To, co piszę, powtarzam ze słów oficerów austriackich, którzy walczyli pod Aspern. Gdy prosiłem kilku z nich, szczególnie zostających przy boku głównodowodzącego, by mi wytłumaczyli, co było przyczyną jego beczynności, jednogłośnie przypisywali to konieczności odpoczynku, który się należał arcyksięciu po takich wysiłkach i którego wymagał stan jego zdrowia.

Tym sposobem arcyksiążę pozwolił Francuzom ochłonąć ze strachu, który, powtarzam, był bezgraniczny, gdy spłonął most na Dunaju, a wody wezbrały, co uniemożliwiało odwrót. Po trwodze zjawiała się w nich nieufność. Podejrzeniom końca nie było, a dotyczyły one głównie osób związanych z Rosją. Prawda, że poselstwa rosyjskiego już w Wiedniu nie było, ale pozostawiło ono osoby zaufane, między innemi kawalera Malia, który został aresztowany i odebrano mu papiery. To zdarzenie mocno zaniepokoiło mego ojca. W takim to stanie duszy znajdował się on, gdy nagle d. 31 maja o godz. 1-ej po północy dał się słyszeć dzwonek u drzwi wejściowych. Ojciec zerwał się z łóżka i otworzywszy okno zobaczył przed gankiem karete z dwoma uzbrojonymi żołnierzami na koźle i trzema strzelcami konnymi. — „Czem mogę panom służyć?“ — „Czy pan jesteś d-rem Frankiem?“ — „Tak“. — „Niech pan będzie łaskaw otworzyć drzwi. Generał-adjutant cesarza Napoleona pragnie pomówić z panem“.

Kazawszy otworzyć drzwi, ojciec narzucił szlafrok i wyszedł na spotkanie nocnego gościa, który pośpiesznie wstępował na schody.

— „Jestem generał Rapp; przybywam z polecenia cesarza, który prosi pana, abyś zechciał nie zwlekając pojechać ze mną do głównej dzielnicy Ebersdorfu (o dwie mile od Wiednia) do śmiertelnie ranionego marszałka Lannes“.

Ojciec jak najprędzej się ubiera, siada do karety i o godzinie 2-iej nad ranem już jest przy chorym, któremu w bitwie pod Aspern, kula armatnia urwała jedną nogę, a drugą zmiażdżyła. Zebrani lekarze opowiedzieli o uszkodzeniu i o zastosowaniu leczenia. Mój ojciec, po zbadaniu ranionego orzekł, iż temu znakomitemu wojakowi pozostało zaledwie kilka godzin życia. Jakoż de Lannes umarł o godz. trzy kwadrans na szóstą rano. Napoleon przyjechał konno, by po raz ostatni zobaczyć się z przyjacielem. P. Iwan zawiadomił cesarza, że śmierć już zabrała marszałka. W kilka chwil potem Napoleon kazał wywołać mego ojca przede drzwi domu. Nie schodząc z konia cesarz zapytał go, jaka była przyczyna śmierci marszałka? — „Złośliwa gorączka spowodowana obfitą utratą krwi i wstrząśnięciem systemu nerwowego“. — „Czy pan jesteś Włochem?“ zapytał Napoleon. — „Nie, Najjaśniejszy Panie, jestem Niemcem“. Napoleon uważnie wpatrzył się w niego, poczem nagle zawrócił konia i z miejsca odjechał galopem. Ojciec chciał już wrócić do domu, gdy przybył adjutant i wezwał go do cesarza. Trzeba było udać się do pałacu w Ebersdorfie, gdzie p. Iwan wprowadził ojca do poczekalni cesarskiej. Adjutant zaanonsował go i poprosił wejść. Cesarz siedział w fotelu i powtórzył zapytania o przyczynie śmierci marszałka, na które to pytania otrzymał poprzednie odpowiedzi. Ojciec dodał, że amputacja była wykonana przez Larrey'a dobrze, a że w ranach nie było oznak gangreny, przeto były one chyba tylko poboczną przyczyną śmierci.

Tymczasem Napoleon przyglądał się memu ojcu uporczywie, ale dość łaskawie. — „Z jakiego kraju pan pochodzi?“ — „Z Wielkiego Księstwa Badeńskiego“. — „A miejsce pańskiego urodzenia?“ — „Rodalben“. — „Gdzie to jest?“ — „Pomiędzy Landau i Dwoma mostami na lewym brzegu Renu“. — „Jesteś pan tedy Francuzem!“ — „Już czterdzieści lat upłynęło od czasu, kiedy opuściłem miejsca rodzinne, które obecnie mają szczę-

ście należeć do Waszej Cesarskiej Mości“. — „Dlaczegoś Pan porzucił Włochy?“ — „Z rozkazu cesarza Niemiec. Służyłem jeszcze dziesięć lat w Wiedniu, ogółem spędziłem w Austrii dwadzieścia lat, wreszcie intrygi zmusiły mnie ją opuścić. Wraz z synem wyjechaliśmy do Rosji, gdzie dziesięć miesięcy spędziłem w Wilnie i dwa i pół lat w Petersburgu, jako lejbn-medyk cesarza Aleksandra“. — „Wiem o tem. Jaką emeryturę przyznała Panu Austria?“ — „Żadnej, Najjaśniejszy Panie“. — „Co za szelmy! Czy byłeś pan Jakobinem?“ — „Nie, Najjaśniejszy Panie, nigdy“. — „Dlaczego wyjechałeś pan z Rosji?“ — „Nie znosiłem klimatu i byłbym tam umarł“. — „Ile panu przeznaczył cesarz Aleksander?“ — „Trzy tysiące rubli rocznie“. — „Czy jesteś pan bogaty?“ — „Nie, Najjaśniejszy Panie, ale wystarcza mi na życie i jestem zadowolony z tego, co mam“. — „Ile masz pan dzieci?“ — „Jednego tylko syna w Wilnie. Miał on zaszczyt być przedstawionym Waszej Cesarskiej Mości w Paryżu“. — „Pamiętam go, zdaje mi się, że był mi przedstawiony przez mego lekarza Corvisarta“. — „Mam również córkę“. — „W jakim wieku?“ — „Ma 23 lata“. — „W takim razie nie powinno panu wystarczać na życie?“ — „Niewiele potrzebuję, Najjaśniejszy Panie, wystarcza mi to, com zaoszczędził“. — „Co pan masz teraz od Austrii?“ — „Nic, Najjaśniejszy Panie, ponieważ jej nie służę“. — „Sądziłem, że jesteś pan na służbie Austrii. Masz pan wielkie poważanie we Francji. Powinienbyś pan zamieszkać w Paryżu“. — „Jestem za stary, Najjaśniejszy Panie, potrzebuję spokoju, aby dokończyć swoich prac“. — „Mógbyś pan poprzestać tylko na konsultacjach. Masz pan wielkie poważanie we Francji i mógłbym pana mianować konsultantem mego domu, ponieważ rozporządzam tą posadą po śmierci Bertez'a, który umarł półtora roku temu w Montpellier“.

Mój ojciec złożył głęboki ukłon, mówiąc, że ma nadzieję przyjechać do Paryża, chociażby dla wykazania wdzięczności za tak łaskawe przyjęcie. Odwieziono go

aż do Wiednia w powozie cesarskim w towarzystwie znakomitego Larrey'a¹⁾, który w drodze powiedział:

— „Powinieneś, doktorze, być zadowolony z niezwykłej uprzejmości cesarza, który posłał po pana swego pierwszego generał-adjutanta i odsyła pana we własnym powozie“.

Gdy ojciec powrócił do Wiednia, już całe miasto wiedziało o jego wycieczce nocnej do Ebersdorfu. Pomimo, że nie spał całą noc, nie mógł jednak odpocząć, do tego stopnia był on oszołomiony tem, co go spotkało.—„Dziwny jest mój los, mówił sobie w duchu. Widocznie wiecznie będę przerzucany z jednego krańca Europy na drugi i chyba w grobie znajdę spokój“.

Nazajutrz przyjechał p. Iwan, winszując memu ojcu nominacji na lekarza konsultanta cesarza, a widząc jego zdziwienie, zapytał. — „Jako? Alboż Najjaśniejszy Pan sam nie powiedział tego panu? Ma pan tedy wiedzieć, że cesarz podczas narady z królem Włoch (który tu przyjechał) i mną, powiedział nam o nominacji pana i o przyjemności, jaką mu ona sprawia. Zapytywał także o nasze o tem zdanie. Zarówno wice-król, jak i ja przyklasnęliśmy temu postanowieniu, a Jego Cesarska Mość zdawał się być zachwycony swoim wyborem“.

— „Niema nic bardziej zaszczytnego dla mnie nad ten wybór, odrzekł ojciec, ale, czy z tak zaszczytnym obowiązkiem dadzą się pogodzić mój wiek i moje niedomagania?“

— „Może pan być spokojny. Obowiązki lekarza konsultanta będą polegały na udzieleniu przez pana rady w wypadkach bardzo poważnych. Będiesz pan pobierał pensję nie wychodząc z domu“.

¹⁾ Larrey był w r. 1812 w Wilnie, zwiedził i opisał muzeum anatomiczne Uniwersytetu wileńskiego, był na posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego, którego został członkiem (ob. moją pracę. Gabinet anatomiczny Uniw. Wil. Warsz. 1901). (W. Z.).

D. 22 czerwca generał-intendent hr. Daru przysłał do mego ojca, prosząc o przybycie do niego. Gdy d. 23-go ojciec pojechał do generała, ten mu oświadczył, iż cesarz, chcąc ściągnąć do Paryża ludzi znakomitych, polecił mu zaproponować p. Frankowi posadę lekarza konsultanta cesarza i że Jego Cesarska Mość nie poprzestanie na wyznaczeniu mu zwykłej pensji, związanej ze wspomnianą posadą. Napoleon kazał zapytać p. Franka, czy zgadza się na propozycję i jakie są jego warunki? Ojciec odpowiedział to samo, co w Ebersdorfie, mianowicie, że ma 64 lata, jest przepracowany, cierpi na podagrę i pragnie spokoju.

Na to generał-intendent zrobił uwagę, że posada, którą cesarz ofiarowuje, jest honorową i nie sprawi mu kłopotu, tak, że w Paryżu będzie miał życie spokojne, i że powinien uważać Francję za swoją ojczyznę.

Na to mój ojciec zwrócił uwagę p. Daru, iż pobiera od Rosji emeryturę, którąby utracił w razie przyjęcia innej służby.

Generał zapewnił, że tę sprawę dałoby się załatwić drogą dyplomatyczną pomiędzy dworami i że cesarz dałoby do pensji jeszcze 12—15 tysięcy franków, co byłoby wystarczającym dla zapewnienia w Paryżu życia wygodnego i przyjemnego, szczególnie dodawszy do powyższych sum dochód od własnego kapitału i z konsultacji.

Na tem rozmowa została przerwana. Pan generał-intendent zaprosił mego ojca nazajutrz do siebie na obiad, podczas którego siedząc przy nim z prawej strony rzekł mu zupełnie cicho:

— „Wczoraj rozmawiałem z cesarzem o pańskiej sprawie i Jego Cesarska Mość przychyła się do mego przedstawienia. Lada dzień oczekuję jego rozkazu“.

Podczas obiadu ojciec wiódł ożywioną rozmowę z oficerem, który był jego sąsiadem przy stole. Był to ten sam p. Marbeuf, którego przyjąłem po przyjacielsku, gdy go jako jeńca wojennego do Wilna przywieziono. To

nieoczekiwane spotkanie sprawiło im obu wielką przyjemność i nietrudno się domyślić, co było tematem ich rozmowy.

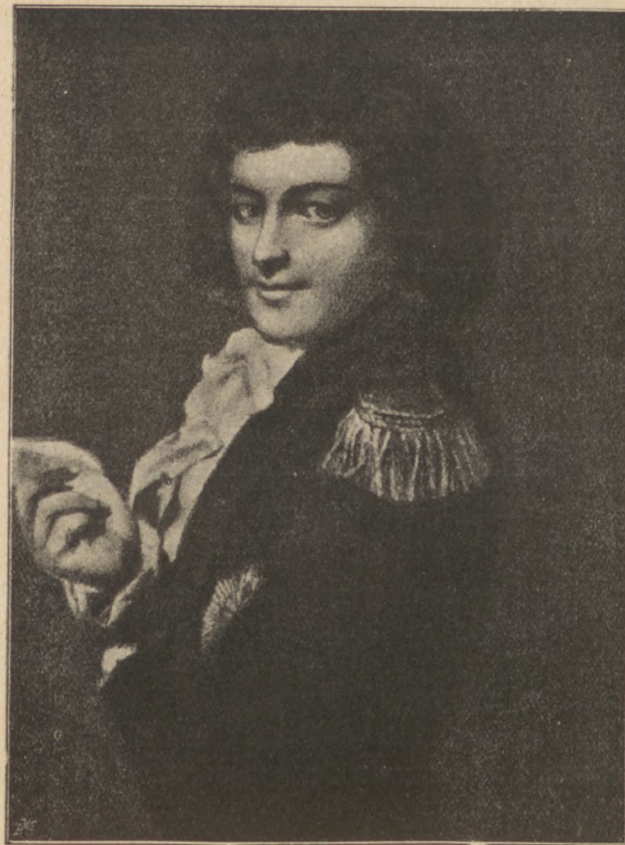
W ciągu sześciu tygodni słychać było w okolicach Wiednia grzmot dział, szczególnie podczas bitwy pod Wagram. Wszystkie te okoliczności, ciągłe podniecenie nerwowe i niepokój o los własny, były przyczyną trzech napadów podagry, na którą ojciec cierpiał. Podczas jednego z takich napadów został on wezwany do Schönbrunn, do Napoleona, który niedomagał. Chociaż nawet najłżejsze dotknięcie wywoływało ból nieznośny, ojciec nadludzkim wysiłkiem woli zapanował nad cierpieniem i pojechał. Zdawało mu się, że stąpa po węglach rozżarzonych.

P. Iwan zaprowadził go do Napoleona, który chociaż wiedział o jego cierpieniach, przetrzymał go stojąco przez cały czas konsultacji i swojej kąpieli, przyczem Jego Ces. Mość siadł do wanny zupełnie nagi. Mój ojciec podziwiał piękną budowę ciała cesarza i mimowoli porównywał go z Apolinem. Chodziło o liszaj, który Napoleon miał na karku, a którego swędzenie niepokoiło go. Cesarz twierdził jednak, że dzięki zjawieniu się tego liszaju, pozbył się kaszlu. Mój ojciec powinszował Jego Ces. Mości tej wysypki, radził znieść ją cierpliwie i zaklinał, aby nie starano się usunąć liszaju za pomocą leków zewnętrznych. Przytem opowiedział o smutnych następstwach, jakie miały tego rodzaju lekarstwa, zastosowane w podobnym przypadku u księcia biskupa Spiru¹⁾.

Ojciec mój uważając, iż jego uwagi nie trafiają do przekonania cesarza, zrobił pewne ustępstwo i poradził

¹⁾ Ponieważ u biskupa po wyleczeniu liszaju wywiązało się zapalenie mózgu, być może, że ta okoliczność nadała powód do bajki, jakoby mój ojciec orzekł, że Napoleonowi grozi zapalenie mózgu. (Napoleon à S-te Héléne. Opinion d'un médecin sur la maladie de l'empereur Napoleon et sur la cause de sa mort, offerte à son fils au jour de sa majorité. Par Herau. Paris 1829).

obmywać podrażnioną skórę octem dystylowanym. Zdaje się, że ta rada przypadła Napoleonowi do gustu, przynajmniej nie wspominał więcej o swem niedomaganiu,



Michał Kleofas Ogiński,
ostatni podskarbi wielki litewski.
(według współczesnego portretu).

chyba tylko po to, aby drwić z hałasu, jaki narobiły gazety, z których jedna pisała, że cesarz cierpi na wodną puchlinę, inna znowu, że ma suchoty.

P. Iwan wymawiał swemu władcy, iż się nie szanuje

i naraża się na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Jeszcze przedtem p. Iwan zwierzył się memu ojcu, że liszaj jest z gatunku krosty i został wywołany przez noce bezsenne, niepokoje i szczególnie przez napady gniewu, podczas których Napoleon doświadczał bólów w pęcherzu, skąd rozchodziły się one w różne strony.

Z powodu tego liszaju cesarza kawaler de Carro po wielu latach przytoczył w liście do mnie bardzo zabawną anegdotę. Jak wiadomo Napoleon nie był nieczułym na piękność klasyczną, ale nieco za masywną znakomitej Georges. W r. 1821 trupa p. Harrela, do której należała wspomniana artystka, powracając z Rosji, dawała przedstawienia w Karlsbadzie. Pewnego dnia, gdy p. Carro znajdował się u panny Georges, poczuła ona silny świerzb na policzku i zapytała go w obecności kilkunastu osób, coby to był za mały pryszczek, który się tam znalazł? De Carro po zbadaniu wysypki oświadczył, że jest to mały liszaj. Słyszając to sławna tragiczka zawołała głosem teatralnym: — „Liszaj, doktorze, o mój Boże, wszak to pamiątka po cesarzu!“

Napoleon podczas wizyty mego ojca, trwającej godzinę, wygłaszał zdania do tego stopnia nie mające ze sobą związku, że nie sposób powtórzyć ich w porządku. Oto, mniej więcej, co mówił:

„Chirurgja kwitnie we Francji, ale medycyna niżej od niej stoi. Nie mam wielkiego zaufania do tej nauki. Co innego, gdy uprawia ją taki człowiek, jak pan, który obserwował mnóstwo chorych w rozmaitych klimatach. Czy sądzi pan, że te same choroby rozmaicie się objawiają zależnie od miejscowości. Corvisart jest dobrym lekarzem, zna mój organizm i jest do mnie przywiązany“. „W Paryżu matematyka, fizyka i historia naturalna świetnie się rozwijają“.

„Wiedeń posiada sporo wspaniałych instytucji. Zakład dla położnic jest znakomity. (Gdy p. Iwan pozwolił sobie zrobić uwagę, że Jego Ces. Mość posiada podobny

zakład w Paryżu, cesarz niezadowolony rzekł: „To wcale nie to samo“. P. Iwan zamilkł).

„Moi żołnierze wolą lekarzy niemieckich, niż francuskich, ponieważ są staranniejsi i dłużej się zatrzymują przy ich łózkach“.

„Są jeszcze w Niemczech bogate opactwa. Moja armja widziała tam jedno, w którym żołnierze opróżnili (zwracając się do mego ojca), zgadnij pan ile butelek? Nie wiesz pan, co? 300 tysięcy! cha! cha!“

Ubrawszy się po kąpieli, cesarz sięgnął ręką do kieszeni, coś włożył sobie do ust i zaczął przeżuwać. Mój ojciec sądząc, że to były Diavolini¹⁾, ośmielił się zrobić uwagę, iż takie substancje aromatyczne są szkodliwe dla zdrowia. Napoleon odparł: „Mylisz się pan; to, co ja żuję, jest mięszem daktyłów. Przyjemna dla podniebienia i oświeżająca. Przyzwyczailem się do niej w Egipcie“.

Tym razem cesarz pożegnał mego ojca, nie wspominając o przeznaczonej dla niego posiadłości. Tak samo było i podczas następnej konsultacji, o której nie mam szczegółów. Wiem tylko, że Napoleon był równie uprzejmy. A jednak ojciec pomimo woli musiał zmienić wysokie mniemanie, jakie miał dotąd o tym bohaterze, „zwycięzcy Europy“, jak go nazywano. Powiedział mi on: „Jeżeli ten ma być wielkim człowiekiem, to muszę się przyznać, że miałem fałszywe przekonanie o tem, na czem wielkość polega“.

Wnosząc z rozmowy, pomiędzy Napoleonem i d-rem Antomarchi na wyspie św. Heleny²⁾, można przypuszczać, że rozczarowanie było wzajemne. Napoleon tak mówił: — „Czy we Francji medycyna stoi niżej, jak w innych krajach? Czy Paryż ustępuje Florencji? Mascagni

¹⁾ Używana przez Włochów masa do żucia, złożona z pikantnych, aromatycznych substancji. (W. Z.).

²⁾ Extrait des Memoires du docteur Antomarchi, ou les derniers moments de Napoleon. Paris 1825. T. I. p. 252.

nadał nauce taki rozpęd! Zostawił on daleko za sobą wszystkich tych, co jej służą. Jest tylko kilku uczonych we Francji i w Niemczech“. — „W Niemczech! Któż to tacy? — „D-r Frank“. — „Podzielam opinię ogółu o zasługach tego znakomitego praktyka“. Pośpieszyłem odpowiedzieć, pisze Antomarchi, że to człowiek bardzo zdolny. — „Zdolny; naturalnie. Przekonałem się o tem podczas ostatniej mojej bytności w Wiedniu. Zjawił się u mnie na skórze w tylnej części szyi mały liszaj. Była to bagatela. Ale moja świta zaniepokoiła się i zmusiła mnie wezwać lekarza, o którym cuda opowiadano. Zgodziłem się. Wezwano Franka. Znalazł on u mnie usposobienie herpetyczne (un vice dartreux), chorobę ciężką. Miałem być poddany kuracji przygotowawczej, stosować rozmaite środki i leki do nieskończoności. Sprowadziłem Corvisarta. To było wystarczające, aby wskrzesić różne uśpione nadzieje. Pogłoskom nie było końca. Byłem ciężko chory; zupełnie straciłem głowę. Każdy opowiadał co innego. Podniecenie było ogólne. Corvisart zaniepokojony temi wieściami, przyleciał do Schönbrunu, nigdzie się nie zatrzymując po drodze, ponieważ sądził, że znajdzie mnie umierającym. Odbywałem właśnie przegląd wojska, gdy mi oznajmiono o jego przybyciu. Zdumienie było niezmiernie. Wróciłem do domu. Widząc jego zdziwienie, zacząłem się śmiać. — „No i cóż, Corvisart, jakie nowiny? Co mówią w Paryżu? Czy wiesz, że mi tu wmawiają, że jestem ciężko chory? Mam małą krostę i lekki ból głowy. D-r Frank twierdzi, że organizm mój jest objęty liszajem, a to wymaga długiej i starannej kuracji. Co pan myślisz o tem?“ Zdjąłem krawat. Zbadał mnie. — „Ach, Najjaśniejszy Panie, odbyłem taką drogę po to tylko, aby postawić wezykatorję, co również dobrze potrafiłby zrobić najlichszy z lekarzy. Frank przesadza. Wasza Cesarska Mość ma się znakomicie. To tylko mała krostka, na którą nie zwrócono uwagi, a którą wezykatorja usunie w czterech dni“. Jakoż, istotnie, liszaj znikł i więcej się nie powtórzył. — „Oto, co pozostało po tej strasznej chorobie,

mówił Corvisart, zdejmując ostatni opatrunek, choroby, za której leczenie Wasza Cesarska Mość nagradza tego Niemca. Nazajutrz złożył wizytę Frankowi, by podziękować mu za to, iż dzięki jemu odbył nagłą podróż i powrócił do Paryża“.

Przypuśćmy na chwilę, że to opowiadanie Napoleona jest zgodne z prawdą. Cóż z tego wynika? Oto, że Frank już w r. 1809 poznał zarodek choroby, która w r. 1821 była przyczyną śmierci Napoleona. Przynajmniej według wszelkiego prawdopodobieństwa to samo usposobienie herpetyczne, które w Schönbrunie ujawniło się na skórze, później na wyspie św. Heleny dało złośliwe porażenie wątroby i żołądka, czyli, co na jedno wychodzi, owrzodzenie rakowate¹⁾. Alboż nie należało uprzedzić następstwa za pomocą „kuracji przygotowawczej“, za pomocą „lekarstw?“.

Na nieszczęście dla mego ojca, w całym powyższem opowiadaniu niema ani słowa prawdy, z wyjątkiem uznania owej krosty za liszaj. Krostka, z wyjątkiem swędzenia, nie sprawiała żadnej przykrości to też ojciec dał mądrą radę, nie ruszać jej i zostawić ją normalnemu przebiegowi, czemu ocet wcale nie przeszkadzał, chociaż można było obejść się i bez niego. Zresztą, jest to środek, którego skuteczność stwierdziło wiekowe doświadczenie. Mój ojciec stosował go z ogromnem powodzeniem między innymi u biskupa Spiru i u pewnego magnata polskiego, którego w r. 1795 leczył od zadawnionego liszaju na plecach. Nie mógł on również nie wiedzieć o stosowaniu wezykatorji przy liszajach, ponieważ sam o niej pisał i w swoich dziełach zalecał²⁾

Ojciec nie zastosował u Napoleona wezykatorji, po-

1) Ten pogląd Franka wobec dzisiejszego stanu medycyny, nie wytrzymuje krytyki. (W. Z.).

2) Frank podaje w tem miejscu wyciąg z dzieła swego ojca p. t. „Epistoma de curandi hominum morbis. Lib. IV, p. 158, r. 1793. (W. Z.).

nieważ wtedy, gdy go widział, liszaj znajdował się w stanie ostrym i był połączony z podrażnieniem skóry, które od wezykatoryi mogło się tylko pogorszyć, tem bardziej, że było to latem i chory nie przestawał wystawiać się na słońce i upał.

Coby powiedziano, gdyby wskutek rady „tego Niemca“, cesarz dostał w szyi róży, któraby przeszła na głowę? Niewątpliwie krzyczanoby o zdradzie. Alboż nie głoszonoby wtedy, że był to zamach na życie Napoleona?

Istotnie, nierozwaga lekarza, który będąc zmuszony radzić takiej, jak Napoleon osobie, zalecałby jakiegokolwiek środka, nie zważywszy wszystkich możliwych następstw, zasługiwałaby na taką samą karę, jaka przez tę właśnie osobę była wymierzona księgarzowi Janowi Filipowi Palmowi z Norymbergii, którego d. 26 sierpnia 1806 r. rozstrzelano w Branau za sprzedanie książki p. t. „Niemcy w ich największym upadku“.

J. P. Frank nie mógł zalecać Napoleonowi używania lekarstw „bez końca“, gdyż nie było to jego zwyczajem nadużywanie lekarstw u chorych, a zresztą nie mógł zastosować radykalnej kuracji, chociażby dlatego, że wobec trwającej wojny chwila była nie odpowiednia.

Co do przyjazdu Corvisart'a, jest nieprawdopodobne, aby go wezwał Napoleon, bo trudno przypuszczać, aby bez nagłej potrzeby cesarz sprowadzał swego lekarza z Paryża do Wiednia. Wywołałoby to popłoch wśród stronników Napoleona i obudziło nadzieje u jego przeciwników. Bardziej podobnem do prawdy jest przypuszczenie, iż wiedeńscy przyjaciele Corvisart'a uprzedzili go, że cesarz w osobie Franka chce mu dać rywala, to też przybył on jak najspieszniej, by temu przeszkodzić. Takie przynajmniej było ogólne zdanie. Mniemanie to potwierdza również postępowanie tego lekarza względem mego ojca. Na razie nie zagadnął on ani słowem o zdrowiu cesarza, dopiero po kilku zdawkowych grzecznych frazesach, Corvisart nie miał nic pilniejszego nad zapytanie,

czy mój ojciec ma zamiar przystać na propozycję cesarza? na co otrzymał odpowiedź, iż jakkolwiek umie należycie cenić uprzejmą propozycję, uczynioną mu przez takiego potentata, którego to pochlebnego odznaczenia nigdy nie zapomni, to jednak, jak to już oświadczył samemu cesarzowi i jego generał-intendentowi, wobec podeszłego wieku i licznych niedomagań, nie poczuwa się na siłach, aby mógł pełnić przeznaczony mu obowiązek. Pragnie spędzić resztę dni życia w ojczyźnie i dokończyć swe prace. Ma tylko jedno życzenie, mianowicie, aby Jego Cesarska Mość nie zechciał uważać jego odmowy za niewdzięczność.

P. Corvisart wyznał, iż nie wierzy, by istotnie taki był zamiar p. Franka. Gdy mój ojciec usłyszał te słowa, krew rzuciła mu się do głowy. — „Mój panie! nie powinieneś pan wątpić o szczerości człowieka, którego prawość jest znana nie w jednym tylko kraju. Co znajdujesz pan nadzwyczajnego w moich słowach? Porzuciłem Rosję, w której zajmowałem stanowisko równe temu, jakie mi proponują we Francji. Nie wiem, czy otrzymujesz pan pensji 42 tysiące franków, które ja miałem w Petersburgu. Pod względem rangi, jestem rzeczywistym radcą stanu cesarza rosyjskiego, do której to rangi jest przywiązany tytuł *ekscelencji*...“

P. Corvisart, widząc wzburzenie mego ojca, przerwał mu: „Wierzę najzupełniej temu, co pan mówi i jeżeli pan mnie upoważni, jutro powiem o tem cesarzowi. Jestem przekonany, że nie zechce on w niczem pana przymuszać.“

Na to mój ojciec odrzekł: — „Owszem, upoważniam pana, ale stawiam warunek, iż przedstawi to pan cesarzowi razem z wyrażeniem wdzięczności, jaką mam dla niego za tak zaszczytną dla mnie propozycję.“

— „Przyrzekam to panu, ale w każdym razie nie tracę nadziei, że pan przyjedzie do Paryża. Niech się pan namyśli. Będiesz pan miał życie spokojne i przyjemniejsze, niż w każdym innem miejscu.“

Rozstano się przyjaźnie, i mój ojciec, pamiętając o grzecznościach, okazywanych mi w Paryżu przez p. Corvisart'a, wydał dla niego obiad, na który zaprosił znajomych lekarzy armii francuskiej, a także hr. Karola Harracha.

Obiad był bardzo wesoły, gdy nagle p. Corvisart spuścił oczy i zdawał się być ogromnie pomieszany. Cóż się stało? Właśnie podano mu półmisek z grzybami, od których p. Carvisart odmówił się w sposób wprost arogancki. Prawdopodobnie powziął podejrzenie, że chciano go otruć. P. Gilbert, który już kilkakrotnie jadał grzyby u mego ojca, nałożył sobie na talerz sporą porcję i zwracając się do p. Corvisarta rzekł: — „Nie masz pan racji nie jedząc tych grzybów. Są one wyśmienite i we Francji o takich pojęcia nie mają“. (Istotnie grzyby były przyrządzone na sposób rosyjski i polski, który to sposób jest doskonały). Wówczas p. Corvisart poprosił, by mu podano półmisek z grzybami, przyznał, że potrawa jest wyśmienita i odzyskał humor. Od tego obiadu p. Corvisart i mój ojciec już się więcej nie spotykali, chociaż zamieniali bilety wizytowe.

Sposób postępowania z moim ojcem p. Corvisart'a, był wręcz przeciwny temuż p. Huffelanda, który mu pisał (po niemiecku) z Królewca d. 4 sierpnia 1809 r. co następuje:

„W państwie pruskim ma być zreformowany departament medyczny. Pragnąłbym, abyś pan zamiast mnie stanął na czele tegoż. Z radością ustąpię panu miejsca radcy stanu, które to miejsce było dla mnie w tym departamencie przeznaczone. Będzie pan miał sposobność zrobienia wiele dobrego i urzeczywistnienia swoich projektów. Nie napotka pan przeszkód, ponieważ wszyscy mają jak najlepsze zamiary, a rząd postawił sobie za zadanie usunięcie nadużyć i zamianę złego na dobre, bez względu na trudności i na dawne zwyczaje. Według nowej organizacji, departament medyczny będzie stanowił część ministerjum spraw wewnętrznych. W skład jego wejdą tajny radca stanu p. Humboldt, dwóch radców sta-

nu i dwóch wyższych radców medycznych (ober Medicinalrätthe). Jako pierwszy radca stanu, będzie pan miał pod swoją dyрекcją sprawę, dotyczące zdrowia publicznego w całym państwie, między innymi policję lekarską, szpitale i t. d. Ja znowu będę najbliższym kolegą pańskim i z przyjemnością jak najgoręcej będę popierał pańskie projekty. Pański niezrównany talent profesorski znajdzie szlachetne pole działalności i tylko od pana będzie zależało otrzymać katedrę w Uniwersytecie, który niebawem ma być założony w Berlinie, oraz klinikę w szpitalu Charité. Również Akademia Umiejętności będzie poczytywała sobie za zaszczyt mieć pana w liczbie swych członków. Gdyby nawet kwestja pieniężna niezbyt obchodziła pana i gdyby w danej chwili państwo nie było w stanie odpowiednio wynagrodzić pana, to jednak muszę zaznaczyć, że pensje, przywiązane do tych posad, będą wcale pokaźne. Tak, radca stanu będzie pobierał 2200 talarów, zaś profesor 1500 do 2000 tal., co razem wzięte stanowi około 4000 talarów, nie licząc tego, co opłacają za wykłady studenci. Powtarzam panu: Nie traćmy nadziei, że mąż, który całe życie poświęcił dla dobra ludzkości i nauki zechce im oddać i zachód dni swoich. Upewniam, że pracować pan będzie otoczony czcią i przyjaźnią. Tylko ta nadzieja ośmiela mnie do uczynienia panu powyższej propozycji. Jeżeli jednak moim pragnieniom niema się stać zadość, to przynajmniej niech służy one dowodem mojej czci głębokiej dla pana i gorącej chęci zbliżenia się do niego. Niech Bóg Pana zachowa. Huffeland“.

Oto wzór króla, który się troszczy o stworzenie departamentu medycznego w państwie, którego rządami jest zmuszony dzielić się z satelitami zwycięzcy-ciemnicy i który zakłada uniwersytet w stolicy, pomimo, że jest z niej wygnany. A oto lekarz, który odkłada na stronę miłość własną i interes osobisty do tego stopnia, iż chce ustąpić swojego miejsca człowiekowi, dla którego nie ma żadnych obowiązków i którego nawet nigdy nie

widział, a czyni to jedynie dlatego, że uważa go za męża niepospolitego. Ojciec mój odpisał Huffelandowi temi słowy:

— Jedynie szlachetności pańskiej zawdzięczam uczynioną mi propozycję. Dumny jestem, iż pan uznałeś mnie jej godnym i będę panu zato wiecznie wdzięczny. Gdyby nie poważne przyczyny, które panu w zaufaniu wyłożę, nie omieszkałbym skorzystać z pańskiej dobroci i uważałbym sobie za zaszczyt służyć rządowi tak mądrym i dobroczynnym, w przekonaniu, iż pod takim rządem wszystko będzie się świetnie rozwijało (Tu następuje wyszczególnienie przyczyn, które skłoniły mego ojca do opuszczenia Rosji, zamieszkania w Wiedniu i nieprzyjęcia propozycji, którą mu uczyniono w Schönbrunn i t. d.). Niepewności ojca o tem, co go czeka, położył koniec następujący list p. Duroc, dołączony do złotej tabakierki, ozdobionej brylantową cyfrą cesarza Francuzów i zawierającej bon na 300 napoleondorów, płatny przez skarbnika Peyrusse.

Szanowny Panie.

Jego Cesarska Mość polecił mi wręczyć Panu ten dowód Jego poważania i życzliwości. Z największą przyjemnością zawiadamiam Pana o tem i proszę przyjąć wyrazy wysokiego szacunku.

Schoenbrunn. d. 5 września (powinno być października) 1809 r.

Książę de Frioul, Wielki Marszałek Dworu..

Po zawieszeniu broni d. 12 lipca, pokój został zawarty dopiero d. 14 października. Znane są niesłychane ofiary, jakich ten pokój Austrię kosztował. Sama myśl o najmniejszej z nich sprawiała mi boleść. Mówię o 400 tysiącach mieszkańców, oderwanych przez Napoleona od Galicji wschodniej i oddanej Rosji w nagrodę za wysłanie na pomoc (żółwim krokiem) jednego korpusu wojsk¹⁾.

¹⁾ Według traktatu Schoenbruńskiego Napoleon przyłączył do Księstwa Warszawskiego część Galicji z 1500000 mie-

Katarzyna II, mówiłem sobie, nagrodziłaby w ten sposób jednego ze swoich generałów za bitwę wygraną, a jej wnuk bez rumieńca wstydu przyjmuje taki dar z rąk największego wroga kosztem najwierniejszego przyjaciela. Pomimo mej woli przypomniawszy mi się wojna, którą Aleksander prowadził przeciwko swemu szwagrowi—królowi szwedzkiemu.

Nie dość było Napoleonowi, że ogołocił Austrię z tytu piękných prowincji, zapragnął on nadto upamiętnić swój wyjazd — obelgą. Przed odjazdem kazał wysadzić w powietrze fortyfikacje Wiednia, które mu oddały znaczne usługi, a których nie miał potrzeby obawiać się w przyszłości. Mój ojciec pisał mi, że większość domów, położonych w bliskości wałów, popękła wskutek wybuchu i że można się spodziewać jeszcze większych nieszczęść. Wiem z pewnych źródeł, że Napoleon robił, co tylko mógł, aby wywołać powstanie w Węgrzech, ale tu zwykła przebiegłość opuściła go. Znadto pośpieszył z wypowiedzeniem zdania, iż w tym kraju trzeba dokończyć gruntownej zmiany konstytucji. To odstrychnęło od niego szlachtę węgierską, zazdrosną o swoje dawne przywileje.

Wierność Austriaków świetnie wytrzymała wszelkie próby. Moi korespondenci nie znajdowali słów na pochwałę poświęcenia straży obywatelskiej przez cały czas oblężenia Wiednia przez Francuzów. Ale też dziwili

szkańców, zaś Rosja otrzymała niewielki okręg Tarnopolski z 300—400 tysięcy ludności. Aleksander widział w tem groźbę odbudowania Polski. Na przedstawienie Rumiancewa Napoleon kazał mu odpowiedzieć: Jego Ces. M. zgadza się, aby wyrazy „Polska“ i „Polacy“ nietylko zniknęły ze wszystkich traktatów politycznych, ale nawet z historii. D. 24 grudnia 1809 r. Colencourt i Rumiancew podpisali konwencję, iż „Królestwo Polskie nie będzie odbudowane“. Gdy jednak Aleksander nie dał Napoleonowi za żonę swej siostry Anny, wtedy cesarz Francuzów konwencji nie ratyfikował (Karcew i Wojenski. Przyczyny wojny 1812 goda). (W. Z.).

się oni, że za powrotem cesarza Franciszka do stolicy to poświęcenie nie otrzymało nagrody. Zdaje się, iż zapomnieli o tem, że w Austrii trzymają się zasady nie posuwać zbyt daleko wyrażenia swej wdzięczności. Jako przykład może służyć hr. Karol Harrach. Temu lekarzowi, gorącemu patriocie, powierzono pielęgnowanie jeńców austriackich, znajdujących się w Wiedniu podczas zajęcia jego przez nieprzyjaciół. Oddawał on nieszczęśliwym znaczną część swoich dochodów i cały swój czas poświęcił chorym. Francuzi oddali hołd należny jego zasługom, zaś cesarz Austrii nawet nie raczył powiedzieć: „Dziękuję“.

Nie mówię już o dzielnych Tyrolczykach, ani o ich wodzu Andrzeju Hoferze. Całemu światu znany jest los tego niezrównanego patrioty, który dzięki niewybaczalnej obojętności rządu austriackiego, padł ofiarą wściekłości wrogów ¹⁾.

Niestety, postępowanie wielu wiedeńskich stanowiących sprzeczność z tem, co wyżej opisałem. W czasie, gdy ustąpienie wojsk francuskich napełniało radością serca wszystkich dobrych Austriaków, znalazło się sporo wiedeńskich, które gorzkimi łzami opłakiwały wyjście nieprzyjaciół. Urzędnik biura pocztowego w Wiedniu przysłał mi artykuł z *Observateur Autrichien*, w którym uskarżano się na korespondencję tych dam z żołnierzami francuskimi. O ile inaczej zachowywały się Polki-patriotki względem oficerów korpusu austriackiego, który w tym czasie był posłany do Księstwa War-

¹⁾ Andrzej Hoffer, oberżysta w Passeyr (ur. r. 1765) był obrany przez Tyrolczyków wodzem w powstaniu 1809 r. przeciw Bawarii. D. 10 i 11 kwietnia rozbił 20-to tysięczny korpus i bronił się przeciwko 40 tysiącom nieprzyjaciół. Wraz potem opanował Karyntję i Salzburg. Hoffer z niezwykłą odwagą łączył szlachetność i łagodność. Po skończeniu wojny i zawarciu traktatu w Schoenbrunn, Hoffer, sądząc, że został zdradzony, podniósł broń na nowo, lecz został schwytany i rozstrzelany w r. 1810. (W. Z.).

szawskiego. Mój szwagier Gerhardy, który należał do tego korpusu, zapewniał mnie, iż pomimo, iż umiał żyć i dotąd miał ogromne u kobiet powodzenie, nie był przyjęty przez żadną Polkę.

Armja francuska opuściła Wiedeń dopiero 20 listopada. Mój ojciec nie chciał ani odkładać postanowienia wyjazdu, ani też zostawiać domu, zanim nie będzie wolny od lokatorów wojskowych. Tę grzeczność wyświadczył mu książę Neuchatelski i ojciec udał się w drogę do Fryburga d. 10 listopada.

Jego przyjaciele wiedeńscy byli niepokieszeni, a niektórzy z nich nawet zagniewali się zato, jak nazywali, dziwactwo.

Było co najmniej nierozsądnem, wędrować z armją, w której oficerowie tylko z największym wysiłkiem mogli utrzymywać dyscyplinę. Niejednokrotnie ratowali oni naszych podróżnych od ograbienia przez żołnierzy, którzy co chwila rzucali się na powóz i nawet kilka razy próbowali otwierać kufry. Nie mówię już o bezczelnych propozycjach, których była zmuszona wysłuchiwać moja siostra.

Przejeżdżając przez Monachjum (d. 16 listopada), ojciec spotkał się ze starym przyjacielem Soemmeringiem, z którym miał długą rozmowę o kranioskopji Galla. D. 21 listopada ojciec przybył do Fryburga i zastał tu już swoją skrzynię z rękopisami, o które bardzo się niepokoił. Ta okoliczność w połączeniu z jego sympatją dla Fryburga sprawiła, iż widział wszystko w kolorach różowych..

Wkrótce ojciec otrzymał list od cesarzowej rosyjskiej Elżbiety, która, w słowach życzliwych, wyrażała mu swą wdzięczność i żal z powodu jego wyjazdu z Petersburgu ¹⁾

Otrzymał także i inny dowód, że w Rosji pamiętają

¹⁾ List Jana Piotra Franka i list cesarzowej Elżbiety opuszczam, jako nie zawierające nic godnego uwagi. (W. Z.).

o nim. Mianowicie przysłano mu dyplom na członka honorowego Uniwersytetu Charkowskiego z d. 30 czerwca 1809 r., podpisany przez Seweryna hr. Potockiego.

ROZDZIAŁ XIX.

Rok 1810. — Wilno. — Dziecko podrzucone. — Wystawienie opery *Romeo i Julia*. — Niepowodzenia Franka w jego praktyce okulistycznej. — Nagana udzielona Frankowi przez księcia kuratora. — Tadeusz hr. Czacki i księżę Adam Czartoryski w Wilnie. — Projekt cesarza Aleksandra utworzenia królestwa Litewsko-białoruskiego. — Teatr wileński. — Projekt nowego teatru w Wilnie. — Pani Cichocka. — Jej skandaliczne małżeństwo. — Kutuzow i Ryfka. — Ludwik Frank i jego żona asyryjka. — Ali-basza. — Śmierć Karoliny—siostry Józefa Franka.

Rok 1809 zakończył się przy takich samych mrozach, przy jakich się rozpoczął. D. 23 grudnia o godz. 7-ej rano termometr wskazywał 22° poniżej zera, gdy mój gołibroda powiedział mi, że przy drzwiach mego mieszkania leży podrzucone niemowlę. Oczywiście kazałem je przynieść. Był to nawpół zmarznięty nowonarodzony chłopczyk, bardzo wątły i zawinięty w grube szmaty. Znaleźliśmy przy nim papier, na którym niewprawną ręką było napisane po polsku: „Jestem dzieckiem nieprawem. Błagam o łaskawe przygarnięcie mnie. Ci, co zaopiekują się mojem dzieciństwem będą moimi ojcem i matką. Rodzice, którzy mi dali życie, opuścili mnie. Zastąpcie mi ich. Na chrzcie wybrano mi za patrona św. Rafała. Proszę zachować mi to imię. O mojem urodzeniu wiedzą osoby powszechnie znane“.

Odesłałem niemowlę do pani Frankowej, która na razie wzięła je za kota spowitego. Spostrzegłszy pomyłkę, powierzyła dziecę dobrej karmicielce i zaopatrzyła w potrzebną bieliznę, kołyskę i t. d. Ponieważ imię Rafał nie podobało się nam, pomimo uwielbienia dla genialnego malarza (Rafała), to też zamieniliśmy je na Wiktor, którego święto obchodzono d. 23 grudnia.

Na razie przypuszczano, że to moje dziecko i że podrzucono je nam dlatego, abym mógł swego nieprawego syna wychowywać, nie narażając się pani Frankowej. Ale w tem przypuszczeniu nie było prawdy.

Moje zakłady dobroczynne, szczególnie instytut macierzyństwa i szczepienia ospy ochronnej, rozwijały się pomyślnie. Udoskonalilem niesienie pomocy lekarskiej chorym w ich własnych mieszkaniach przez dostarczanie bandaży biednym robotnikom, cierpiącym na rapturę, dzięki czemu mogli pracować. Rozdawałem także bony na bezpłatne kąpiele ciepłe.

Po udzieleniu pomocy 916 osobom, nie licząc chorych w infirmerji domu dobroczynności, pozostało w mojej kasie tylko 203 ruble, to też należało pomyśleć o jaknajprędzem jej zapełnieniu. Po wystawieniu „Stworzenia Świata“ Haydna, nie mogłem liczyć, aby zwyczajny koncert pociągnął publiczność, tem bardziej, że pieniędzy w kraju było niewiele. Postanowiłem skorzystać z obecności w Wilnie p. Torquinio i wystawić operę *Romeo i Julję* Zingarellego, z dodaniem kilku innych utworów muzycznych. Pokazaliśmy p. Torquinio, w jaki sposób Crescentini śpiewał i grał rolę *Romeo* i nasz śpiewak znakomicie potrafił go naśladować. Pani Frankowa podjęła się wykonania roli *Julji*. Ponieważ zdarzało się, że osoby nawet bardzo poważne występowały na scenie, jak np. prezydent Trybunału w tragedji *Phedra*, granej w Wilnie, więc sądziłem, iż nie będzie w tem nic zdrożnego, jeżeli ja zagram rolę ojca *Julji*. Ale mój przyjaciel, prof. Niszkowski, zaklinał mnie, abym tego nie czynił, ponieważ, jak mnie upewniał, publiczność wileńska byłaby ogromnie zgorszona, widząc profesora kliniki na scenie. Niszkowski mówił z takim zapalem, że powinszowałem sobie, iż mam takiego przyjaciela i przyrzekłem, że posłucham jego rady. Nie mając na widoku nikogo dla tej roli, zwróciłem się do aktora *Fiszera*, który śpiewał ani źle, ani dobrze. Ponieważ zarówno *Fiszera*, jak i inni aktorzy, mający wykonać role podrzędne (*Teobalda*,

Gilberta, Matyldy) i chórzyści ani słowa nie umieli po włosku, przeto przepisałem dla nich role używając ortografii polskiej, np. K zamiast C przed a (Kaso zamiast Caso), cz zamiast c przed e (czena zamiast cena) i t. d. Powiodło się z tem znakomicie, a że opera wymagała niewielkiego baletu, więc wynalazłem 8 panien i 4 młodych ludzi, zaś p. Dziwoni, metr tańców w Uniwersytecie, podjął się urządzić pod moim kierunkiem balet. Ponieważ w sztuce było kilka walc, tedy poleciłem dać parę lekcji fechtunku p. Torquiniemu i zachwyciałem się, patrząc, z jaką on bił się odwagą, pomimo swego wyglądu niewieściego i małego wzrostu. To samo zrobiłem z 24 grenadje-rami. P. Hulle, metr szermierki, podjął się objaśnić im zasady walki, zapomniawszy urazy do mnie, zato, że sprzeciwiłem się założeniu w Wilnie szkoły fechtunku i mianowaniu go na jej nauczyciela.

Próby i wszystkie przygotowania do opery odbywały się w moim domu, który wcale nie był podobny do domu lekarza. W jednym pokoju śpiewano, w drugim tańczono, w trzecim bito się na rapiry, a w czwartym i piątym krawcy i szwaczki pracowali, przygotowując kostjумы, przeważnie z aksamitu i atlasu, szyte złotem i srebrem. Nic tedy dziwnego, że kostjумы kosztowały 4 tysiące franków, nie licząc stroju pani Frankowej, za który zapłaciłem z własnej kieszeni. Pragnąc, aby dekoracja więzienia Capuleti była wykonana przez dobrego malarza, zwróciłem się do p. Gonzagi w Petersburgu, obowiązując się przesłać mu wymiary sceny wileńskiej i opłacić płótna i farby. Nie pożałowałem pięknych słów o jego sławie, patriotyzmie, dobroczynności i dodałem, że za jego pracę nie śmiem proponować zapłaty, ponieważ nie da się ona niczem opłacić. Była to z mojej strony próżna praca, bo ten egoista nawet nie odpisał na mój list. Na szczęście podjął się tego zadania p. Głowacki i trzy nowe dekoracje kosztowały około tysiąca franków. Stałą orkiestrę teatralną powiększyłem w dwójnasób i sam nią dyrygowałem. Nawet p. Niskowski nic nie miał

przeciwno temu. Największą trudność miałem z wynalezieniem suflera, ponieważ trudno było o osobę, któraby umiała po włosku i znała muzykę. Ostatecznie uprosiłem p. Vicini, aby przyjął ten podrzędny, ale niezmiernie ważny obowiązek.

Na próbie generalnej p. Fiszer oświadczył mi, iż jest tak zmęczony, że jeżeli będzie śpiewał dziś, obawia się, że straci głos przed przedstawieniem. Zgodziłem się z nim.

Bilety na parterze sprzedawaliśmy po ośm franków, łoże po 60. Ale magnaci dawali naddatki, a hr. Ignacy Tyzenhauz za swoją łożę zapłacił sto dukatów holenderskich. Zrobiłem, co tylko mogłem, aby nikt nie mógł darmo dostać się do teatru. Oglądając szczegółowo teatr, znalazłem ukryte wejście, o którego istnieniu nie wiedział antreprenier. Był zrozpaczony na samą myśl o stratach, które prawdopodobnie ponosił. Nad woźnymi mieli dozór moi uczniowie. Przez ostrożność bilety wydawałem dopiero w dzień przedstawienia, a to, aby uniknąć ich podrabiania, co się już zdarzało na moich poprzednich koncertach.

Przedstawienie odbyło się d. 27 kwietnia 1810 r. Jeszcze przed końcem pierwszego aktu, wszystkie łoże były zamówione na następne przedstawienie. Zachwył był ogólny, bo i nie mogło być inaczej. Musiało wydawać się czemś cudownem wykonanie w sercu Litwy wielkiej opery, w której ze śpiewem włoskim łączyła się deklamacja francuska. Książę Ogiński, który właśnie powrócił z Paryża, gdzie słyszał w Romeo i Julji w Tuilleries Crescentiniego i Grasini, oświadczył publicznie, że Torquinio i pani Frankowa w niczem im nie ustępują.

Znając dobrze potęgę wpływu, jaki ma na dusze ludzkie asocjacja wrażeń i pragnąc wywołać w audytorjum nastrój podniosło-religijny, kazałem przed podniesieniem kurtyny w trzecim akcie zapalić kadzidła, ponieważ scena przedstawiała grób Julji. Efekt był nadspodziewany. Aby uczynić potyczkę między Capuleti i Montechi jak

najbardziej naturalną, szepnąłem pod sekretem każdej stronie z osobna, iż przeciwnicy postanowili nie na żarty ich pobić. Jakoż obie strony były się zawzięcie, iskry sy- pały się z rapirów i nawet została przelana krew. Na



Ignacy hr. Tyzenhauz,

starosta posolski, szef gwardji pieszej litewskiej
w końcu XVIII wieku.

(według portretu ze zbiorów hr. Przezdzieckich w Warszawie).

szczęście rany były lekkie, a nadto umieściłem za kuli- sami chirurga Marjańskiego.

Przy końcu przedstawienia zapal publiczności do- szedł do tego stopnia, że głośnem wołaniem domagała się wyjścia na scenę pani Frankowej. Słyszac to generał- gubernator, p. Korsakow, posłał swego adjutanta, prosząc ją, by się ukazała publiczności z jego łoży, ale było już za późno, ponieważ poleciłem jej, by wyprowadziła na scenę Torquinio i wskazała publiczności, iż to jemu przede wszystkim należą się oklaski. Na moje zapytanie, czy myślała o czem smutnem, gdy spędziła pół godziny w trumnie, pani Frankowa odpowiedziała:

— „Myślałam, że zaprosisz Torquinio na kolację, że obaj będziecie mieli doskonałe apetyty, i że zapomniałam wydać w domu odpowiednich rozkazów“. — „Jakie to rozczulające!“

Powtórzyliśmy operę jeszcze dwa razy (30 kwietnia i 6 maja) zawsze na rzecz 3-go wydziału Towarz. Dobroczynności. Dochód brutto wynosił 3750 r., a czystego zysku miałem 1973 rs. Nie można było uważać za nie- udaną antreprezję, która dała czystego dochodu sto pro- cent, tem bardziej, że nie policzyłem moich wydatków oraz kosztu, mających z nią związek obiadów i wie- czerzy. Nadto pociągnęło za sobą to przedsięwzięcie szereg innych, niby zaszczytnych dla mnie, wydatków. Aktorowie brali udział w operze bezpłatnie, to też i ja musiałem kupować łożę na ich benefisy, a że odbywały się prawie co tydzień i za łożę trzeba było płacić po dwa dukaty, tedy łatwo obliczyć, ile to mnie kosztowało do końca roku. Aby wynagrodzić aktorów za ich chętny udział w przedstawieniu opery, daliśmy ją jeszcze raz na ich benefis. Pomimo, że tego wieczora, t. j. 20 maja (1 czerwca) był mróz i śnieg padał wielkimi płatkami, jednak dochodu było 600 rs. Tyleż otrzymał Torquinio z piątego i ostatniego przedstawienia opery na jego ko- rzyść. Pragnąc wynagrodzić antrepreneurowi straty, któ- re go czekały z powodu, iż po operze Romeo i Julja teatr

jego przez czas dłuższy będzie świecił pustkami, darowałem mu wszystkie kostjумы, sporządzone dla naszego przedstawienia, w ich liczbie i kosztowny kostjum pani Frankowej. Oprócz tego otrzymał on swoją część jako aktor.

Byłem dumny z tego, że moje przedsięwzięcie było pożyteczne nietylko dla 3-go wydziału Towarz. Dobroczynności, ale miało szersze znaczenie, dając znaczny zarobek kupcom, krawcom, szwaczkom, muzykantom i rozmaitym rzemieślnikom, a także, ponieważ wiele rodzin, które umyślnie na to przedstawienie do Wilna przyjechało, zostawiło tu sporo pieniędzy.

W końcu marca pani Łoborzewska¹⁾ prosiła mnie, abym pozwolił jej być obecną, na którym z moich przyjęć ubogich chorych, którzy dwa razy na tydzień otrzymywali bezpłatnie moją poradę, lekarstwa i t. d. Wszystko, co zobaczyła, niezmiernie ją zainteresowało i wzruszyło. Żegnając się ze mną p. Łoborzewska zapytała:

- Jaką nagrodę ma pan za tyle pracy?
- Zadowolenie, jakie daje spełnienie dobrego czynu.
- To niegodziwie! zawołała pani Łoborzewska.
- Jak to niegodziwie, Pani?
- Mówię o niewdzięczności rządu, raczej o niedołęstwie naszego wspólnego nieprzyjaciela.

Jakoż z ambulatorjum pojechała wprost do p. Kutuzowa z wymówkami. Generał wysłuchawszy ją powiedział:

— Czyż sądzisz, że ja nie myślałem o tem, aby wyjednać dla Franka nagrodę. — „To za mało myśleć, a trzeba działać!“ To powiedziawszy, pani Łoborzewska kazała zawołać sekretarza i zmusiła ekscelencję do poddyktownia przedstawienia do ministra, podpisania i wysłania pisma tego samego dnia.

D. 10 maja rano podano pani Frankowej bilecik od

¹⁾ Kochanka generał-gubernatora Kutuzowa (ob. rozdz. XVI). (W. Z.).

p. Kutuzowa, który zawiadamiał, iż jej mąż został kawalerem orderu św. Włodzimierza 4-ej klasy. Nie zwlekając pojechałem do niego z podziękowaniem i generał-gubernator własnoręcznie przypiął mi order. P. Bennigsen wymawiał p. Kutuzowowi, że nie przedstawił mnie do tegoż orderu klasy 3-ej, ale ja byłem najzupełniej zadowolony, ponieważ pierwszy z członków Uniwersytetu wileńskiego zostałem udekorowany orderem rosyjskim.

Następną pocztą przysłano order św. Anny 2-ej klasy dla p. Jana Śniadeckiego, którego przedstawił kurator, uważając za niewłaściwe, aby zwykły profesor posiadał order, gdy rektor nie miał żadnego.

P. Kutuzow żartował z tej drobnostki, powiadając mi: — „Mógłbyś pan również otrzymać krzyż św. Anny 2-ej klasy, ale przedstawiłem go do orderu św. Włodzimierza, jako bardziej zaszczytnego. Św. Annę dają jako łaskę, zaś św. Włodzimierza za zasługi“. Jakoż istotnie w *Gazecie Petersburskiej* wydrukowano, że „Jego Cesarska Mość raczyła nagrodzić rektora Uniwersytetu Wileńsk. krzyżem św. Anny 2-ej klasy, a profesora Józefa Franka orderem św. Włodzimierza 4-ej klasy w uznaniu jego gorliwości na służbie i poświęceniu się służeniu cierpiącej ludzkości“.

Ten sam frazes znajdował się na dyplomie, podpisanym własnoręcznie przez cesarza Aleksandra. W tym samym czasie *Kurjer Północny* — gazeta ministerjalna zamieściła notatkę, w której wyliczono wszystkie utworzone przeze mnie w Wilnie zakłady dobroczynne.

Pewnego dnia w rozmowie z p. Kutuzowem powiedziałem, że byłoby pożądanym, aby w Rosji wydawano gazetę lekarską, któraby informowała lekarzy i chirurgów tego obszernego państwa o wszystkim z zakresu ich specjalności. Panu generał-gubernatorowi myśl moja bardzo się podobała, to też napisał o tem do księcia Aleksiego Kurakina, ministra spraw wewnętrznych, który rozkazał mój projekt wykonać. Zawiadamiając mnie o tem, dodał, że projekt wydawania czasopisma lekarskie-

go nie jest nowy i stanowiło to nawet obowiązek Rady Medycznej, która jednak, sądząc, że trudno, aby ciało uczone zajmowało się redagowaniem pisma, ograniczyło się do publikowania swych rozporządzeń. P. Uden jednak przysłał mi prospekt czasopisma, które z rozkazu ministra miała wydawać Rada Medyczna i zaprosił mnie na współpracownika. Prospekt nie podobał mi się, ponieważ zapowiadał, iż głównym zadaniem czasopisma będzie ogłaszanie drukiem prac i postrzeżeń lekarzy rosyjskich. Nie od tego należało zaczynać! Mojem zdaniem, każdy naród powinien mieć pismo naukowe o podwójnym charakterze, mianowicie, ma ono podawać do wiadomości krajowej to wszystko, co się w innych krajach dzieje, oraz informować zagranicę o własnym kraju. Tylko takie pismo może zainteresować cudzoziemców, bo pocóżby mieli kupować gazetę, której połowa jest zapełniona tem, co im oddawna jest znane?

Czasopismo, o którym pisał p. Uden, zamierzano wydawać po rosyjsku, a według mego zdania należało je drukować po łacinie. Zważywszy to wszystko, odtąd sprawy wydawania gazety nie poruszałem.

Z przyjemnością zaznaczam, że w kilka lat potem d-r Rehman i Crichton zaczęli wydawać w Petersburgu pismo lekarskie, ale wychodziło ono niedługo.

Kilku młodych lekarzy, zaproszonych z Niemiec przez ministrów rosyjskich, musiało składać egzamin w jednym z uniwersytetów miejscowych na prawo praktyki w Rosji. Wybrali oni Uniwersytet Wileński i niektórzy z nich przywieźli mi listy polecające, między innymi od p.p. Nolde i Spangenberg z Brunswiku, od Tramsdorfa z Erfurtu, Pidevita z Cassel, Stieglitza z Hanoweru i t. d. Gdy wileński gubernator cywilny skierował jednego z tych młodych lekarzy do fakultetu medycznego, prosząc o wydanie opinii, czy ten lekarz jest dostatecznie przygotowany, aby mógł być przyjęty na służbę, wszyscy profesorowie dali odpowiedź twierdzącą, tylko ja jeden temu zaprzeczyłem. Ponieważ jednak większością

głosów uznano, iż wspomniany medyk posiada potrzebne wiadomości, zapisałem do protokołu votum separatum, nie chcąc przyjmować na siebie odpowiedzialności. Gubernator cywilny, przeczytawszy moją notatkę, nie uwzględnił dyplomu, wydanego młodemu człowiekowi przez fakultet pro libera praxi i nie przyjął go na służbę. Fakultet, dotknięty postępkiem gubernatora, zwrócił się ze skargą do kuratora, ale i tu nic nie uzyskał.

Moja praktyka prywatna była w r. 1810 dość obszerna. Dziecko p.p. Bennigsenów dostało podczas ząbkowania bardzo silnej gorączki kataralnej. Pewnej nocy, gdy jechałem odwiedzić małego pacjenta, przy wjeździe do lasu w Zakrecie przebiegł drogę przed samymi sankami duży wilk. Kobiety, pielęgnujące chore dziecko były zachwycone, dowodząc, że takie spotkanie wilka jest szczęśliwą wróżbą. Istotnie tak było, gdyż dziecko wkrótce wyzdrowiało.

Około połowy lutego jeździłem do Radziwiłmontów, ponieważ u starego księcia powtórzyła się choroba pęcherza, którą i tym razem ku wielkiemu memu zadowoleniu udało mi się zwalczyć. Nie tak szczęśliwym byłem na Wielkanoc, gdy wezwano mnie do księcia Antoniego, który zachorował na tyfus. Zaraził się zwiedzając jeden ze swoich pałaców, który niedługo przedtem był zajęty na szpital wojskowy, a który zaniedbano należycie oczyścić.

Tyfus u człowieka 50-letniego, ogromnie otyłego i hołdującego trunkom, nie wróżył nic dobrego. Jakoż ks. Antoni umarł, pozostawiając siostrę, księżniczkę Annę, w tem większem strapieniu, iż do ostatniej chwili nie traciła ona nadziei na pomyślny wynik choroby i że jak się okazało, zamiast obiecanych milionów, musiała płacić długi brata. Bardzo byłem nierad, że nie mogłem wyleczyć chronicznego cierpienia oka z owrzodzeniem rogówki u pani Czerniajewowej z Mińska. Ta najpiękniejsza z kobiet umyślnie przyjechała do Wilna, aby leczyć się u mnie. Widząc, iż nie mogę sobie poradzić z jej cierpie-

niem i obawiając się ślepoty, porzuciła mnie i zwróciła się do d-ra Nizzkowskiego, który ją wkrótce wyleczył. Gdy go rozpytywałem o zastosowanej przez niego metodzie leczenia i gdy wyznałem mu, iż się czuję niezmiernie upokorzonym, odpowiedział mi: — „Pociesz się pan. Ja również nie dałbym sobie rady, gdyby nie ta okoliczność, że poszczyściło mi się widzieć, jak się leczą tego rodzaju cierpienia w klinice prof. Beera w Wiedniu“.

D-r Liboszyz sprowadził z Dorpatu prof. Kautzmana dla zrobienia operacji zdjęcia katarakty. Operacja zupełnie się nie udała na jednym oku i nieszczególnie na drugim. Jednak pozwoliło mu to nie przerywać praktyki. Wzywał on do pomocy innych lekarzy tylko wtedy, gdy do rozpoznania choroby potrzebny był dobry wzrok. Najczęściej zwracał się do mnie, widząc moje współczucie dla jego nieszczęścia.

Ponieważ ks. Czartoryski nie spełnił obietnicy i wracając do Petersburga, nie wstąpił do Wilna, przeto znowu napisałem do niego, posyłając tom drugi *Acta Instituti Clinici Cesareae Universitatis Viliensis*, który to tom tylko co wyszedł z druku. Wkrótce otrzymałem od księcia list treści następującej:

„Uprzejmie dziękuję Panu za nadesłane mi *Acta clinica*. Dzieło to sprawiło mi podwójną przyjemność, mianowicie jako owoc pańskiej pożytecznej pracy w Uniwersytecie Wileńskim i jako dowód pańskiej dla mnie życzliwości. Muszę teraz poruszyć sprawę, która dotyczy pana. Niedawno doniesiono mi, żeś pan jeździł na wieś do chorego księcia Radziwiłła, nie uzyskawszy od Uniwersytetu pozwolenia na wyjazd. Jeżeli to prawda, w takim razie postąpiłeś pan przeciw regulaminowi i porządkowi. Byłem tembardziej zdziwiony, iż miałem sposobność przekonać się, jak pan jest wymagającym dla innych i jak mało skłonnym do tolerowania najmniejszych nadużyć. Nie potrzebuję mówić panu o niepożądanych następstwach, jakieby wynikły, gdyby inni profesorowie zechcieli naśladować pana. Mam nadzieję, że sam pan

przyzna, jak jest niepożądanem, aby profesorowie lekceważyli regulamin, a im większe mają oni zasługi, tem bardziej winni być przykładem dla innych w ścisłym pełnieniu swoich obowiązków.

Łączę wyrazy i t. d.

Petersburg, d. 25 marca 1810 r.

Odpowiedź moja była następująca:

„Błagam Waszą Książęcą Mość o pozwolenie usprawiedliwienia się z zarzutu, iż wyjeżdżałem z Wilna bez pozwolenia Uniwersytetu. Przedewszystkiem muszę poinformować, że na samym początku rektoratu p. Jana Śniadeckiego prosiłem jego brata chemika (w owym czasie obaj byli mi przychylni), aby go wybadał, jak należy postępować w razie potrzeby wyjazdu z miasta, które to wyjazdy bywają konieczne dla dobra ogółu, a dla lekarzy stanowią jeden ze sposobów zdobywania środków do życia, w mieście tak jak Wilno drogim. Rektor polecił powiedzieć mi, że, ponieważ nie jest upoważniony do udzielania profesorom pozwolenia na wyjazdy, przeto wolałby, aby go o takowe nie pytano i aby profesorowie na własną odpowiedzialność urządzali się w ten sposób, by studenci na tem nie cierpieli. To też co roku zdarzało mi się wyjeżdżać z miasta na dni kilka; to samo robili moi koledzy i nikt nam tego nie miał za złe, ponieważ, co do mnie przynajmniej, nauczanie wcale na tem nie cierpiało. W czasie mojej nieobecności zastępował mnie mój asystent, a po powrocie miewałem większą ilość wykładów, aby wynagrodzić stratę wskutek opuszczonych lekcji. Podobnie postąpiłem i ostatnim razem, a ponieważ wyjechałem podczas zapust, więc opuściłem tylko pięć lekcji, jeżeli tylko można użyć wyrazu „opuściłem“, bo w zastępstwie mojem miał wykłady asystent, któremu udzieliłem wskazówek i zostawiłem swoje notatki. Nadto, jak to było moim zwyczajem, dałem o dziesięć wykładów więcej, niż byłem obowiązany. Po tem, com napisał, pozwałam sobie mieć nadzieję, że Wasza Książęcą Mość

zechce przyznać, że i względem siebie jestem również wymagający, jak względem innych, i być spokojną na przyszłość co do przykładu, jaki sobą daję, a który, sądzę, nie będzie miał złych następstw dla innych. Rocznie daję 104 klinicznych lekcji nadzwyczajnych, gdy ubodzy z miasta przychodzą do mnie po poradę. Prawie co wieczór odwiedzam klinikę, chociaż nie jestem do tego obowiązany. Zdarza się również, że miewam wykłady nawet podczas naszych dwumiesięcznych ferji.

Wasza Książęca Mość wie lepiej, niż ktokolwiek inny, iż w tem wszystkiem mam na względzie tylko dobro ogółu, nie zaś własny interes, ponieważ nigdy nie żądałem wynagrodzenia za swoją pracę nadobowiązkową i nigdy nie skarżyłem się, gdy na przedstawienie rektora koledzy moi otrzymywali wyższe rangi, a mnie pomijano. Wasza Książęca Mość raczy sama domyślić się po czyjej stronie jest niechęć?

Mając to mocne przekonanie, z niecierpliwością oczekuję przyjazdu Waszej Książęcej Mości do Wilna, jeżeli zaś nadzieja mnie zawiedzie, będę prosił o udzielenie mi dymisji i już porozumiałem się z moim ojcem co do powrotu swego do Niemiec.

Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego szacunku i t. d.

Wilno 9 (21) kwietnia 1810 r.

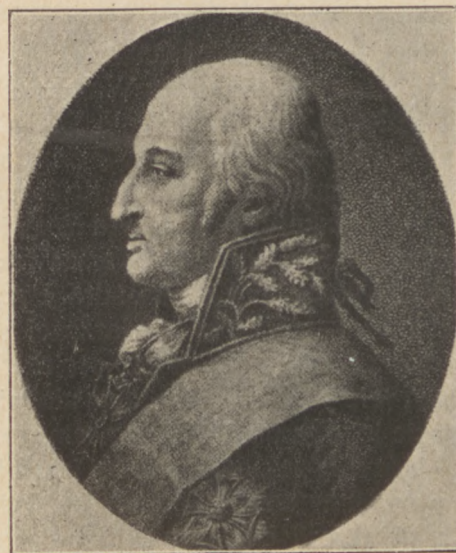
List ten pozostał bez odpowiedzi, której co prawda i nie oczekiwałem.

W rozdziale następnym wytłómaczę na czem opierałem po raz drugi już powtórzoną pogroźkę wyjazdu z Wilna.

Książę Czartoryski naznaczył w Wilnie rendez vous Tadeuszowi hr. Czackiemu i Ludwikowi Platerowi, dając tem dowód, jak bardzo niedowierzał własnej znajomości spraw Uniwersyteckich. Pierwszy przyjechał hr. Czacki i prawie zaraz po wyjściu z powozu odwiedził mnie. Opowiedziałem mu o nieporozumieniu pomiędzy mną a księciem. Przyznał mi się hrabia, iż rzecz ta jest dla niego

niejasna i zapewniał, że gdy przyjedzie kurator, sprawa weźmie obrót pomyślny. Na oczekaniu pokazałem hrabiemu założone przeze mnie instytucje i zaprosiłem go na egzamin publiczny studentów kliniki. Wyszedł on z egzaminu zachwycony.

Tymczasem nadjechał ks. Czartoryski. Był to już koniec roku szkolnego, t. j. czas najniefortunniej wybrany dla wizytacji Uniwersytetu.



Tadeusz hr. Czacki.

P. Czacki odrazu zrobił wymówkę kuratorowi za jego postępowanie ze mną; poparł go hr. Plater. To wystarczyło, aby ten człowiek bez charakteru zmienił przekonanie i pozbył się uprzedzenia, jakie miał względem mnie, dzięki intrygom kliki Śniadeckiego. Książę zaczął od prośby, abym zapomniał o tem, co między nami zaszło, zapewniał, że umie mnie cenić i wyliczał, jak wiele on sam i jego rodzina zawdzięczają memu ojcu.

Mała narada akademicka pomiędzy p.p. Czartorys-

kim, Czackim i Platerem nieco ożywiła Wilno. Jeszcze więcej przyczynił się do tego przyjazd ks. Michała Ogińskiego, który został radcą tajnym i senatorem i który przywiózł nowiny bardzo dla Litwinów przyjemne. Opowiadał każdemu, kto tylko chciał słuchać, iż cesarz Aleksander zwierzył mu się z projektem połączenia Białej Rusi, Litwy, Wołynia i Podola i utworzenia z nich osobnego królestwa ze stolicą w Wilnie, z wice-królem i udziałem senatu. Przypuszczano, że wice-królem zostanie książę Oldenburski¹⁾.

Było jasnym, że cesarz Aleksander chciał w ten sposób zmniejszyć znaczenie Księstwa Warszawskiego. Ciesząc się z korzyści, jakieby stąd miało Wilno, przewidywałem jednak wiele złego dla Rosji. Byłem przekonany, że większość mieszkańców tej parodji Królestwa Polskiego zapomni o wdzięczności dla Cesarza Rosji i będzie dążyła do połączenia się z Księstwem Warszawskiem w celu wybicia się z pod panowania Aleksandra. Przedewszystkiem Napoleon przy pierwszej nadarzonej sposobności potrafiłby stworzyć taką unję, to też projekt Aleksandra był obmyślany, jakby po to tylko, aby ułatwić Napoleonowi wykonanie jego zamiarów. Tego samego zdania był i p. Kutuzow, który jednak dodawał, że, jeżeli istotnie była odrobina prawdy w opowiadaniach ks. Ogińskiego, to dzięki jego niedyskrecji cały projekt musiał upaść. Tak się też i stało.

Chociaż w życiu Wilna była to epoka szczególnie świetna, pomimo to teatr znajdował się w stanie opłakanym. Aktorowie, którzy jednocześnie byli przedsiębiorcami, znaleźli się w położeniu bez wyjścia i błagali mnie, bym ich ratował. — „Pański udział sprawi, mówili, że do teatru pośpieszy całe Wilno“.

Zaczęliśmy tedy od wystawienia *Lodoiskiego* Che-

¹⁾ Szwagier cesarza Aleksandra, mąż jego siostry Anny, o której rękę prosił Napoleon po rozwiedzeniu się z Józefiną, ale mu jej Aleksander odmówił. (W. Z.).

rubiniego. Będąc przekonany, że nie śpiewacy w teatrze wileńskim (z wyjątkiem panny Bogusławskiej i panny Wojciulewiczówny — uczennic p. Frankowej) potrafią zainteresować publiczność, postanowiłem podzielać na nią w inny sposób. Najbardziej odpowiednim do tego wydał mi się napad Tatarów na zamek obronny, w którym tyran więził Lodoiskę. Umieściłem tedy na scenie tyle bębnow i trąb, ile tylko mógł mi ich dostarczyć garnizon wileński. Zapełniłem ją żołnierzami, poleciwszy im, aby sprawiali jak najwięcej hałasu i krzyczeli *h u r r a*. Nie żałowałem wystrzałów z dział, strzelb, pistoletów, Były również wybuchy min, które wznieciły pożar. Nawet runął most zwodzony, w chwili, gdy biegł po nim Tatar, unosząc Lodoiskę. Na wałach poukładałem manekiny, które miały wyobrażać poległych i t. d. Stało się jednak, że jeden z tych manekinów zapalił się, ogień niebawem objął dekorację i teatr z pewnością stałby się pastwą płomieni, gdyby strażacy nie mieli się na baczności. Strugi wody, które spadły na scenę, przyczyniły się do zwiększenia efektu, ponieważ publiczność była przekonana, że to należało do programu przedstawienia i nawet nie przypuszczała grożącego niebezpieczeństwa. A że orkiestra wcale dobrze się spisała i szczególnie świetnie zagrała piękną uwerturę, to też wszyscy byli zadowoleni, a dochód z przedstawienia przeszedł wszelkie oczekiwania.

Niedługo potem wystawiliśmy z niemniejszym powodzeniem *Palmirę* Salierego. Podczas tego przedstawienia spotkała mnie wielka przykrość. Król Egipski, chcąc odebrać *Palmirę*, miał stoczyć bój z potworem. Aktor, grający rolę króla, był z natury niezmiernie bojaźliwy. Aby go naprawdę nastraszyć, prosiłem maszynistę, który miał siedzieć wewnątrz potwora, aby z paszczy tegoż wypuścił mały fejerwerk. Maszynista chętnie się na to zgodził i w chwili, gdy potwór rzucił się na Jego Egipską Królewską Mość, z paszczy buchnął snop iskier i płomieni i przerażony aktor zaczął się rzucać po scenie, jak oszalały, ale jednocześnie z wnętrza potwora dał się

słyszeć krzyk rozzdzierający. Odrazu zrozumiałem, że stało się nieszczęście. Jakoż istotnie część fejerwerku zapaliła się wewnątrz i w okropny sposób poparzyła twarz maszynisty. Biedak był cały okrwawiony, ale na szczęście oczy ocalały. Udzieliłem mu pomocy lekarskiej i oddałem wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie. Choć wyzdrowiał, ale zachował na całe życie blizny na twarzy, jako świadectwo mojej nierozważnej prośby i jeszcze bardziej niemądrego jej wykonania. Po tych przedstawieniach otrzymałem za moje starania dla aktorów podziękowania od p.p. Kutuzowa, Czartoryskiego, Ogińskiego, Czackiego, Platera i innych. Ze swej strony śpiewałem hymny pochlebne na cześć biorących udział w przedstawieniu, twierdząc, że Polacy śmiało mogliby rywalizować ze wszystkimi narodami jako tragicy, komicy, śpiewacy, tancerze, gdyby posiadali teatr, w którym mogliby się kształcić. Mojem zdaniem taki teatr można było stworzyć w Wilnie. Uproszono mnie, abym opracował projekt, który był gotów już dnia następnego. Zupełnie przytem zapomniałem o moim zamiarze opuszczenia Wilna.

Projekt nowego teatru w Wilnie.

Zachować czystość języka krajowego i doskonalić go, przeszczepiać na grunt rodzinny arcydzieła teatrów obcych, wyrabiać gust u młodych poetów i artystów narodowych, dostarczać przez kilka godzin w tygodniu miłej rozrywki wszystkim klasom ludności po cenie dla każdego dostępnej i przez to odciągnąć od zabaw szkodliwych dla zdrowia i moralności; takim jest cel proponowanego teatru, który powinien otrzymać nazwę „litewskiego teatru narodowego“.

Aby projekt uczynić bardziej zrozumiałym, najpierw będę mówił o założeniu teatru, a następnie o dyrekcji teatru i antrepryzie.

Założenie teatru.

Na czele przedsiębiorstwa stają J. W. Senator hr.

Michał Ogiński¹⁾, p. gubernjalny marszałek szlachty Sułtrowski i p. Wawrzecki, pod protektoratem p. generał-gubernatora Kutuzowa.

Przedewszystkiem należy poczynić starania o uzyskanie od Jego Cesarskiej Mości zatwierdzenia nowego teatru nietylko dla zapewnienia mu środków materialnych, ale i przywilejów, bez których teatr w mieście prowincjonalnem nie mógłby się utrzymać. Takie przywileje dotyczą głównie zakazu wszelkich innych przedstawień teatralnych w Wilnie i jego przedmieściach. Wyjątek może być zrobiony dla osób, które wejdą w porozumienie z przedsiębiorcą teatralnym i opłacą mu wynagrodzenie, którego wysokość ma określić dyrekcja teatru. Przedsiębiorca może wystawiać wszystkie sztuki przez prawo dozwolone.

Dla urzędzenia teatru hr. Ogiński ustępuje część pałacu w Wilnie, za co teatr będzie wypłacał sumę równą dochodowi, jaki hrabia ma obecnie z tej części pałacu, ale dopiero w końcu trzeciego roku. W porozumieniu z obu wymienionymi wyżej towarzyszami zaciąga on pożyczkę za pomocą trzysturublowych udziałów, które to udziały rozkupi szlachta litewska. Właściciele udziałów są uważani za założycieli teatru, ale zrzekają się procentów od włożonego w przedsiębiorstwo kapitału przez pierwsze trzy lata, licząc od chwili założenia teatru. Projektodawcy przez pierwsze trzy lata będą kierownikami teatru. Po upływie tego czasu udziałowcy wybierają nowych trzech dyrektorów na następne trzechlecie.

O Dyrekcji.

Dyrekcja teatru ma kancelarję w gmachu teatralnym. Pilnuje ona porządku wewnętrznego, strzeże prerogatyw, reguluje ceny wejścia i liczbę beneficjów, prowadzi rachunki i zarządza interesami i kapitałami. Dyrekcja

¹⁾ Frank mylnie tytułuje Ogińskiego hrabią zamiast księciem. (W. Z.).

zawiera umowy z właścicielem domu i rozsądza sprawy między przedsiębiorcą i aktorami.

O przedsiębiorstwie.

Pani Frankowa ofiarowuje się wziąć na siebie teatr na lat trzy z warunkiem, że:

1-o. Teatr będzie jej oddany zupełnie urządzony i posiadający wszystko, co dla przedstawień jest potrzebne, z wyjątkiem dekoracji i garderoby.

2-o. Dekoracje i kostjomy, sprawione przez p. Frankową, po 3 latach przechodzą na własność teatru, zato przez cały ten czas ma on przyjąć na siebie koszt ich przechowania.

3-o. Po upływie trzech lat p. Frankowej przysługuje pierwszeństwo przed innymi przedsiębiorcami do zawarcia umowy na następne trzecie.

4-o. Ceny biletów i liczba beneficjów będą oznaczone takie, aby nie ponosiła ona straty.

Wilno, d. 29 lipca 1810 r.

P. Kutuzow, przewidując, że upłynie sporo czasu zanim powyższy projekt uda się wykonać, zaproponował, aby urządzić niewielki teatr w sali ratuszowej, w której wystawiałem *Stworzenie Świata*. Przynajmniej publiczność nie marzyłaby tam w zimie. Generał-gubernator podjął się namówić panią Morawską, która już kilka razy miała własny teatr, aby i ten wzięła na siebie. Chętnie się ona zgodziła, ale postawiła warunek, że ja będę jej pomagał, na co przystałem, zastrzegając sobie wybór sztuk.

Miałem wystawiać niewielkie opery, tłómaczone z francuskiego, wodewile i t. d. Przyjęcie tego obowiązku przypomniało mi anegdotę o Janie Jakóbie Rousseau, którą poczęstowałem ks. Czartoryskiego w obecności jego przyjaciół.

Pewien Anglik, wiedząc, że znakomity filozof jest zajęty przepisywaniem nut, wymawiał mu, że traci czas,

który mógłby użyć bez porównania lepiej. Rousseau odrzekł: „Prawilem Francuzom kazania, ale mnie nie słuchali, teraz, gdy dam im muzykę, przynajmniej będą przy niej tańczyli“.

Chociaż postanowiłem nie wtrącać się w sprawy Uniwersytetu, które mnie bezpośrednio nie dotyczyły, jednak zrobiłem wyjątek dla sprawy, którą uważałem za konieczną dla powodzenia mego przedsiębiorstwa teatralnego. Chodziło mi o założenie przy seminarjum duchownem szkoły śpiewu, a to w celu wykształcenia dobrych śpiewaków dla kościoła uniwersyteckiego, którzy mogliby także śpiewać w teatrze. Według mego projektu tacy śpiewacy byłiby potem mianowani do szkółek początkowych na nauczycieli śpiewu, a także na organistów.

Mój projekt bardzo się podobał ks. Czartoryskiemu, to też polecił on jego wykonanie rektorowi. To było wystarczające, aby ostatecznie nic nie zrobiono.

Wogóle ks. Czartoryski, wyjeżdżając z Wilna po miesięcznym urlopie, pozostawił u nas nieszczególną opinię o swoich zdolnościach. Najlepiej go scharakteryzował młody weterynarz, zostawiony przy uniwersytecie. Był to Tyrolczyk obdarzony wrodzonym, zdrowym rozsądkiem, tak właściwym jego ziomkom. Powróciwszy z audjencji u księcia, oświadczył mi: — „Wie pan co? Pański książę jest bardzo niedalekowidzący!“ (simplex).

W liczbie cudzoziemców, przejeżdżających przez Wilno w r. 1810, był niejaki Juljusz Griffith, który podawał się za lekarza amerykańskiego. Jechał on z Wiednia do Petersburga, jak mówił, dla szukania szczęścia, ale prawdopodobnie dla intryg politycznych. Był to człowiek rozumny i sympatyczny dzięki swej uprzejmości i wytwornym manierom. Gdy jednak i w Petersburgu nie powiodło mu się, przyjął posadę lekarza u hr. Potockiej z Tulczyna, ale i tam pozostawał niedługo i powrócił do Wiednia, gdzie przyczepił się do hr. Żelińskiej, jednej z kochanek księcia Mikołaja Esterhazego. Griffith przy-

wiół mi w podarunku od Pajoli nową muzykę do śpiewu Marero, Generali, Fravinelli, Malara i t. d. Te utwory przekonały mnie, że we Włoszech sztuka narodowa zawsze była ta sama. (W owym czasie jeszcze nie znano Rossiniego, tej gwiazdy wschodzącej, której promienie nie sięgały wtedy za Alpy).

W tym roku przyjechała z Warszawy do Wilna pani Cichocka, rozwiedziona z generałem polskim tegoż nazwiska i serdeczna przyjaciółka księcia Józefa Poniańskiego, oraz pań Vauban i Walewskiej (faworytek Napoleona). Ponieważ dochody, jakie posiadała, nie wystarczały jej na życie i miała córeczkę ośmioletnią, zaproponowała pannie Ludwice Gross, swej dawnej nauczycielce (która potem poślubiła p. Sokulskiego, nauczyciela muzyki), aby ta przyjęła ją razem z córeczką do swojej, niedawno utworzonej w Wilnie pensji dla panien. Oprócz niewielkiego wynagrodzenia, pani Cichocka ofiarowała się pomagać pani Sokulskiej w jej zajęciach. Propozycja została przyjęta (choć ja odradzałem). Przybycie pani Cichockiej było epoką w życiu wileńskim. Choć jej piękność już zaczynała przygasać, ale pomimo to czyniły ją niezwykle interesującą prześliczna cera, blond włosy w lokach, niebieskie oczy, piękna i wykwintna figura, miły organ mowy, maniery wielkoświatowe i szczególnie dobroć anielska.

Postanowienie zdobywania pracą środków na wychowanie córeczki było ze strony takiej kobiety wzruszające i publiczność wileńska z pewnością umiałaby je ocenić, gdyby pani Cichocka zechciała być konsekwentną. Ale wkrótce zaczęła przyjmować u siebie mnóstwo osób, co szkodziło reputacji pensji do tego stopnia, że niektórzy rodzice odebrali z niej swe córki. Pani Cichocka ogromnie to odczuła i nie wiem na czemby się skończyło, gdyby pani Bennigsenowa nie pośpieszyła na ratunek. Znalazła ona dla niej męża w osobie p. Mikołaja Abramowicza, młodego, pięknego i bogatego szlachcica litewskiego. Ślub odbył się potajemnie, ponieważ krewni,

a zarazem opiekunowie pana młodego, który w dzieciństwie stracił rodziców, nigdyby nie dopuścili do tego małżeństwa, tak nieodpowiedniego, ani pod względem wieku, ani też fortuny, pozycji w świecie i t. d.

Ci to krewni w kilka tygodni po ślubie wpłynęli na p. Abramowicza, iż pewnego pięknego poranka po jeszcze piękniejszej nocy uciekł z Wilna. Ta niespodziewana ucieczka była uderzeniem piorunu dla biednej pani Abramowiczowej, która dostała straszliwych konwulsji.

Pani Bennigsenowa poruszyła niebo i ziemię, aby załagodzić sprawę i to na szczęście jej się udało. Zbieg powrócił do żony, a krewni przyjęli ją do rodziny, rozumiawszy, że dla lekkomyślnego młodzieńca, jakim był p. Abramowicz, taka żona była prawdziwym skarbem, ponieważ sama rozumna i wykształcona, mogła naprawić to, co było wadliwego w jego wychowaniu i podzielić z nim szacunek, jakim ją otaczano. Małżeństwo to w ciągu lat kilkunastu wcale nie było gorszem od wielu innych. Panna Cichocka jeszcze jakiś czas była na pensji pani Sokulskiej, a potem zamieszkała z matką. Pani Bezobrazowowa, która wyszła zamaż za sędziego Tatiszczewa, przyjechała do Wilna po powrocie z Hiszpanji, gdzie jej mąż był ambasadorem rosyjskim. Zaraz po przyjeździe posłała po mnie. Ucieszyłem się niezmiernie widząc ją w stanie zupełnie innym od tego, w jakim znajdowała się przed wyjazdem. Po skończonej konsultacji (ponieważ jedynie dla widzenia się ze mną zboczyła z drogi do Petersburga, wówczas, gdy jej mąż pojechał na Mińsk) pani Tatiszczewowa prosiła mnie, bym jej towarzyszył do Zakretu do państwa Bennigsenów. Wiedząc, iż niegdyś nie cieszyła się zbytnią ich sympatją, odpowiedziałem, iż dowiem się, czy państwo Bennigsenowie są obecni w swoim majątku. Ta okoliczność wcale nie była zbyt ważną, ze względu na to, że odzywali się bardzo dwuznacznie o wyjściu zamaż pięknej podróżnej, ale, ponieważ dzięki temu małżeństwu uzyskała ona wstęp do towarzystwa, p.p. Bennigsenowie przyjęli ją uprzejmie przez wzgląd

na stanowisko jej męża i przez wrodzoną im dobroć. Po spożyciu z nimi śniadania i po pozyskaniu, za pomocą kilku drobnych upominków, przychylności pani Bennigsenowej, pani Tatiszczewowa odjechała z panną Marią Mineykówną (siostrą pani Bagniewskiej), jako panną do towarzystwa.

P. Kutuzow zapowiedział mi przyjazd swej córki, wdowy po hr. Tyzenhauzie¹⁾, która ze swoją serdeczną przyjaciółką, księżną Golicyn, miała spędzić w Wilnie parę miesięcy. Gdy pewnego razu p. Kutuzow skarżył się przed nami, iż dotąd nie udało mu się poznać żydówki, kupcowej Ryfki, o której piękności słyszał wiele zachwy-
tów, córka postanowiła zażartować z ojca. Gdyśmy się wszyscy zebraли przed obiadem, wszedł lokaj i coś cicho na ucho pani Tyzenhauzowej powiedział. Ta odrzekła głośno — „Powiedz jej, że teraz nie czas; niech przyjdzie innym razem“.

— Kto taki? zapytał generał. — Ach, to Ryfka przyniosła mi próbki towarów“. — „Ryfka? niech wejdzie“. — „Ależ ojczy, wszak siadamy do obiadu“. — „Nic nie szkodzi“, i zwracając się do lokaja, generał dodał:—„Powiedz jej, żeby tu przyszła“. Za chwilę drzwi się otworzyły i ukazała się najbrzydsza, najstarsza i najbrudniejsza z żydówek wileńskich. Biedna żydowica, porwana dla tej mistyfikacji na ulicy przez ordynansa, znalazłszy się przed obliczem generał-gubernatora, wyobraziła sobie, że w najlepszym razie czeka ją knut, to też ze strachu drżała, jak liść, i nikt chyba nie zmykał z takim ukontentowaniem, jak ta Izraelitka, tem bardziej, że otrzymała od pani Tyzenhauzowej niewielki podarunek . . .

W tym czasie Napoleon poślubił (11 marca) córkę cesarza Franciszka. Rozwód z Józefiną, przyjaciółką najlepszą i dawną dobrodziejką potwierdził moją niepo-
chleb-

¹⁾ Nie miał on nic wspólnego z polską rodziną tegoż nazwiska.

na opinię o charakterze tego pół-bożka. Kotzebue, dowiedziawszy się o tem małżeństwie, zrobił uwagę, iż bywały przykłady, że królowie dawali swe córki za żony bo-
haterom, którzy oswobadzali ojczyznę od potworów, które ją pustoszyły, ale nigdy nie słyszano, aby który oddał córkę samemu potworowi.

Pomiędzy podarunkami, które Metternich otrzymał od Napoleona za doprowadzenie tego małżeństwa do skutku, znajdował się wspaniały serwis porcelany sewerskiej. Gdy go podziwiali zaproszeni goście, księżna de Ligne rzekła: — „Service pour service“¹⁾.

Otrzymałem list od ojca, który zawiadamiał mnie o wyjściu zamąż mojej siostry Karoliny. Do Fryburga przyszedł zimą oddział strzelców badeńskich, którego dowódca, pułkownik Peternel, w towarzystwie kilku oficerów złożył wizytę memu ojcu. Był to piękny mężczyzna, w kwiecie wieku, ale nieco rubaszny i ponury. Zakochał się w Karolinie i oświadczył się o nią. Chociaż wydanie córki za wojskowego nie mogło być przyjemne ojcu, szczególnie w czasach, kiedy jedna wojna następowała po drugiej, jednak zgodził się na to małżeństwo, ponieważ miał jak najlepsze wiadomości o p. Peternelu i ponieważ Karolina powzięła dla niego żywą sympatię.

Ojciec nawet złożył 10 tysięcy do kasy ministerjum wojny, jako kaucję na utrzymanie córki na wypadek jej wdowieństwa i zobowiązał się dawać państwu młodym po 300 florenów rocznie. Oprócz tego wyprawa kosztowała kilka tysięcy florenów. Z tego powodu ojciec pisał do mnie: „Taki wydatek teraz, gdy moje dochody zmniejszyły się w dwójnasób, sprawia mi kłopot nielada, ale od tej ofiary zależy szczęście mojej córki“.

Ślub odbył się d. 9 maja w kościele katolickim, a potem w mieszkaniu mego ojca, według obrządku protestanckiego, jak tego wymagał kodeks Napoleona . . .

¹⁾ Gra słów. Frazes może mieć dwojakie znaczenie: Serwis za serwis, lub też: Serwis za usługę. (W. Z.).

Mój kuzyn Ludwik Frank zawiadomił ojca, że zebrał w Janinie kapitał, ale, ponieważ basza wiedział o tem i według swego zwyczaju z pewnością kazałby go ściąć, albo udusić, aby zawładnąć pieniędzmi, przeto kuzyn mój postanowił ratować się zawczasu od grożącego mu niebezpieczeństwa. Poprosił baszy o pozwolenie zwiedzenia Korfu, a gdy je otrzymał, wyjechał z tem, żeby więcej do tego tyrana nie wrócić i obecnie znajduje się w Neapolu, skąd zamierza przyjechać do Fryburga, aby uściskać swego stryja i dobrodzieja

Moja niechęć do Napoleona wzrosła jeszcze bardziej, gdy dowiedziałem się o śmierci zachwycającej królowej pruskiej (19 lipca), ofierze zgryzot, których przyczyną był Napoleon. To nieszczęście tem więcej oburzyło mnie, iż wyobrażałem sobie, jak głęboko musi je odczuwać nasz niezrównany Huffeland, lekarz i przyjaciel zmarłej królowej.

Mój ojciec, który miał sposobność przekonać się o potężnym wpływie Napoleona na wszystkie dwory Niemiec i który przewidywał, iż niepomierna ambicja wciągnie go w wojnę z Rosją, bardzo się strwożył, słysząc, że ja trwam w swojej do Napoleona nienawiści i szczególnie, że nie robię z niej tajemnicy. Radził mi, abym ukrywał tę niechęć, ponieważ mogę kiedyś bardzo ucierpieć. „Chyba, że masz zamiar opuścić Europę, pisał ojciec, bo inaczej nigdzie się przed jego potęgą nie ukryjesz. Przecie nie możesz walczyć z olbrzymem. Uspokój się i nie psuj sobie kariery, ale myśl o przyszłości. Przedewszystkiem radzę, abys starał się zachować przyjaźń Corvisart'a, który zdaje się lubić ciebie i może ci być pożytecznym.

Nie sądz, że zachowałem do niego żal i że byłbym zadowolony, gdybyś zerwał z nim stosunki“.

Rady ojca niezaprzeczenie były mądre, to też postanowiłem stosować się do nich, przynajmniej co do Corvisart'a, dla którego zresztą miałem dług wdzięczności...

D. 2 lutego przyjechał do Fryburga Ludwik Frank z żoną Asyryjką. Utył on i postarzał okropnie. Mając lat 51 wyglądał na starszego brata swego stryja. Spotkanie, po długim niewidzeniu, niezmiernie obu wzruszyło i Ludwik zarówno jak jego żona rozplywali się we łzach. Opo-wiadała ona o sobie, iż jest córką negocjanta i że urodziła się w wiosce (której nazwy nie było sposobu z niej wy-dobyć) o trzy mile od Nazaretu, gdzie jakoby dotąd można oglądać stajenkę ze żłobem P. Jezusa. Do tej stajenki odbywały się pielgrzymki dzieci, którym tatuowano na skórze rozmaite znaki i litery, aby zachowały pamięć o tem miejscu. Na dowód swych słów, pokazywała Marja Frankowa własne ramiona, na których wśród ornamentów i kwiatów, była wytatuowana głoska J (Jezus), ale zwykle ukrywała to upiększenie w długich rękawach. Dewocja tej Koptyjki przechodziła wszelką granicę. Żegniała się przed każdym obrazkiem, święcie wierzyła w duchy, upiory, w przeznaczenie i była przekonana, iż została stworzoną poto tylko, aby zostać żoną swego męża i że to małżeństwo przed wiekami było postanowione w Niebie. Marja nie umiała ani czytać, ani pisać. Tłómaczyła się tem, iż w jej ojczyźnie nie było przyjęte uczyć panien podobnych rzeczy. Również obcej były dla niej zajęcia właściwe jej płci. Zawlekając nitkę, trzymała igłę uszkiem nadół. Chcąc wygładzić bluzkę, rozściełała ją na podłodze i gładziła rękami i nogami. Utrzymywała, iż nie może wyszywać na kanwie z powodu bólu w piersiach. Istotnie chudość jej była przerażająca, cerę miała ciemną, prawie czarną, a figurkę drobną. Wogóle była straszliwie brzydka, chociaż oczy miała żywe. Długie czarne, jak heban, włosy chowała Marja pod peruką, którą po długich namowach zgodziła się odrzucić. Myła się po pięćdziesiąt razy na dzień, ale od tego wcale nie była czystsiejszą. Gdy się nudziła (a zdarzało się to bardzo często) kładła się do łóżka i spała. Marja mówiła po grecku, arabsku, trochę po włosku i jeszcze mniej po francusku, mieszając te języki tak, że trudno ją było zrozumieć, zanim się do

jej sposobu mówienia nie przywykło. Jej garderoba była wspaniała, ale wszystkie suknie uległy zepsuciu, wskutek złego opakowania. Wiele upłynęło czasu, zanim przyzwyczaiła się do ubrań europejskich. Najbardziej krępowały ją trzewiki, które co chwilę zdejmowała, aby usiąść po turecku. Nie było sposobu namówić jej, aby użyła przechadzki. Nie mogła zrozumieć, poco ludzie się męczą, gdy mogą sobie spokojnie siedzieć. Co prawda, było to prawdziwym szczęściem, że nie chciała wychodzić z domu, ponieważ z jej stroju śmiałyby się cały Fryburg. Proszę tylko wyobrazić sobie żółte trzewiki, szkarłatną suknię, biały kapelusz z piórami koloru pomarańczowego i zielony woal.

Marja wszędzie wtykała nos i gdy niepodobało jej się coś w domu (który cały naperfumowała olejkiem różanym) wcale się z tem nie ukrywała. Co godzinę piła kawę, z której najbardziej lubiła gąszcz. Wogóle była ze wszystkiego niezadowolona i wciąż groziła, że przeniesie się do karczmy, gdzie jej będzie lepiej. Trzeba było widzieć wtedy jej biednego męża, który ją uspokajał, lub też szedł do stryja, by ją przed nim wytłumaczyć. Jeszcze gorzej bywało przy obcych, którzy przez ciekawość przychodzili, aby zobaczyć Asyryjkę i swemi pytaniami doprowadzali ją do pasji. W takich wypadkach nie było impertynencji, którejby gościom nie zrobiła, szczególnie paniom. Pomimo tych wszystkich wad Marja dała немало dowodów przywiązania do męża, któremu towarzyszyła we wszystkich jego podróżach na lądzie i na morzu i nawet pojechała z nim do Tunisu i Trypolisu, nawiedzonych przez dżumę, którą Ludwik badał.

Ali Basza z Janiny, przy którym Ludwik spędził sześć lat, bardzo ufał wiadomościom lekarskim Marji.

W razie choroby której z żon (a miał ich sto pięćdziesiąt) jej tylko powierzano leczenie, a jej męża doktora wzywano tylko w ciężkich przypadkach. W takich razach przed przybyciem lekarza zamykano wszystkie kobiety, tak, że harem wydawał się zupełnie niezamiesz-

kały. Nawet chora do tego stopnia była zakryta, iż nie można było zobaczyć. Marja, mając zawsze wolny wstęp do haremu, korzystała z tego przywileju dla zgłębienia wszystkich tajemnic, używanych tam kosmetyków. Szczególnie posiadała sztukę trwałego farbowania włosów. Spostrzegłszy u jakiej z pań siwy włos, dotąd nie miała spokoju, aż go ufarbowała.

Ali Basza był człowiekiem rozumnym, ale też najokrutniejszym z tyranów. Widok jego okrucieństw był wprost przerażający. Pomimo to lubił muzykę, a ponieważ mój kuzyn grał na klawikordzie, więc Ali-Basza często chciał go słyszeć. Ludwik jednak, wiedząc, że na Wschodzie gardzą tymi, którzy grywają po domach, zgadzał się na prośbę baszy, ale z warunkiem, że jego światłość będzie przychodziła do niego, ponieważ nie sposób było nosić klawikordu. To też Basza bywał częstym gościem w domu Ludwika. Ulubioną jego sztuką była „Bitwa”. Ludwik szczegółowo tłumaczył jego światłości ustępy, oznaczające lekką kawalerję, strzelców, piechotę, wystrzały armatnie, bitwę dwóch wrogich sobie wojsk i, ma się rozumieć, artylerja Baszy zawsze odnosiła zwycięstwo.

Trzeba było widzieć, jak śmiesznie wyglądał Ali-Basza, gdy *decrescendo*, *pianissimo*, nakoniec *morendo* oznaczały cofanie się, ucieczkę i naostatku porażkę armji nieprzyjacielskiej. Koncert kończył się marszem tryumfalnym.

Dla lekarza Ali-Baszy najuciążliwszym był obowiązek jeżdżenia za nim wszędzie. Tyran nigdy nie zawiadamiał, w jaką stronę zamierzał skierować swe kroki. Trzeba było zgadywać drogę i lecieć na skrzydłach, aby się z nim połączyć, a że nie było mostów na rzekach, trzeba było przebywać je wprost, przeskakiwać przez parowy i płoty, piąć się na skały, przesuwać się nad krawędziami przepaści i t. d. Służyć Baszy, to oznaczało— wciąż być narażonym na złamanie karku.

Ludwik Frank wyjechał d. 11 kwietnia 1811 r. z Fry-
„B. P”. Pamiętniki Franka. Tom II. 10

burga i przez Strasburg udał się do Paryża. Marja nie mogła doczekać się chwili wyjazdu i jak tylko usiadła do powozu, ulokowała tam dwa obrzydliwe psy, które wszędzie ze sobą woziła, a nawet zrzuciła z siebie salope wschodnią, którą troskliwy małżonek ją otulał z powodu chłodnego poranka, ponieważ psy nie upodobały sobie tego futra. Mój ojciec litował się nad biednym bratankiem, związanym z podobną kobietą, ale zwykle dodawał: „Tu l'as voulu Georges Dandin!”

W tym czasie nadszedł list od ojca (d. 8 kwietnia 1811 r.), który zawiadamiał o nieszczęściu, spadłem na jego siwą głowę¹⁾. Siostra moja, Karolina, podczas ciąży okrutnie cierpiała na ból zębów i bóle głowy, a gdy raz po raz zaczęły się powtarzać konwulsje, postanowiono przyspieszyć poród, ale chora już nie odzyskała przytomności. W liście następnym z d. 11 kwietnia ojciec donosił o śmierci Karoliny, która zmarła wieczorem 8-go kwietnia.

Śmierć Karoliny skłoniła ojca do opuszczenia Fryburga, gdzie wszystko przypominało mu zmarłą.

W jednym z następnych listów J. P. Frank pisał do syna o uczynionej im obu przez ministra badeńskiego propozycji objęcia katedr w Uniwersytecie Fryburskim. Józef Frank stanowczo odmówił i listownie (d. 3 (15) maja 1811 r.) błagał ojca, aby uczynił to samo, „ponieważ, pisał, kto nie chciał służyć Aleksandrowi i Napoleonowi, ten może służyć tylko Bogu”. Radził Józef ojcu, by zamieszkał w Wiedniu, której to rady stary Frank posłuchał i d. 21 maja opuścił Fryburg. Deputacja od Magistratu i rektor w imieniu Uniwersytetu wyrazili mu żal z powodu jego wyjazdu.

Ponieważ dom mego ojca w Wiedniu był wynajęty generałowi Kerpenowi, przeto na prośbę hrabiny Bom-

¹⁾ Ten i dwa następne listy podaję w streszczeniu.
(W. Z.).

beck ojciec czasowo zamieszkał w jej domu, dokąd przybył d. 29 maja 1811 r.

Wiść o jego przyjeździe rozniosła się po Wiedniu z błyskawiczną szybkością i publiczność powitała go owacyjnie. Nadbiegli wszyscy dawni przyjaciele i przede wszystkim hr. Karol Harrach, p.p. Closset, Capellini, Carpani, Hürtel i inni. Jeden Malfatti kazał na siebie czekać. Później jednak przyszedł i on do swego starego nauczyciela i tłumaczył swe usunięcie się zmartwieniem, jakiego doznał z powodu nieprzychylniej krytyki jego pracy ze strony mego ojca

D. 26 czerwca cesarzowa austriacka¹⁾, będąc chorą w Badenie, pod Wiedniem, wezwała tam mego ojca. „Otrzymawszy to niespodziewane wezwanie, pisał mi ojciec, pośpieszyłem do Badenu i d. 27 czerwca miałem zaszczyt być przedstawionym cesarzowej, od której doznałem niezwykle uprzejmego przyjęcia. Najjaśniejsza Pani raczyła spędzić ze mną całą godzinę i opowiedziała mi historję swej długiej choroby z dokładnością, która mogłaby uczynić zaszczyt lekarzowi. Jednak zadowolenie moje było zatrute myślą, iż ta nasza konferencja odbyła się bez wiedzy cesarza i mogła się niepodobać Stifftowi. Zbyt wiele wycierpiałem z powodu zawiści i niechęci kolegów, abym nie miał się obawiać odznaczeń, za które musiałbym zapłacić zakłóceniem mego spokoju”.

„Tegoż dnia przysłano do mnie d-ra Dannhausera dla wspólnej narady o bardzo skomplikowanej i daleko posuniętej chorobie cesarzowej. Nazajutrz powróciłem do Wiednia”.

Przy końcu roku zaszczyliła mego ojca listem cesarzowa rosyjska, która dowiedziawszy się od hr. Protasowowej o śmierci mojej siostry, w serdecznych słowach wyraziła mu swoje współczucie²⁾.

¹⁾ Marja, Ludwika, Beatrice d'Austria—Este.

²⁾ List Cesarzowej jest w pamiętnikach przytoczony.
(W. Z.).

ROZDZIAŁ XX.

Rok 1811. — Wilno. — Teatr Morawskiej. — Przygoda p. Clement. — Hrabstwo Manucci, prof. Briotet i jego nieszczęścia. — Konfiskata książki H. Stroynowskiego. — Wystąpienie prof. Abichta, Grodka i Bojanusa przeciwko rektorowi Śniadeckiemu. — Nieudolność prof. Bojanusa, jako weterynarza. — Bal maskowy i loterja. — Wyjazd z Wilna Kutuzowa.

Nic godnego uwagi nie zdarzyło się w Wilnie w r. 1811; pamiętnym ze zjawienia się wielkiej komety, oraz z niezwykle suchego i gorącego lata. Ponieważ zima była łagodna, przeto kilka razy byliśmy pozbawieni sannej, na czem ucierpiało zaopatrzenie miasta w produkty spożywcze, oraz zabawy, to też karnawał był nie tak świetny, jak lat ubiegłych. Wpłynął na to również brak pieniędzy. Litwini, którzy przed pięciu laty dla zaspokojenia najmniejszego kaprysu szafowali dukatami, teraz zastanawiali się nad wydaniem jednego złotego na konieczne potrzeby. Zmniejszyła się liczba balów, kolacji, koncertów, zato chętniej uczęszczano do teatru. Publiczność znalazła tam nieznaną jej dotąd wygodę. Nowy teatr, urządzony, jak o tem wspominałem, w wielkiej sali ratusza, nie był zbyt obszerny, ale przynajmniej widzowie w nim nie marzli. Niewielkie opery, tłómaczone z francuskiego, lub włoskiego, jak: *D w a j S a b a u d c z y c y* Dalagrae'a, *O b ł a k a n a* Mehul'a, *L o c a n d a* Pusielli'ego i t. d. dostarczały większą i innego rodzaju rozrywkę, niż dawniej przedstawiane tragedje, sztuki rycerskie i t. d.

Jedyną ujemną stroną nowego teatru było to, że nawet przy wypełnionej po brzegi widowni kasa bywała nawpół pusta, to też po kilku miesiącach pani Morawska wycofała się z interesu¹⁾.

¹⁾ Bliższe szczegóły o teatrze wil. znajdują się w książeczce St. Rulikowskiego, p. t. *Teatr polski na Litwie 1784—1906*. Wilno (wydawnictwo Kurjera Litewskiego) 1907 r.

Ja ze swojej strony robiłem, co tylko mogłem, aby wyrobić gust publiczności i zamiłowanie do dobrych przedstawień teatralnych oraz zachęcić aktorów do emulacji. W tym celu w feljetonie uprzywilejowanej *Gazety Wileńskiej*¹⁾ drukowałem recenzje i artykuły krytyczne o teatrze miejscowym. Nastęrczało to mi sposobność do poruszania w prasie także innych spraw, chociaż nie mających związku z teatrem, niemniej jednak zasługujących na uwagę. Tak np. z powodu zaślubionego obuwia jednej z artystek rozpisałem się o stanie ulic, któremi musiała ona iść do teatru.

Przechodząc pewnego dnia około poczty, zobaczyłem stojącą przed nią kibitkę, w której siedział jakiś cudzoziemiec w towarzystwie oficera policji. Ów cudzoziemiec, ujrawszy mnie, z okrzykiem wyskoczył z kibitki i rzucił mi się na szyję. Był to p. Clement, dyrektor orkiestry teatru wiedeńskiego.

— „Jestem więźniem, zawołał, i oto w tej okropnej bryczce odstawiają mnie do granicy. Nie mam już sił. Błagam pana, wpływ pan na mego towarzysza podróży, aby mi pozwolił wypocząć parę godzin“.

Zaprosiłem oficera razem z więźniem do siebie na obiad umyślnie na godzinę dość późną, aby ten ostatni mógł przed tem nieco wypocząć. Zaproszenie zostało przyjęte z przyjemnością i podczas obiadu p. Clement opowiedział mi swoją przygodę.

— „Zapewne wiadomo panu, że hr. Kossakowski z Wilna, wielki Łowczy litewski, asystował mojej żonie. Zaczął od przysyłania jej wspaniałych upominków i wydawaniu na nią dużych pieniędzy. Przy końcu roku ten nasz wspaniałomyślny przyjaciel sam się znalazł w kłopotach pieniężnych. Wtedy moja żona ofiarowała się pożyczyc hrabiemu potrzebną sumę i powoli oddała mu więcej, niż od niego otrzymała. Hrabia wciąż ją upewniał,

¹⁾ O takiej gazecie w Wilnie nigdzie wzmianki nie znalazłem. (W. Z.).

że lada dzień otrzyma pieniądze, które pozwolą mu nie tylko spłacić dług, ale i sownie ją wynagrodzić. Gdy jednak pieniędzy nie nadsyłało, przedstawił mojej żonie konieczność dostarczenia mu środków na pojechanie na Litwę, gdzie urządzi swoje interesy i powróci z kieszeniami pełnymi złota, aby już na stałe zamieszkać w Wiedniu.

Będąc już bardzo zaangażowanymi i mając nadzieję odebrania pożyczonych hrabiemu naszych oszczędności, zrobiliśmy jeszcze wysiłek i dostarczyliśmy potrzebnych mu pieniędzy. Generał Kossakowski wziął od nas 2 tysiące dukatów i wyjechał z Wiednia. Odtąd nie mieliśmy o nim żadnej wiadomości, a wszystkie nasze listy pozostawały bez odpowiedzi. Wtedy moja żona namówiła mnie, abym wyruszył na poszukiwanie naszego przyjaciela, powiadając: — „Będziesz mógł skorzystać z tej sposobności i dawać koncerty, które opłacą kosztą podróży“. Musiałem zwołać się z lekcji i uzyskać pozwolenie od dyrekcji teatru. Wszystko to było niezmiernie kłopotliwe, bardzo trudne do załatwienia. Ale cóż miałem począć? Moja Re si (Teresa) prosiła mnie tak czule, że nie mogłem jej odmówić i pojechałem. Przybywszy na Litwę dowiedziałem się, że hrabia znajduje się w swoich dobrach w Kurlandji, dokąd nie zwlekając pojechałem, ale i tam go już nie zastałem. Będąc blisko Rygi postanowiłem wstąpić do tego miasta, dać koncert i zobaczyć morze, które w Austrii jest rzadkością. Gdy przechadzałem się po wybrzeżu morskiem, około fortecy Dünamunde, nagle przyszła mi do głowy myśl muzykalna. Był to prześliczny pasaż na skrzypce. Aby go nie zapomnieć, wyjąłem z kieszeni notes i na papierze dla nut zacząłem mój pasaż zapisywać. Za ledwie zdołałem zanotować kilka taktów, gdy nagle zjawił się za mną stojący na czatach żołnierz i w sposób grubiański zatrzymał mnie. Niebawem nadbiegło jeszcze kilku żołnierzy, którzy zaprowadzili mnie do kordegardy, a stamtąd do komendanta twierdzy. Ten wziął mnie za szpiega. Proszę sobie wyo-

brać: ja — szpiegiem! Komendant odesłał mnie do Petersburga, gdzie osadzono mnie w fortecy, w której przesiedziałem sześć tygodni, grając sobie na skrzypcach i przeklinając pasaż, jako sprawcę mego nieszczęścia. Ostatecznie przekonano się o mojej niewinności, ale jako podejrzanego skazano na odstawienie do granicy. Ach! gdybyż przynajmniej udało mi się osiągnąć cel podróży! Czy pan nie ma jakich wiadomości o hr. Kossakowskim?“

Odpowiedziałem, iż wiem tylko tyle, że go niema w Wilnie.

— „Mój Boże! najbardziej mnie martwi w całej tej sprawie myśl o tem, jak ja powiem biednej Re si, iż nie załatwiłem jej interesów. Będzie ona zdolną znowu mi powiedzieć, że jestem głupcem“.

Ponieważ nadszedł czas odjazdu, więc pożegnałem przykładnego małżonka, zaopatrzwszy go na drogę w prowizję.

.....¹⁾

Pod koniec września przysłano po mnie ogromny pocztowy powóz z prośbą o przyjechanie do hrabiny Manucci z domu hrabianki Platerówny, chorej na gorączkę nerwową. Mieszkała ona o 28 mil od Wilna w swoim majątku na granicy Białej-Rusi. Posuwaliśmy się po piaskach żółwim krokiem, co mnie ogromnie niecierpliwiło, głównie dlatego, że obawiałem się, aby chora nie umarła przed moim przybyciem. To też porzuciłem ciężką landarę i pojechałem zwykłą bryczką pocztową, zmieniając konie na stacjach, czyli na tak zw.: „p e r e k l a d n y c h“. Istotnie, drogę odbyłem szybko, ale przyjechałem na miejsce ledwo żywy, ponieważ ten rodzaj jazdy przewrócił mi wszystkie wnętrności. Znalazłem hr. Ma-

¹⁾ W tem mejseu Frank opowiada, w jaki sposób wyleczył hr. Potocką, która wyobrażała sobie, że umrze z krwotoków (Mania hypochondrica). Ale opowiadanie to nie nadaje się do druku, jako zawierające szczegóły zbyt drastyczne. (W. Z.)

nucei poważnie chorą, bo oprócz gorączki nerwowej był także krwotok z kiszek¹⁾.

Ponieważ oczekiwałem, że mnie zawołają w nocy do chorej, przeto nie zgasilem świec w swoim pokoju i wyrzekłem się snu tak dla mnie upragnionego z powodu strasznego zmęczenia po drodze. W środku nocy poczułem, że ktoś bierze mnie w ramiona. Zrywam się ze snu i widzę się w objęciach Iwana, murzyna, którego z sobą przywiozłem, jako służącego. Wyglądał na Otella nad łóżem Dezdemony. — „Czego tu chcesz?“ zawołałem. — „Chciałem przewrócić pana na bok, ponieważ leżąc nawznak pan tak strasznie chrapie, że obawiałem się, aby mu się co złego nie stało“. — „Jeżeli tylko tyle, to bardzo dziękuję“.

Ponieważ był to czas wakacyjny, więc mogłem nie opuszczać chorej aż do jej rekonwalescencji. Miałem sposobność przekonać się, że słusznie śmiano się z etykiety dworskiej, którą hr. Manucci wprowadziła u siebie. Kilku z ubogiej szlachty okolicznej pełniło obowiązki szambelanów, przyjmowało przyjeżdżających z wizytami do pałacu i przedstawiało ich. Gospodarstwo zjawiali się tylko do obiadu, przyczem służba na rozcież otwierała drzwi, gdy wchodzili do sali jadalnej. Przez cały czas obiadu każdy rozmawiał cichym głosem tylko ze swoim sąsiadem.

Po wstaniu od stołu biesiadnicy ustawili się w półkrag, zaś hrabia i hrabina szli od jednego do drugiego, zwracając się do każdego z uprzejmem słowem, poczem usuwali się do swoich apartamentów. Biorąc przykład z cesarzowej-matki, hrabina Manucci miała pod swoją opieką kilka zakładów dobroczynnych i kierowała nimi z wielką starannością. Były tu: niewielki szpital dla włościan i rodzaj pensji dla edukacji pańien. Chociaż to wszystko było dość liche, ale intencje hrabiny były dobre. Hr. Manucci oprócz haremu z chłopców miał własną or-

¹⁾ Prawdopodobnie był to tyfus brzuszny. (W. Z.).

kiestrę. Ta dawała koncerty, w których jako chórzystki śpiewały pensjonarki jego żony.

Ponieważ obecność moja już nie była w Belmoncie¹⁾ potrzebna, postanowiłem opuścić ten czarujący zakątek, ale państwo Manucci zaczęły mnie usilnie prosić, abym odłożył wyjazd do dnia następnego. Na razie nie rozumiałem, o co im chodzi, ale lekarz domowy wyznał mi pod sekretem, że przyczyną zatrzymania mnie był brak pieniędzy dla zapłacenia mi honorarjum i że posłano do wsi pozabierać u włościan wszystkie ich kury i inne produkty, które kazano sprzedać na rynku w miasteczku sąsiedniem, aby tym sposobem zdobyć potrzebne pieniądze.

— „Ależ, zapytałem, czy postępując tak i krzywdząc włościan, nie obawiają się oni, iż ci się zbuntują?“

— „Ponieważ włościanie są poddanymi swego pana, przeto wszystko co posiadają, również do niego należy. Pan światły i uczciwy nie będzie nadużywał swych praw, ale tu trzymają się innej zasady, to też nasi chłopci są najnieszcześliwsi w całej okolicy“.

Chociaż otrzymałem tylko mały zegarek z repetytorem (który wydzwaniał nawet minuty) i 400 franków, chętniebym oddał włościanom te pieniądze, gdybym nie obawiał się skompromitować lekarza i obrazić p.p. Manucci, którym zresztą nic nie mogłem zarzucić.

Po p. Brusilowie, który stracił posadę, gubernatorem cywilnym w Wilnie został p. Ławiński. Przepadał on za swoją siedmioletnią córeczką Olesią. Pewnego, niezwykle upalnego, dnia pani Ławińska wzięła ją ze sobą do klasztoru Panien Wizytek, bardzo odległego od ich mieszkania. Maleńka dłuższy czas rozmawiała z zakonnicami w korytarzu klasztornym, przeziębła się i dostała okrutnego bólu głowy, gorączki i wymiotów. Profesor Briotet określił chorobę, jako gorączkę gastryczną i był zachwycony, gdy na siódmy dzień zdało mu się, że

¹⁾ Belmont w pow. jezioroskim gub. Kowieńskiej obecnie należy do hr. Feliksa Broel-Platera. (W. Z.).

gorączka zaczyna ustępować (wnioskował o tem ze zwolnienia pulsu)¹⁾, gdy po bezsenności nastąpiła śpiączka, a po krzyku i jękach — uspokojenie. Gdy jednak taki stan zbytnio się przedłużał, rodzice zaniepokoiili się i prosili mnie, abym wziął udział w leczeniu ich córeczki. Było to na 15-ty dzień choroby. Stwierdziłem, że u dziecka jest woda w głowie²⁾, wywołana zapaleniem mózgu, lub jego opon. Przepowiedziałem śmierć, która po kilku dniach istotnie nastąpiła. W tym czasie powrócił z podróży hr. Choisel, który zobaczywszy umierającą powiedział: — „Założę się, że nikt z lekarzy nie poznał się na chorobie?“, a gdy proszono go o wytłómaczenie, co przez to chciał powiedzieć, dodał:

— „Widziałem w Paryżu zupełnie podobny przypadek, który uznano za gorączkę wywołaną przez glisty. Ale kiedy dla zabalsamowania trupa otworzono czaszkę, wylała się z niej ogromna ilość wody. To właśnie było istotą choroby“. — „Ależ, zawołali rodzice, p. Frank właśnie to samo stwierdził u naszej córeczki już podczas pierwszej swej wizyty“.

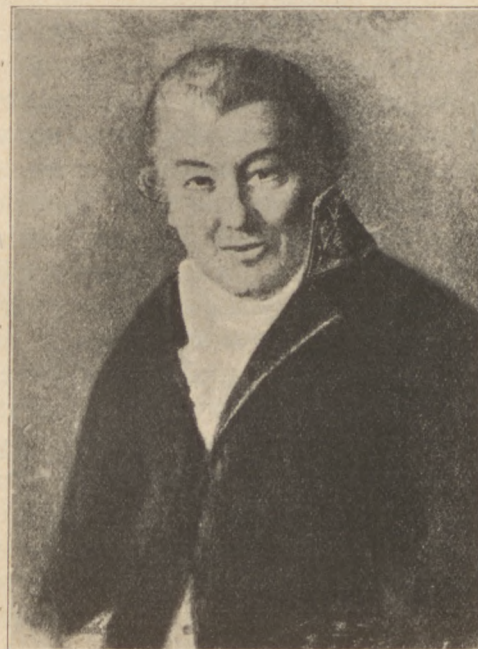
P.p. Ławińscy nie zgodzili się na sekcję i przynajmniej pocieszali się myślą, że choroba była przez lekarza rozpoznana, chociaż nie mógł on jej uleczyć. Pod tym względem Rosjanie byli tak dalece zacořani, że nawet p. Kutuzow, człowiek rozumny i świątły, rozgniewał się na mnie, gdy go poprosiłem o wydanie rozkazu, aby trupy żołnierzy, zmarłych w szpitalach wojskowych, odsyłano do teatru anatomicznego, który niekiedy odczuwał brak trupów, potrzebnych dla ćwiczeń studentów w operacjach chirurgicznych. Nie jest że nierozsądkiem odmawiać Uniwersytetowi tego, co się oddaje robakom?!

¹⁾ W owym czasie mierzenie ciepłoty ciała chorego termometrem nie było jeszcze znane lekarzom, również jak perkusja i auskultacja. (W. Z.).

²⁾ Niewątpliwie u dziecka było gruźliczne zapalenie opon mózgowych i przeziębienie nie grało w chorobie żadnej roli. (W. Z.).

P. Briotet ogromnie odczuł śmierć małej Ławińskiej, tem bardziej, że publiczność jemu przypisywała winę. Biedny starzec w tym samym czasie miał także i inne zmartwienia.

Po zupełnem urządzeniu w Wilnie kliniki chirurgicznej, Briotet, naturalnie, został jej profesorem, a p. Nisz-



Jakób Briotet,

profesor chirurgji.

(Ze zbiorów Wileńskiego Towarz. Lekarskiego).

kowskiego mianowano jego adjunktem. Jednym z pierwszych wstąpił do kliniki chory, mający fistułę. P. Briotet robił wszystko, co tylko mógł, aby go wyleczyć, ale bezskutecznie. Wreszcie adjunkt wskazał mu błędy, popełnione w leczeniu i po ich usunięciu, fistuła się zagoiła. Briotet czuł się tem bardziej upokorzony, iż to się stało

w obecności studentów i że tylko co otrzymał order św. Anny 2-ej klasy, co podało powód do uwag złośliwych. Co prawda było wiadomo, że profesor zawdzięczał order staraniom senatora ks. Ogińskiego, który chciał pozyskać prawo do jego wdzięczności i przeszkodzić mu domagać się zwrotu pożyczonych ks. Ogińskiemu kilku tysięcy dukatów. Bądź jak bądź biedny starzec tak był wzruszony łaską cesarską, że prosił Nizzkowskiego o danie mu wszystkich, jakie posiada, francuskich dzieł chirurgicznych, pragnąc poznać obecny stan chirurgji, by się stać godnym otrzymanego odznaczenia. Przepracowanie przy studjowaniu tych dzieł ujemnie odezwało się na zdrowiu poczciwca, o czem będę mówił niżej. Wpłynęły na to również inne rodzinne zgrzyoty. Jego żona oddawna cierpiała na organiczną wadę serca, którą określiłem jako zwapnienie kłapek sercowych i aorty. Stan zdrowia chorej nagle się pogorszył z powodu wysięku w opłucnej. Gdy zalecona naparstnica (*digitalis*) w proszkach nie okazała żadnego skutku, zapisałem to samo lekarstwo w odwarze z dodaniem octanu potasu; i działanie było wprost magiczne. Ks. Lantrec, który był obecny na naradzie, głosił wszędzie moją sławę, zaś kolegów moich nazywał „ces raisonneurs“. Gdy im to powtórzono, oni nie znając języka francuskiego mówili: „Szczyćmy się tem, że jesteśmy „des raisonneurs“. Bardzo się z tego w towarzystwie śmiano.

Zaledwie Briotet zdołał uspokoić się co do stanu zdrowia żony, gdy dowiedział się o bankructwie generała Niesiołowskiego, u którego ulokował 40 tys. dukatów. Ta wiadomość sprawiła na nim takie wrażenie, iż wpadł w melancholję, której głównym objawem była obawa śmierci głodowej. Niedługo potem przyszedł atak apoplektyczny, po którym pozostało zupełne osłabienie pamięci, tak, że nie mógł przypomnieć nawet swego imienia i nazwiska. Z wielką trudnością wymawiał zaledwie kilka wyrazów, któremi posługiwał się dla wyrażenia wszystkiego, co chciał powiedzieć. Dziwnem było to, że

chory, chociaż wcale nie znał języka polskiego, chętniej niż francuskich używał wyrazów polskich.

Położenie biednego Brioteta było tem więcej godne pożałowania, że p. Niesiołowski zarwał wszystkich swoich kredytorów i że pani Briotetowa umarła po kilku re-cydywach wody w piersiach. Do pielęgnowania nieszczęśliwego starca pozostała tylko córka.

Katedrę po Briotecie objął p. Nizzkowski z wielkim dla nauki i uczniów pożytkiem. Po Briotecie również odziedziczył praktykę prywatną, dzięki czemu miewałem z nim częste konsultacje, ponieważ młody profesor chciał znać moje zdanie o każdym ciężkim przypadku w swojej praktyce. To samo robił d-r Herman, lekarz zarządu poczty i nawet więcej, bo wyjeżdżając z miasta zwykle polecał mojej opiece wszystkich swoich pacjentów. Pewnego razu powiedział mi: — „Przewiduję, że niezadługo Litwa stanie się terenem wojny. Nie chcę być świadkiem szaleństw, jakie się tu będą działy i wyjeżdżam do Smoleńska, który sobie upatrzyłem na mieszkanie. Zanim Francuzi tam przyjdą, będą musieli sporo się natrudzić“.

Jakoż wyjechał wkrótce, ale bombardowanie, które wytrzymał w Smoleńsku, który prawie do fundamentów został zburzony, gdy tymczasem nic podobnego Wilna nie spotkało, było dowodem, że niekiedy przewidywanie i przedsięwzięte na jego podstawie środki bezpieczeństwa mogą doprowadzić do ruiny. Zato p. Jędrzej Śniadecki wyjechał z Wilna wcale nie ze strachu, ale jedynie dlatego, że potrzebował kuracji w Karlsbadzie z powodu choroby wątroby. Przyczyną cierpienia były zmartwienia z powodu kilku procesów sądowych o kupioną przez niego ziemię. Niemalą pociechą dla Śniadeckiego była wspaniałomyślność cesarza Aleksandra, który darował mu niewielkie starostwo, położone w środku jego posiadłości. Ponieważ p. Śniadecki wyjeżdżając również polecił mi swoich chorych, więc byłem porządnie zmęczony, tem bardziej, że upały tego lata były niezwykle.

Na początku roku opuścił prasę pierwszy tom moich „Praecepta praxeos medicae universae”. Dedykowałem go ministrowi oświaty, hr. Aleksemu Razumowskiemu, ale nie pojmuję, czemu należało przypisać, że dedykacja znalazła się tylko w egzemplarzach przysłanych do Rosji. W liście, który dołączyłem, przesyłając księciu książkę, starałem się wytłómaczyć, jak doniosłe znaczenie ma podręcznik medycyny praktycznej.

Wkrótce otrzymałem odpowiedź od ministra¹⁾, a także od p. Wylie, któremu również posłałem jeden egzemplarz do Petersburga. Na mój list francuski odpisał po łacinie²⁾.

Mój ojciec pisał do mnie w te słowa:

„Ta praca przynosi ci zaszczyt, mój drogi synu, szczególnie potem, jak Harker uczynił ci zarzut, że wpadasz w empiryzm. Teraz zarzut ten upada, ponieważ dowiodłeś, że nie odrzucasz teorii, skoro opiera się ona na doświadczeniu“.

Nowa gazeta literacka, wychodząca w Lipsku³⁾, zamieszczając recenzję o mojej książce najbardziej chwaliła w niej zdolność obserwacji i jasność wykładu i w końcu dodała: „Autor w swem dziele przekładał pożyteczność nad świetność stylu“.

Po takich pochwałach niespodzianką była dla mnie zjadliwa krytyka, która się ukazała w Salzburskiej gazecie medyko-chirurgicznej⁴⁾. Wstęp mojej pracy nazwano *Chaos*, po którym nie nastąpiła, jak w *Stwo-*

¹⁾ Minister w swym liście, którego tu nie przytaczam, dziękuje Frankowi za dedykowaną mu książkę oraz zawiadania, że wręczył cesarzowi i cesarzowej matce przysłane dla nich egzemplarze. (W. Z.).

²⁾ I ten list opuszczam, tem bardziej, że jest on pisany po łacinie. (W. Z.).

³⁾ Neue Leipziger Literatur Zeitung. May 1811.

⁴⁾ Medicinisch - Chirurgische Zeitung den 11 Nov. 1811,

rzenu Świata Haydna całość harmonijna. Dalej był cały szereg zarzutów i domysłów, w rodzaju tego, że jakoby pisał książkę po niemiecku i dopiero z tego języka przetłómaczyłem ją na łaciński. Krytyk zapomniał, że ja codziennie w ciągu trzech godzin miewając dla studentów wykłady po łacinie, musiałem lepiej nią władać, niż językiem niemieckim, którym rozmawiałem tylko z żydami. Pomimo przykrości, jaką mi ta krytyka sprawiła, pozostawiłem ją bez odpowiedzi. Przyjąłem do wiadomości kilka słusznych uwag, a do reszty odniosłem się z pogardą. Postarałem się jednak dowiedzieć o autorze recenzji. Był nim d-r Szultis, niegdyś profesor krakowski, człowiek złośliwy i żółciowy. Dziwiło mnie tylko, że redaktor wspomnianej gazety wydrukował podobną, zięjącą nienawiścią krytykę, tem bardziej, że niegdyś korzystał z bezpłatnego wstępu na moje lekcje prywatne w Wiedniu.

Zato sprawił mi wielką przyjemność list p. Schaubourga z Wiednia, który zawiadamał mnie, że drugie wydanie mojej *Toksykologii*¹⁾ zostało wyczerpane i prosił o przejrzanie i uzupełnienie wydania trzeciego. Nie mogłem jednak przyjąć propozycji. W wydaniach poprzednich oparłem moją *toksykologję* na teorii Browna, obecnie zaś, gdy się przekonałem o jej fałszywości, musiałbym dać tej nauce inne podstawy, co wymagało poważnej pracy, tem bardziej, że w ostatnich czasach zaniechałem chemję i botanikę.

W Uniwersytecie wszystko szło zwykłym trybem. Cenzura otrzymała od ministra oświaty ostrą wymówkę za pozwolenie drukowania pracy p. Stroynowskiego „*O wolności włości*”. Jednocześnie z tem tenże minister rozkazał zniszczyć wszystkie niesprzedane egzemplarze książki. Wtedy autor zwrócił się do cesarza, który po wysłuchaniu raportu ministra policji, po-

¹⁾ Nauka o truciznach. (W. Z.).

zwolił na sprzedaż dzieła¹⁾. W tym wypadku tedy policja była bardziej liberalną, niż minister, który przecie powinien dbać o szerzenie oświaty w narodzie!

Jeżeli nie rachować uniwersyteckiej kliniki chirurgicznej, to w roku bieżącym Uniwersytet nie zdziałał nic pożytecznego, ale zato pozwolił sobie na zbytek, sprowadzając z Anglii profesora rytownictwa, oraz języka i literatury angielskiej. Mówię o p. Saundersie. Był to człowiek rozumny, ale strasznie leniwy i do niczego. Za 2000 rs., które mu rocznie płacono, można było utrzymać klinikę położniczą, której brak stale odczuwaliśmy. Z większym też pożytkiem można było użyć 500 rs., wypłacanych corocznie p. Capellemu za wykłady języka i literatury włoskiej. Ten kurs dano mu jako nagrodę kosztem Uniwersytetu za lekcje języka włoskiego, które dawał bratankom rektora—tego dobrego patrioty.

Uniwersytet rozporządzał wcale poważną sumą na potrzeby biblioteki, ale zamiast użycia jej na kupowanie książek, przystąpiono do budowy gmachu dla pomieszczenia istniejącego już księgozbioru, samowolnie przeznaczając na to 6 tysięcy rubli. Przeciwko takiej samowoli zaprotestował minister i gdyby nie interwencja kuratora, rektor i dziekani musieliby z własnej kieszeni zwrócić owe sześć tysięcy rubli.

Najlepszym dowodem, iż rektor już nie cieszył się w ministerjum względami, było odrzucenie jego przedstawienia do wyższej rangi kilku profesorów, w których liczbie i ja się znajdowałem. Wiadomo bowiem, że w Rosji miarą znaczenia naczelnika pewnej instytucji służy ilość i jakość rang i orderów, które mu się udaje dla swo-

¹⁾ To dzieło jak również „Nauka prawa przyrodzonego, ekonomiki politycznej i prawa narodów“, które miało 5 wydań i zostało przetłumaczone na język rosyjski, wywołało ogromne oburzenie urzędników i ziemian w Rosji, ponieważ Str. domagał się uwolnienia chłopów z poddaństwa. Doszło do tego, że usiłowano przedstawić Stroynowskiego jako przestępcę politycznego. (W. Z.).

ich podwładnych wyjednać. Minister oświaty dowiedziawszy się, że niektórzy profesorowie nie uczęszczają na sesje Uniwersytetu, zażądał wytłumaczenia przyczyn tego. Rektor polecił profesorom przedstawić usprawiedliwienie. Ja oświadczyłem, że odwiedzanie wieczorami klinik dotąd przeszkadzało mi bywać na innych zebra-



Ludwik Bojanus,
profesor weterynarji.

(Ze zbiorów Wileńskiego Towarz. Lekarskiego).

niach, ale że na przyszłość postaram się urządzić w ten sposób, aby dobrowolnie wzięty na siebie obowiązek uczęszczania wieczorami do kliniki nie stawał mi na przeszkodzie w wypełnianiu przepisów uniwersyteckich.

Profesorowie Abicht, Grodek i Bojanus powiedzieli, iż dlatego nie bywają na sesjach Uniwersytetu, że na tych posiedzeniach rektor zachowuje się despotycznie, a profesorowie, którzy ośmielają się nie zgadzać się z jego zdaniem, są narażeni na rozmaite przykrości. Szczególnie p. Bojanus mówił głosem podniesionym i tak śmiało, że wszyscy byli zdumieni, i przypisywali jego odwagę temu, iż miał protekcję dwóch adjutantów cesarza p.p. Marina i Kikina, z których ostatni zalecał się do pani Bojanusowej. Ci panowie istotnie cieszyli się zaufaniem monarchy, który wydelegował ich do Wilna dla zbadania sprawy o wywożeniu za granicę srebrnych rubli. W następstwie tem, za które groziła deportacja na Sybir, obwiniano kilku żydów, w ich liczbie i d-ra Liboszyca. Nie można było dowieść im winy, ale już same dochodzenie śledcze doprowadziło wielu z nich do ruiny. P. Bojanus miał także przyjaciela w p. Ławińskim, który, zostawszy gubernatorem cywilnym, wyjednał dla niego order św. Włodzimierza 4-tej klasy, niby za zasługi podczas jakiejś epizootji. Użyłem wyrazu „niby“ dlatego, że p. Bojanus chociaż doskonały znawca anatomji porównawczej, zupełnie nie miał wprawy w praktyce weterynaryjnej. Tego samego zdania był o nim i znakomity Rudolphi, który, potrzebując dla naukowo-lekarskiej delegacji w Berlinie wiadomości o epizootjach na Litwie, zwrócił się o nie nie do p. Bojanusa, którego znał osobiście, ale do mnie (d. 28 kwietnia 1811 r.)

Publiczności wileńskiej znaną była nieudolność p. Bojanusa, jako weterynarza. Dał on jej dowód wraz po przyjeździe do Wilna. Wezwany do chorej krowy p. Bojanus zapisał lekarstwo, za które aptekarz zażądał 30 rubli. Właściciel krowy przerażony tak niezwykłą ceną lekarstwa zwrócił się do p. Bojanusa z zapytaniem, czy może ręczyć, że krowa wyzdrowieje, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, rzekł: „W takim razie wolę zachować swoje 30 rubli na kupno innej krowy, jeżeli zdechnie ta do której pana wzywałem, tem bardziej, że nie kosztuje ona tyle“.

Latem zdechła w Zakrecie śliczna krowa rasy tyrolskiej. Zmartwienie p. Bennigsena było tem większe, że obawiał się on, aby to nie był początek epizootji w oborze. Gdy dowiedziałem się od niego o jego obawach, pośpieszyłem do Zakretu, chcąc na miejscu zbadać okoliczności, w których nastąpiła choroba i śmierć bydłęcia. Brzuch krowy był tak okropnie wzdęty, iż groził pęknięciem. Opowiedziano mi, że krowa nie znalazłszy paszy na łące z powodu niezwykłej posuchy, zabrnęła na bagno na brzegu Wilji, aby się tam nasycić i chociaż przedtem była zdrowa, nagle ją wzdęło i krowa padła. Po obejrzeniu innych krów, które okazały się zupełnie zdrowymi, uspokoiłem p. Bennigsena i oświadczyłem, że krowa zdechła wskutek rozdęcia kich, co się nierzadko przytrafia bydłu, które łapczywie zjada wielką ilość tłustej trawy. Widziałem kilka takich przykładów w Lombardji, gdzie fermerzy ratują odęte bydło w ten sposób, że przekłuwają mu brzuch, aby wypuścić gazy, co się zwykle udaje.

P. Bojanus, którego wezwano przede mną, ledwo spojrzawszy na zdechłą krowę, kategorycznie oświadczył, że padła ona od grasującej wśród bydła choroby. Jego zdanie powinna była potwierdzić sekcja krowy, w której wnętrznościach okazały się zgangrenowane przez węglik miejsca. Nie zaniedbał przytem uprzedzić, iż sekcja groziła niebezpieczeństwem tym, którzy ją będą dokonywali. P. Bojanus tak był pewny siebie, że sam nie chciał robić sekcji, a przysłał swego pomocnika. Ten ostatni, trzymając się wskazówek, udzielonych sobie przez zwierzchnika, przystępował do sekcji z tylu ostrożnościami, że zniecierpliwiony chciałem mu wyrwać skalpel z ręki. Po otwarciu brzucha znaleźliśmy wszystkie wnętrzności w stanie najzupełniej normalnym i tylko kiszki były rozdęte ogromną ilością gazów.

Nazajutrz otrzymałem od p. Bojanusa list treści następującej: „Mój pomocnik, po wczorajszej sekcji, poważnie zachorował. Ma silną gorączkę i okropne dreszcze.“

Może pan sam przekonać się o tem, jeżeli zechce odwiedzić chorego, tem bardziej, że los jego chyba nie jest obojętny dla pańskiego sumienia“.

Ponieważ list nie zastał mnie w domu, dopiero wieczorem mogłem pojechać do chorego, który był cały pokryty obfitym potem. Gorączka znacznie się zmniejszyła, a dreszcze ustały zupełnie. Zapytany, czy choroba rozpoczęła się od ziębienia, odpowiedział, że dreszcze trwały przeszło dwie godziny.

Po powrocie do domu napisałem do p. Bojanusa:

„Pański pomocnik jest również dalekim od złośliwej gorączki, jak dysekowana przez niego krowa od choroby zakaźnej. Ma on zwykłą febrę, prawdopodobnie trzudniowego typu (tertiana). Jutro pacjent, korzystając z przerwy pomiędzy paroksyzmami, będzie mógł przyjść do pana, aby go o tem przekonać. Tymczasem dziękuję panu za jego troskliwość o moje sumienie“.

Jak się okazało — nie omyliłem się.

Mając od r. 1807 w konwikcie studentów medycyny, utrzymywanych na koszt skarbu, dwóch młodzieńców, którzy przedtem w ciągu roku utrzymywali się własnym kosztem, mogłem już ich przedstawić, jako kandydatów na służbę rządową. Sam napisałem dla nich dysertację; poczem p.p. Buczyński i Niechwiadowicz otrzymali propozycję objęcia posad, albo w wojsku z pensją 400 rs. asygn., albo w kopalniach Uralu z pensją 700 rs. Wybrali tę ostatnią posadę, co im pochwaliłem i zaleciłem, aby korzystając z pobytu na Uralu popracowali nad mineralogią i zebrali kolekcje mineralogiczne, które po powrocie do kraju będą mogli sprzedać.

W końcu roku urządziłem publiczny egzamin dla wszystkich studentów mojej kliniki. Zaprosiłem (po raz pierwszy) rektora, lekarzy z miasta i wojskowych. Zebranie było imponujące. Z urny wyjmowano kartki z imionami studentów, a każdy z nich ciągnął bilet z zapytaniem, na które miał odpowiadać. Zapytania dotyczyły przypadków praktycznych, które należało określić i

wskazać odpowiednią kurację. Wszyscy bez wyjątku studenci odpowiadali świetnie, tak, że rektor żegnając się ze mną powiedział, iż to co widział przeszło jego oczekiwanie. Młodzi moi uczniowie z okazji dnia moich imiennin dali mi wzruszający dowód swego przywiązania. Ofiarowali mi mój portret namalowany przez p. Damela z odpowiednim napisem¹⁾.

Pragnąc, aby minister mógł z jednego rzutu oka osądzić, w jakim stanie znajduje się powierzony mojej opiece konwikt studentów na koszcie skarbu, przedstawiłem mu szczegółowe sprawozdanie, w którym w odpowiednich rubrykach były wypisane: imię, nazwisko, wyznanie, narodowość, wiek, studja gimnazjalne, lata przebyte w Uniwersytecie, zdolności, pilność, postępowanie, postęp w naukach i uwagi.

Sprawozdanie ogromnie podobało się ministrowi, to też zalecił je wszystkim uniwersytetom w cesarstwie. Gdy jeden ze studentów na koszcie skarbowym wciąż się źle prowadził i żadne środki nie skutkowały, zaproponowałem, aby go oddać w żołdacy. Propozycja została przyjęta, a wraz potem nadszedł ukaz cesarski, aby wszystkich studentów na koszcie skarbowym, którzy się będą źle prowadzili, usuwać z Uniwersytetu.

W roku bieżącym miałem sporo kłopotów ze zdobyciem środków na utrzymanie moich zakładów dobroczynnych.

Ponieważ publiczność przywykła już do koncertów i przedstawień teatralnych, nie mogłem nadal ich urządzić, gdyż musiałbym dokładać z własnej kieszeni. Zmęczyły już ją produkcje Bernarda Remberga, doskonałego skrzypka Eskudero, Ferlandisa, dobrej śpiewaczki pani Ferlandisowej, Torquinio i znakomitej tancerki Duport. Pozostawało jedyne wyjście, mianowicie polski śpiew pani Frankowej w operze Agiolina Salici'ego, przetłó-

¹⁾ W pamiętnikach cały ten długi napis łaciński jest dosłownie przytoczony. (W. Z.).

maczonej na język polski przez pułkownika Merliniego. Że jednak żaden z amatorów nie był zdolny wystąpić w operze, byłem zmuszony zaprosić aktorów i ustąpić im część dochodu. Pomimo tego wydatku, przedstawienie, które odbyło się d. 16 maja przy hucznych oklaskach licznie zebranej publiczności, dało dochodu 200 dukatów holenderskich. Pieniądze te przeznaczyłem na instytut domowej pomocy lekarskiej, z którą samo przez się złączyło się Towarzystwo doraźnej pomocy lekarskiej (humane society)¹⁾. Przynajmniej w każdym nieszczęśliwym przypadku publiczność zwracała się o pomoc do mojej kliniki. W ciągu pięciu miesięcy odratowaliśmy czterech żołnierzy zaczadzonych, dwóch robotników ranionych przy eksplozji kotła, i dziecko, które się utopiło. Dla poparcia instytutu macierzyństwa, który z dniem każdym stawał się potrzebniejszym, ale próżno wyczekiwał zwiększenia się liczby członków, urządziłem w kasyno bal maskowy z opłatą za wejście po rublu od osoby. Do każdego biletu wejściowego dołączano bilet na loterię, na którą pani Bennigsenowa ofiarowała wazę porcelanową. Zawiadomienie o balu zostało posłane do policji, która je zatwierdziła, nie czytając. Nazajutrz otrzymałem wezwanie do p. Kutuzowa, który powiedział mi: „Narobiłeś mi mój drogi kłopotu, ogłaszając o loterji. Wszak w Rosji loterje są jak najsurowiej zabronione. Nie chciałbym pozbawiać instytutu macierzyństwa tak potężnego środka dochodu, ale też wcale nie życzę sobie otrzymać od cesarza nagany“. — „Ależ, ekscelencjo, proszę pomyśleć, że tu chodzi tylko o jedną wazę, ofiarowaną na cel dobroczynny“. — „Tak, ale należało unikać wyrazu „loterja!“ — „Dobrze, będziemy go na przyszłość unikać“.

Na balu były tłumy. Wazę wygrał p. Medeksza, który, ku wielkiej uciechu publiki, był tryumfalnie obniesiony

¹⁾ Frank tedy już przed stu laty założył w Wilnie „Pogotowie ratunkowe“, tak dziś niezbędne i pożyteczne we wszystkich większych miastach. (W. Z.).

po sali. Darował on swoją wygraną instytutowi macierzyństwa.

Pan Kutuzow wyjechał z Wilna do Petersburga, a stamtąd jako głównodowodzący armją w kampanji tureckiej. Co za nierozwaga rozpoczynać wojnę z Turcją w chwili, gdy Napoleon czynił przygotowania do najścia na Rosję! A może potrzeba było czegoś podobnego do niepojętej wojny ze Szwecją?

Przed wyjazdem p. Kutuzow zaprosił się do mnie na obiad. Prawdopodobnie zawdzięczałem ten zaszczyt ustalonej opinji mego kucharza, którego mi darował hr. Tyzenhauz z jednym warunkiem, abym go utrzymywał. Na takich samych warunkach otrzymałem stangreta i kozaczka od p. Abramowicza. Ten kozaczek narobił mi kłopotu. Ubrał się w skórę niedźwiedzia i wpadłszy między żydów, oczekujących na dziedzicu, by się u mnie poradzić, okropnie ich nastraszył. Inni znowu uciekli zobaczywszy w mojej poczekalni murzyna. Na pewien czas straciłem część praktyki żydowskiej. Ale najwięcej strachu nabawiły mnie moje konie. Kazałem je zaprządź trójką, na sposób rosyjski, aby razem z ks. Lautrec pojechać na doroczny fest do Trok (o 4 mile od Wilna). Ks. Lautrec, widząc ten zaprząg, rzekł: — „Te djabelskie konie, zdaje się, mają ochotę ponieść!“ W tej samej chwili konie zerwały się z miejsca i istotnie zaczęły unosić. Przeraziłem się na samą myśl o nieszczęściu, jakie mogło się stać na wązkich uliczkach wileńskich, pełnych przechodniów. Na szczęście jeden koń upadł i to zmusiło inne do zatrzymania się. Trzeba oddać sprawiedliwość stangretowi, który wykazał niezwykłą przytomność umysłu. Pomimo wszystko trójką pojechaliśmy do Trok na odpust.

ROZDZIAŁ XXI.

Rok 1812. — Wilno. — Pożar. — Dziwny pacjent. — Obiady u gen. Bennigseny. — Powrót Korsakowa. — Stan polityczny Europy. — Misja Franka w Wiedniu. — Barclay-de-Tolly. — Cesarz Aleksander w Wilnie. — Dr. Wylie. — Święcone dla Cesarza. — Bal w kasynie. — Pani Sulistrowska. — Panna Zofja Tyzenhauzówna. — Podróż Józefa Franka do Wiednia. — Książę Bagration.

Przy końcu roku 1811 pani Frankowa zapytała mnie: — „Czy masz zamiar na zawsze zostawić u mamki dziecko, które nam podrzuciono?“ Słyszac to, obecna przy naszej rozmowie mamka rzekła: — „Widzę, że to dziecko wcale pana nie obchodzi. Niech mi pan je odda, bo pokochołam to maleństwo więcej od własnych dzieci“. — „A to dla czego?“ — „Ponieważ ten chłopczyk nie podobny do innych dzieci. Mogę o tem sądzić, bo dobrze znam się na dzieciach. Jeszcze raz proszę, niech mi go pan odda. Nie będę nadal żądała zapłaty“. Gdy oświadczyłem poczciwej kobiecie, że na jej prośbę zgodzić się nie mogę, pozostawiła nam dziecko, a sama odjechała płacząc rzewnie.

Nazajutrz o godz. 4-tej w nocy obudziło mnie gwałtowne stukanie, ale nie mogłem zgadnąć skąd ono pochodzi. Przysłuchuję się, — stukanie coraz gwałtowniejsze. Sądząc, że wzywają mnie do chorego i że służba nie słyszy dobijania się, pośpiesznie wstaję z łóżka. W chwili, gdy narzucałem na siebie szlafrok, pomyślałem, że może to pożar w domu. Otwieram okno, ale nigdzie nic podejrzanego nie dostrzegam. Wchodzę do przedpokoju i tu dopiero widzę, że sufit jest w ogniu. Lokaja, który tu zwykle sypiał — nie było. Nie chciał mnie trwożyć i pobiegł szukać pomocy. Rzucam się do pokoju pani Frankowej, by uprzedzić ją o grożącym nam niebezpieczeństwie i powiadam jej, by uciekała przez tylne schody, a sam biegnę do kołyski i ratuję dziecko. Maleństwo się budzi, ale nietylko nie płacze, ale patrzy na mnie i uśmiecha się, jak aniołek. Ten jego uśmiech na zawsze głęboko wrył mi się w sercu. Wracam tą samą drogą i widzę,

że ogień w przedpokoju znacznie się wzmógł i mój służący, przy pomocy kucharza i lokaja, usiłuje stłumić płomień, rąbiąc siekierą palące się belki. Śpieszę do mego pokoju, aby zabrać swoje notatki, przygotowane dla wykładów, rękopis 2-go tomu *Praecepta praxeos Universa* i pieniądze. Tymczasem nadbiegła straż ogniowa z brandmajstrem, i naczelnikiem policji i t. d. Ci panowie oświadczyli mi, że pożar jest poważny, ale że dach jeszcze nie jest zajęty. W tym samym czasie prof. Capelli i jego żona, którzy mieszkali nad nami, omal nie udusili się w dymie. Krzyczeli oni w niebogłose, aż wreszcie pani w jednej koszuli wpadła do nas, wzywając pomocy. Była to pierwsza jej u nas wizyta. O godzinie ósmej rano pożar zdawał się już być ugaszonym. Ponieważ w ten dzień zaprosiłem na obiad baletnika Duport, więc musiałem odwołać zaproszenie, tłumacząc się nieładem, jaki w mieszkaniu naszym panował. Około godz. 3-ej po południu znowu zaalarmowano nas. Wykryto bowiem jeszcze kilka żarzących się belek, tak, że trzeba było rozbić mur w kilku miejscach. Gdy się to działo, zjawia się jakiś chory, prosząc o poradę lekarską. — „Widzi pan, powiedziałem mu, że mój dom się pali, ale pomimo to służę panu. Co panu jest? Jak dawno pan choruje?“ — „Od dziewięciu lat, była odpowiedź, cierpię na niestrawność, ruktację. Lekarze twierdzą, że jestem hypokondrykiem, ale... — „Nie, to przechodzi wszelkie pojęcie. Myślałem, żeś pan nagle, poważnie zachorował i wszystkobyś poświęcił, żeby panu pomódz. Ale przychodzić z niestrawnością, która trwa dziewięć lat... Idź pan sobie i na przyszłość staraj się wybierać dla swoich wizyt stosowniejszą chwilę“.

Dopiero o godzinie 5-tej ostatecznie pożar zgaszono.

Wieczorem przyjechali odwiedzić nas rektor, gubernator i kilkanaście osób z wyższego towarzystwa. Wszystko, co ogień uszkodził, zostało naprawione na koszt Uniwersytetu, tak, że mnie całe to przejście prawie nic nie kosztowało.

Łagodny początek roku 1812 nie pozwalał przypuszczać, że koniec tegoż będzie surowy. Z wyjątkiem dwóch dni, w których mieliśmy 16—22^o R. mrozu, temperatura przez całą zimę była umiarkowana. Chorych także mieliśmy niedużo, być może dlatego, że obywatelstwo nie często do Wilna przyjeżdżało i z wyjątkiem generała Bennigsen, nikt nie prowadził domu otwartego, a nawet i on nie ruszał się z Zakretu i tylko w soboty korzystano z jego gościnności, a to dla następującej przyczyny. Kozłowski, doskonały kucharz, do tego stopnia zaniedbywał kuchnię swego pana, że zwykle obiady bywały obrzydliwe. Ten człowiek, wyleczony przeze mnie od ciężkiej choroby, w porywie wdzięczności powiedział mi:—„Jeśli się nie mylę, pan bywa u nas na obiedzie co sobotę? Proszę tedy być pewnym, że w te dni będzie go pan miał wyśmienitym“. Istotnie dla wizyt u p.p. Bennigsenów wybrałem sobie sobotę, ponieważ był to szabas żydów polskich, którzy w dni świąteczne nie zwracali się do lekarzy, chyba, że byli do tego zmuszeni koniecznością. Kozłowski dotrzymał słowa, a różnica pomiędzy obiadami sobotnimi i takimiż w inne dni była tak widoczna, że wszyscy ją spostrzegli. Następstwem tego było, iż biedny generał przez cały tydzień jadał tylko w gronie rodziny, a w soboty miewał przy stole po tuzinie gości. Gdy spostrzegłem ten spisek gastronomiczny, położyłem mu koniec, zmieniając dzień swoich wizyt.

Generał Kutuzow, który wciąż znajdował się w Turcji, jako głównodowodzący armią, przysłał pani Frankowej prześliczny szal turecki, jako próbkę swoich zdobyczy.

Obawa powrotu do Wilna p. Korsakowa, niestety, była słuszną. Przyjechał on na wiosnę. Byłem zrozpaczony, chociaż nie mogłem narzekać na doznane u niego przyjęcie. Przed nim jeszcze przybyło do Wilna wielu generałów, między innymi Bogohout, Dochturow, Korfi i inni, którzy wnieśli nieco ożywienia w życie towarzyskie. Poradziłem p. Bennigsenowi skorzystać z tego i dać jesz-

cze jeden bal maskowy na rzecz instytutu macierzyństwa. Bal ten udał się znakomicie. Inne swoje zakłady dobroczynne jakoś utrzymywałem z resztek uprzednio zebranych pieniędzy, nie mając możliwości urządzenia koncertu, lub przedstawienia teatralnego dla braku śpiewaków i aktorów.

Było to tem przykrzejsze, że marzec sprowadził nam sporo chorób, które nie oszczędzały nawet lekarzy.

P. Jędrzej Śniadecki zachorował ciężko na gorączkę reumatyczną z porażeniem gruczołu okołosznego, który przeszedł w ropienie. Zachodziła obawa, aby nie zaczęła się psuć kość szczęki, ale p. Niszkowski i ja szczęśliwie zapobiegliśmy temu. P. Becu zapadł na gorączkę z majaczeniem i drżeniem całego ciała. Na razie myślano o gorączce nerwowej, ale była to najzwyczajniejsza biała gorączka pijaków. Doznałem pewnej satysfakcji, gdy mnie wezwano na konsylium do człowieka, który nie ukrywał swych wrogich względem mnie uczuć.

Nigdy przedtem nie panowała w Uniwersytecie taka zgoda między profesorami, jak teraz. Co prawda nie bardzo tam pracowano. Wypełniano to tylko, czego wymagał obowiązek. Szczególnie odczuwało to moje biedne Towarzystwo Lekarskie. Godnemi politowania były jego posiedzenia, na które z wyjątkiem mnie, p. Niszkowskiego i kilku młodych lekarzy, nikt nie przychodził.

Gdy się poskarżyłem na to w liście do d-ra Rehmana, który porzucił Moskwę i wyjechał do Petersburga z ministrem hr. Razumowskim, ten ostatni wydał rozporządzenie, aby mu co miesiąc przysyłano sprawozdania z posiedzeń Wileńsk. Towarz. Lekarskiego (to rozporządzenie było rozesłane do wszystkich towarzystw naukowych w imperjum), oraz listę członków. Uważam, że środek ten był doskonały i dobrze byłoby, gdyby go stosował rząd, który, mojem zdaniem, powinien wymagać, ażeby każdy, kto wziął na siebie jakiegokolwiek zobowiązanie, był zmuszony wypełniać je tak, jak gdyby otrzymywał zapłatę. Moi koledzy nigdy nie dowiedzieli się, że to ja

właśnie byłem sprawcą nowych porządków i w moim interesie leżało nie powiadamiać ich o tem.

Podwoilem uprzejmość w stosunkach z nimi, pragnąc, aby mi pomogli w pewnej sprawie, która mi bardzo leżała na sercu. Mówię tu o moim zamiarze pojechania do Wiednia, ażeby uścisnąć ojca, którego nie widziałem od lat sześciu.

Ponieważ naszych dwóch miesięcy wakacyjnych (lipiec i sierpień) było na to za mało, więc zwróciłem się do Uniwersytetu z prośbą, aby mi pozwolono zakończyć kurs terapii szczegółowej w kwietniu, przez co do ferji letnich dodałbym maj i czerwiec. Uniwersytet wcale nie oponował, tem bardziej, że w ciągu roku szkolnego miewałem wykłady ponad program w dni świąteczne, a to dlatego, ażeby studenci nie stracili na przedłużeniu moich wakacji. W klinice obiecał zastąpić mnie prof. Śniadecki i uczynił to w sposób bardzo serdeczny. Cały wydział lekarski okazał się względem mnie nadzwyczaj uprzejmym i przyspieszył egzaminy na doktora medycyny o dwa miesiące, aby je skończyć przed moim wyjazdem. Prof. Lobenwein przyrzekł zaopiekować się studentami, utrzymywanymi na koszt skarbu, zaś rektor zajął się wystąpieniem się dla mnie urlopu u cesarza, również jak i paszportu.

Mój ojciec był zachwycony temi przygotowaniem, ale lepiej od nas będąc obznajomiony ze stanem politycznym Europy, przypuszczał, że nie doprowadzą one do niczego. Istotnie my, siedząc w Wilnie, tak dalece nie wiedzieliśmy o tem, co się działo na Zachodzie, że aż do początku marca nie przeczuwaliśmy grożącego niebezpieczeństwa zerwania stosunków pomiędzy Rosją a Francją. W liście z d. 14 marca ojciec pisał do mnie: „Zrozumiałem jest, że w swoich listach nie poruszasz wcale polityki, ale wydaje mi się niezrozumiałym ten zupełny spokój przed burzą, która lada chwila rozszałeje nad Europą“.

Oprócz nieświadomości było z mojej strony także

niewielki upór w niewierzeniu w możliwość wojny pomiędzy Aleksandrem i Napoleonem. Byłem, naturalnie bardzo daleki od myśli, że ten zdobywca może być zdolny do wdzięczności za przyjaźń, uwielbienie i uprzejmość, które tyle razy w rozmaitych okolicznościach okazał mu cesarz Rosji, ale miałem go za zbyt dobrego polityka, by przypuszczać, że wda się on z lekkim sercem w awanturę, w której może wszystko stracić i nic nie zyskać. Zdawało się, że obrót, jaki wzięła wojna hiszpańska, sprawił mu tyle kłopotów i trosk, że nie powinien myśleć o rozpoczynaniu nowej kampanji na drugim krańcu Europy i do tego z narodem potężnym, niemniej od Hiszpanów patriotycznym i posiadającym ważny atut w surowym klimacie. Wreszcie sądziłem, że Napoleonowi wiadomą jest nienawiść, jaką pomimo przymusowego związku, palają ku niemu całe Niemcy, nienawiść, która nie omieszka wybuchnąć przy pierwszym jego niepowodzeniu. W tym czasie nie wiedziałem jeszcze o sposobach, których ten bohater umiał używać, gdy się znalazł w złych interesach, jak to miało miejsce pod St. Jean d'Arc, kiedy powiedział do Bourienne'a¹⁾: — „Podburzam i uzbrajam Syrię, idę na Damask i Alep... przychodzę do Konstantynopola i przy pomocy uzbrojonych tłumów znoszę imperjum tureckie... Zakładam na Wschodzie nowe wielkie cesarstwo i dopiero wtedy być może powrócę do Paryża przez Adrianopol i Wiedeń, po wypędzeniu domu austriackiego“.

Ostatecznie, mówiłem sobie, na co się może Napoleon uskarżać? Czy na to, że Aleksander nie pozostał wierny systemowi kontynentalnemu w całej tegoż rozciągłości?²⁾ Właśnie byliśmy świadkami oplakanych następstw tego fatalnego systemu, który w ciągu paru

¹⁾ Bourienne. Memoires T. 2. p. 244. Paris 1829.

²⁾ Aleksander pozwolił przywozić do portów rosyjskich towary angielskie na statkach amerykańskich (Wojenskiij. Pricziny wojny 1812 goda. (W. Z.).

lat zubożył najpiękniejsze prowincje państwa, niegdyś kwitnące dzięki handlowi z Anglią. Wtedy dopiero zostałem wywieziony z błędu, gdy na własne oczy zobaczyłem przygotowania do wojny, niestety, o siłach nierównych. Wówczas, gdy Napoleon szedł z półmilionową armją, wojsko rosyjskie razem z kurlandzkim i litewskim liczyło niewiele więcej nad 80 tysięcy żołnierzy¹⁾. Zapowiedziano nam przybycie do Wilna generała Barclay-de-Tolly, ministra wojny, który miał być głównodowodzącym, a następnie i przybycie cesarza. Uprzedzono nas, że będziemy musieli ustąpić nasze mieszkania i umeblowanie dla gości, a gubernator i wszyscy urzędnicy dali z siebie przykład. Niebardzo to mnie niepokoiło, ponieważ wciąż liczyłem na to, że wkrótce wyjadę.

Jednak postać rzeczy zmieniła się, gdy dowiedziałem się, że już nikomu nie dają paszportów i że w każdym razie podróż byłaby niemożliwą, ponieważ wszystkie konie pocztowe zabrano na potrzeby wojenne. Rozmyślałem właśnie nad swoim smutnym losem, gdy wręczono mi następujący list od ministra spraw wewnętrznych z Petersburga z datą d. 29 marca 1812 r. Nr 1229.

„Szanowny Panie. Rektor Uniwersytetu Wileńskiego zawiadomił mnie o pańskim życzeniu pojechania w maju do Wiednia z powodu spraw osobistych i użycia na podróż czterech miesięcy. Uzyskałem pozwolenie Jego Ces. Mości, aby zaliczyć panu semestr bez potrącenia z pensji. Dwa powody skłoniły mnie do wyjednania dla pana tej łaski monarszej, mianowicie, chęć przekonania pana, że umiem cenić jego pożyteczną dla państwa pracę, a także zamiar skorzystania z pańskiej podróży dla celów państwowych. Wiadomo panu, że ministerjum spraw wewnętrznych w czasie zarządzania częścią medyczną,

¹⁾ P. d. Secur (Napoleon ou la grande Armée) miał słuszną niezdolność niezbyt wysoko ceniąc te wielkie przygotowania Rosji do wojny, a p. Gourgaud słusznie wyrzucał jej ten mniemany błąd.

pragnąc, o ile można, zapobiedz brakowi pomocy lekarskiej w wojsku i w służbie cywilnej, sprowadzało z wielkim kosztem lekarzy i chirurgów z zagranicy. Ale ten środek, tak, jak go stosowano, był związany z licznymi niedogodnościami, które ostatecznie zmusiły do zaniechania go. Najważniejszą z niedogodności była ta, że lekarze sprowadzeni z zagranicy jedynie na podstawie ich dyplomów, lub rekomendacji innych lekarzy, których nieobchodziło dobro Rosji, często mieli tak mało wiadomości, iż niebawem trzeba ich było odsyłać z powrotem, albo uzupełniać ich wykształcenie w naszych uniwersytetach, co ogromnie zwiększało wydatki, a dawało lichy rezultat. Zaprzestawszy jednak sprowadzania lekarzy cudzoziemców, miałem zamiar wznowić takowe, ale oparłszy je na pewniejszych podstawach. Mianowicie postanowiłem powierzyć wybór kandydatów lekarzom, stojącym na służbie rosyjskiej, oraz znanym z ich gorliwości i wiedzy, dać im prawo egzaminowania kandydatów i przyjmowania ich na służbę bez poddawania nowemu egzaminowi. Postępując w ten sposób, uniknęlibyśmy niepożądanych niespodzianek. Otóż sądzę, że podróż pana nastęrcza nam doskonałą sposobność do wykonania mego projektu. Otrzymałem już zezwolenie Jego Ces. Mości, abym upoważnił pana do przyjęcia podczas jego pobytu w Austrii na służbę rosyjską wszystkich lekarzy, którzy się na to zgodzą, a których pan poddawszy egzaminowi, uzna za zdolnych do pełnienia obowiązków, które na nich będą włożone. Pańska gorliwość i życzliwość dla rządu są mi dobrze znane, to też nie wątpię, iż pan podejmie się wykonania polecenia.

Nie czynię żadnych ograniczeń co do liczby lekarzy, których ma pan powołać i najzupełniej pozostawiam to znanej mi pańskiej dzielności i jego dobrym chęciom.

Posyłam panu dwa egzemplarze prawideł, które zawierają opis szczegółowy naszych wymagań od zaproszonych lekarzy, przywilejów i wynagrodzenia, jakich mogą oni żądać. Załączam instrukcję, której ma się pan

trzymać przy zawieraniu z nimi umowy i ich wysłaniu do Rosji. Jeden egzemplarz prawideł proszę zatrzymać dla siebie, a drugi wręczyć naszemu posłowi w Wiedniu, p. Stackelbergowi. Ponieważ jednak, nie można ręczyć, że i tym razem, jak to bywało dawniej, rząd austriacki zechce pozwolić swoim lekarzom na wyjazd do Rosji, zechce pan przed rozpoczęciem czynności zwrócić się do naszego posła, do którego również piszę w tej sprawie i który poinformuje pana, czy można rozpocząć starania około powołania do Rosji tamecznych lekarzy. Tenże ambasador ułatwi panu wysłanie lekarzy, z którymi pan zawrze umowę i dostarczy potrzebnych na to funduszków.

Będzie pan łaskaw zawiadomić mnie o swoim do Wiednia przybyciu i o krokach, czynionych w celu wykonania polecenia. Proszę także przysłać mi spisy przyjętych przez pana lekarzy i chirurgów z wyszczególnieniem ich nazwisk, uzdolnienia i warunków, na jakich zgadzają się wstąpić do służby naszej.

Nie wątpię, iż pan wypełni powierzone mu z zupełnym zaufaniem zadanie z taką samą gorliwością, jaką pan zawsze wykazywał przy pełnieniu swych obowiązków, a ja ze swej strony nie omieszkam postarać się o odpowiednią dla jego pracy nagrodę. Kończąc ten list, śpieszę zawiadomić pana, że Jego Ces. Mość po wysłuchaniu mego raportu o pańskich zasługach, jako prefekta instytutu medycznego, o których to zasługach urzędownie wiem od rektora Uniwersytetu, raczył nagrodzić go rangą radcy kolegialnego, o czem urzędownie będzie zawiadomiony Uniwersytet, a tymczasem przesyłam panu powinszowanie. Paszport, potrzebny panu w podróży, również zostanie wysłany do Uniwersytetu. Pozostaję z największym szacunkiem i t. d. hr. Aleksy Razumowski ¹⁾.

Zaiste, zbyt wiele naraz szczęścia doznałem, bo

¹⁾ Na następnych stronach pamiętników znajduje się dosłowna kopia regulaminu, o którym jest mowa w liście ministra. (W. Z.).

jednocześnie otrzymałem awans, urlop i misję, która nie tylko sama przez się była zaszczytną, ale nadto oddalała mnie od teatru wojny i wiodła w objęcia ojca. Jakże nie miałem dziękować Bogu za tyle łask.

Przewidując, że nasze wojska nie będą w stanie wytrzymać pierwszego natarcia Napoleona, przedsięwziąłem przed wyjazdem niektóre środki ostrożności, aby nieprzyjaciel, gdy wejdzie do Wilna, nie przyczynił mi zbyt wielkich strat. Złożyłem więc do kufrów i pak wszystko, co tylko posiadałem. Część rękopisów i książek oddałem do kościoła św. Jana dla schowania pod ołtarzem, część zaś do biblioteki uniwersyteckiej. Srebro i bieliznę powierzyłem prof. Lobenweinowi, a meble prof. Capellemu. Sprzedałem konie i pożegnałem służbę, której zapewniłem utrzymanie na dwa miesiące. Co do małego Wiktora, postanowiłem wziąć go ze sobą. Nie potrafię wyrazić do jakiego stopnia to dziecię zjednało moje przywiązanie. Bo też i zasługiwało na nie; tak było nad wiek rozwinięte, serdeczne i posłuszne. Pewnego wieczoru, gdy wróciłem do domu, malec wybiegł na moje spotkanie i zaprowadził mnie do okna, ażeby pokazać mi księżyc w pełni, któremu przyglądał się z zachwytem. Gdy razu jednego Wiktor zabił chrabąszcza, postarałem się wytłómaczyć mu, że źle postąpił i dodałem, że biedne stworzenie prawdopodobnie miało dzieci, które oczekiwały jego powrotu, by otrzymać pokarm. W parę dni potem, gdy jakiś owad usiadł mu na ramieniu, Wiktor z największą ostrożnością ujął go paluszkami i puszczając za okno, rzekł: „Leć, leć do swoich dzieci“. Niekiedy dość było jednego mego spojrzenia, by to dziecko zrozumiało i wykonało mój rozkaz.

W trakcie moich przygotowań do podróży, przybył do Wilna p. Barclay-de-Tolly 30 marca (11 kwietnia). Posiadał on władzę dyktatorską, nawet prawo życia i śmierci. Ponieważ p. Bennigsen pierwszy podczas kampanji 1806 i 1807 r. poznał i potrafił ocenić talent p. Barclay-de-Tolly, tedy byliśmy niezmiernie ciekawi zobaczyć, jak

się zachowa względem człowieka, któremu zawdzięcza początek swej kariery. Generał wykazał wiele taktu i godności, jak tego zresztą należało się spodziewać po człowieku, na którego czole była pieczęć prawości. Wraz po przyjeździe udał się do Zakretu i potrafił połączyć wdzięczność za przeszłe z godnością, jaką mu nakazywało obecne jego stanowisko. Nie było jednak między nimi żadnej poufnej rozmowy. Gdy dnia następnego pojechałem do Zakretu, p. Bennigsen powiedział mi, iż usposobił p. Barclay-de-Tolly przychylnie dla mnie. Tak to, ten zacny człowiek nie opuszczał żadnej sposobności, aby mi być pożytecznym.

Nazajutrz po przybyciu ministra wojny witali go przedstawiciele wszystkich znajdujących się w mieście instytucji rządowych. W ich liczbie był i rektor. Gdy p. Stroynowski prosił o pozwolenie przedstawienia generałowi ciała profesorskiego, ten uprzejmie odrzekł: — „I owszem, jutro w południe. Szczególnie miło mi będzie poznać profesora Franka“. Na to rektor oświadczył, że mam zamiar ofiarować generałowi przygotowanych przeze mnie do służby wojskowej ośmnastu lekarzy i chirurgów, pomiędzy którymi jest kilku doktorów medycyny“. — „Znakomicie, zawołał p. Barclay, ależ to przechodzi moje oczekiwanie“.

Nasza prezentacja odbyła się d. 2 (14) kwietnia. Jego Ekscelencja po bardzo łaskawem powitaniu podszedł do mnie ze słowami:

— „Wybawiasz pan mnie, dzięki swoim uczniom, z wielkiego kłopotu. Minister oświaty mówił mi tylko o lekarzach, wypuszczonych z petersburskiej akademii medycyko-chirurgicznej i dodał, że znajdę jeszcze kilku w Wilnie. Rektor zawiadomił mnie, że masz pan ośmnastu. To dla mnie miła niespodzianka, za którą bardzo panu dziękuję“.

Wtedy zawołałem moich uczniów i niektórzy z nich wręczyli p. ministrowi swoje drukowane po łacinie rozprawy doktorskie. Sam redagowałem te dysertacje, po-

między którymi było kilka godnych uwagi, jak np. p.p. Wojniewicza: „o karbunkule twarzy“ (Wilno. 1812), Żukowskiego: „o znieczuleniu“ (Wilno. 1812), Langa — „o ropnem zapaleniu oczu u noworodków“, Chrzczonowicza: „o dusznicy bolesnej“ it. d.

Zwróciłem przy tem uwagę Jego Ekscelencji, że wszyscy ci młodzi lekarze znają język rosyjski. Generał rozkazał skierować ich do d-ra Hesslinga, naczelnego lekarza armji, który przyjął ich bardzo dobrze, kazał wypłacić każdemu z nich po 400 rubli na umundurowanie i tyleż wyznaczył im pensji. Po opuszczeniu przez uczniów sali powiedziałem p. ministrowi, że mogę mu dać jeszcze dziesięciu, którzy, chociaż nie ukończyli nauk, ale ponieważ są na czwartym kursie, więc mogą być tymczasem użyty w szpitalach. — „Ależ, coraz to lepiej“, zawołał p. Barclay. Po przedstawieniu tych młodych ludzi, wprowadziłem jeszcze 22 studentów pierwszych trzech kursów. — „Tych oddam Ekscelencji potem, ponieważ nie mogę dawać mu oprawców zamiast lekarzy“.

P. Minister podzielił moje zdanie, poczem wziął mnie na stronę, rozpytywał się o mego ojca i szczególnie o jego podróży do Gratzu do Ludwika Bonapartego, byłego króla Holandji (o tej podróży wkrótce opowiem). Opowiedziałem wszystko to, co mi było z listów ojca wiadomem.

Ponieważ rozmowa nasza, prowadzona po niemiecku, była bardzo ożywiona, przeto profesorowie, którzy jeszcze znajdowali się w sali, słysząc powtarzane kilkakrotnie imiona Bonapartego i Napoleona i nie wiedząc, o co chodzi, umierali z ciekawości i pragnienia dowiedzieć się o treści naszej rozmowy, w przypuszczeniu, że jest ona niezmiernie ważna.

Wkrótce przyjechał do mnie generał Korff, aby mi oświadczyć, że p. Barclay jest ze mnie bardzo zadowolony i że już zawiadomił cesarza o przyjemnej niespodziance, jaką mu przygotowałem.— „Z pewnością otrzy-

ma pan krzyż św. Anny na szyję“, dodał generał. Potwierdził to potem i p. Bennigsen.

W Wilnie z godziny na godzinę oczekiwano przybycia cesarza. W obawie, aby nie zastał nas nieprzygotowanymi, p. Abramowicz posłał na ostatnią stację wartownika, który powinien był niezwłocznie zawiadomić go, jak tylko ukażą się powozy cesarskie. Dnia 3 (15) kwietnia ten oficer wpadł w pełnym galopie, wołając, że tuż za nim jedzie cesarz. Wiadomość ta wprawiła w ruch gorączkowy wszystko, co tylko żyło, nie wyłączając ministra wojny i wojennego gubernatora. Karetą istotnie wkrótce nadjechała, ale w niej siedział lokaj dworski. Gdyby to się stało na dwa dni przedtem, byłoby to doskonałym *Prima Aprilis*.

Dopiero d. 14 (28) kwietnia przyjechał cesarz. Na Antokolu Aleksander wysiadł z powozu przed karczmą żydowską, aby poprawić toaletę, poczem dosiadł wierzchowca i na czele licznego orszaku generałów konno wjechał do Wilna. Ulice, któremi jechał cesarz, były przepełnione, a ze wszystkich okien witały go panie. Cesarza nie oglądano w Wilnie od czasu jego wstąpienia na tron. Wszyscy znajdowali, iż zmienił się bardzo i że na twarzy jego widoczną była troska. Aleksander zatrzymał się w pałacu cesarskim, w którym zwykle mieszkali generał-gubernatorowie. Na dziedzińcu i przy schodach spotkała cesarza szlachta, duchowieństwo greckie, katolickie, protestanckie, reformowane, kahał i cechy z chorągwiami. Najjaśniejszy Pan łaskawie powitał zebranych, poczem udał się do swoich apartamentów. Wszystko odbyło się w niczem nie zakłóconej cichości. Jednocześnie z cesarzem przybyli do Wilna książę Oldenburski, kanclerz Woronców, hr. de Nesselrode, książę Kosłowski (?), generałowie Tormasow, Czernyszow, Armfeld, p. Wylie i inni.

Gdy złożyłem wizytę temu ostatniemu, przyjął mnie nadzwyczaj przyjaźnie, wygłaszał pochwały mojej pracy o medycynie praktycznej i zakończył następującem

oświadczeniem:—„Jestem ogromnie zmartwiony, nieporozumieniami, które wynikły pomiędzy mną a ojcem pańskim: Był to skutek intryg petersburskich lekarzy Niemców. Widocznie mieli oni w tem interes, aby nas poróżnić. Może pan zapewnić ojca, iż poważam go bardzo i wcale nie mam do niego urazy. Chciałbym, ażeby i on również o wszystkim zapomniał“.

P. Wylie zaprosił mnie, abym mu towarzyszył przy zwiedzaniu wojskowych szpitali wileńskich. Z tem większą przyjemnością przyjąłem zaproszenie, że nastęczało mi ono sposobność przedstawienia p. Wylie moich uczniów, których przygotowałem do służby w wojsku. Co prawda wcale nie byłem zbudowany tą wizytacją szpitalów, zobaczyłem bowiem, jak lekarze drżeli ze strachu przed swym kolegą, który, chcąc ich pouczać, plótł niestworzone głupstwa. Najbardziej mnie oburzały płaskie dowcipy p. Wylie i jego wybuchy śmiechu w obecności nieszczęśliwych chorych. Słowem wszystko, na co teraz patrzałem tylko potwierdziło niepoehlebne mniemanie o tym człowieku, które zrodziło się we mnie przy pierwszej naszej znajomości w Petersburgu.

P. Bennigsen zalecał mi oszczędzać p. Wylie, ponieważ mógł mi bardzo szkodzić.—„Wyobraź pan sobie, że Barclay nie śmiał przedstawić pana do orderu św. Anny, ponieważ obawiał się, że może się niepodobać Wyliemu, iż wchodzi w jego prawa, jako naczelnika wydziału medycznego—armji. Ale to tylko się odwlekło, bo p. Wylie przyrzekł mi już, że najchętniej sam pana do nagrody przedstawi“. Wyraziłem generałowi moją pod tym względem wątpliwość, którą opierałem na dość pewnych podstawach.

P. generał Tormasow, widując mnie kilkakrotnie w towarzystwie Wylie, powiedział: — „Podziwiam pana, jak możesz pan być w dobrych stosunkach z człowiekiem, który jest najzjadlejszym wrogiem pańskiego ojca“. Opowiedziałem generałowi naszą rozmowę z p. Wylie. Na to p. Tormasow rzekł:—„Tu nie chodzi o intrygi

lekarzy, ale o najnikczemniejsze prześladowanie z jego strony. Nikt o tem nie wie lepiej ode mnie, ponieważ właśnie ja, chociaż niechcący, byłem przyczyną zajścia między nimi przy mojem łóżku. Cierpiąc na kamień w pęcherzu, prosiłem o poradę pańskiego ojca, który był wtedy w Petersburgu. Oświadczył mi on, iż dla wyleczenia mnie konieczną jest operacja i poradził, abym prosił o nią p. Wylie. Ten zrobił operację pomyślnie, ale w chwili, gdy już miał nałożyć opatrunek, ojciec pański rzekł: — „Razdę wprawdzie przekonąć się, czy w pęcherzu niema drugiego kamienia?“ Na to Wylie odpowiedział wymyślaniem, ale pański ojciec miał tyle taktu, że na nie nie odpowiedział. Jestem mu nieskończenie wdzięczny, że miał wzgląd na stan, w jakim wówczas się znajdowałem. Okres pooperacyjny przeszedł prawidłowo, ale nie pozbyłem się moich dawnych cierpień. Powiedziałem o tem Wylie'emu, ale on przypisał to mojej wyobraźni, której przyczyną były głupie przypuszczenia Franka. Gdy jednak bóle z dniem każdym stawały się coraz nieznośniejsze, zażądałem, aby mi wprowadził sondę. I cóż pan powie? Wylie był zmuszony przyznać, że w pęcherzu istotnie jest kamień. Usiłował mi wmówić, że świeżo się utworzył. Musiałem poddać się powtórnej operacji, podczas której wyjęto kamień zupełnie do pierwszego podobny i dopiero potem nastąpiło wyzdrowienie“.

Dn. 21 kwietnia (3 marca) Najjaśniejszy Pan raczył przyjąć ciało profesorskie. Gubernator cywilny przedstawiał cesarzowi rektora i każdego profesora z osobna. Gdy przyszła moja kolej, Jego Ces. Mość, który dotąd nie przemówił ani słowa, raczył powiedzieć mi z uśmiechem: — „A, stary znajomy, stary znajomy. Bardzo pan utyłś od naszego ostatniego widzenia się“. Oto mniej więcej, na czem polegała audjencja, jeżeli nie liczyć kilku pytań, zadanych przez cesarza rektorowi o medykach, którzy wstąpili na służbę. Rektor skorzystał ze sposobności i rozsypał się w pochwałach dla mnie za moje starania o instytut, z którego ci lekarze wyszli.

Monarcha mógł być zadowolony z nastroju, który w tym czasie panował w Uniwersytecie, wobec wypadków politycznych. Zdaje się, że obawa, ażeby zmiana rządu nie wpłynęła na zmniejszenie pensji, ostudziła zapal rewolucyjny niektórych profesorów. Studenci brali przykład ze swoich nauczycieli i również zachowywali się spokojnie, zaś publiczność była pod wrażeniem pełnomocnictwa, danego p. Barclay-de-Tolly, który jednak nie potrzebował zeń korzystać, co dowodzi, że spokój był powszechny. Wraz po przyjeździe do Wilna cesarz bardzo mile przyjął p. Bennigsen, zaliczył go do sztabu generalnego i kupił od niego Zakret za sto tysięcy rubli, pozwalając generałowi mieszkać w nim do śmierci. Był to delikatny sposób ofiarowania mu pomocy pieniężnej. Najjaśniejszy pan śmiał się z tego nabytku. — „To się nazywa, mówił, wybrać czas odpowiedni!“ Istotnie przypominało to kupno ziem w okolicach Rzymu, zajętych przez Gallów, a przez Senat wystawionych na licytację. Cesarz nie zapomniał i o pani Bennigsenowej i na trzeci dzień po przyjeździe do Wilna, spędził u niej wieczór. Gdy w czasie rozmowy wspomniano o zakładach dobroczynnych, szczególnie o instytucie macierzyństwa, ofiarował temu ostatniemu sto dukatów. Żegnając się, Jego Cesarzowska Mość powiedział:

— „Żałuję, że jestem w Wilnie bez żony, ponieważ dzięki temu nie mogę kazać przedstawić sobie dam tułtejszych, które pragnąłbym poznać“. Na to pani Bennigsenowa odrzekła: — „Gdybym się ośmieliła zaprosić Waszą Cesarzką Mość na trzeci dzień Wielkiej Nocy na Święcone, zaprosiłabym także panie wileńskie, które miałabym zaszczyt przedstawić Najjaśniejszemu Panu“. — „Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie“.

Było to w Wielkim tygodniu, to też pani Bennigsenowa pośpieszyła z rozesłaniem zaproszeń osobom, które według jej zdania, mogły się podobać cesarzowi.

Ale zaledwo się z tem załatwiła, gdy cesarz przysłał do niej generała Korfa, aby ją uprzedzić, że o ile chce, aże-

by mu przedstawiono damy, o tyle nie życzy sobie widzieć panów. To nieoczekiwane oświadczenie sprawiło pani Bennigsenowej niemały kłopot, ponieważ uważała za słuszne pozapraszać panie razem z mężami.

Jednak pozwoliła sobie prosić cesarza o zrobienie wyjątku dla mnie i otrzymała na to pozwolenie.

Niektórzy mężowie obrazili się i na razie nie chcieli puścić żon samych, ale obawiając się narazić i nie chcąc zrobić przykrości pani Bennigsenowej, zmienili swoje postanowienie.

Pomimo, iż pani Bennigsenowa przez ostrożność zaprosiła panie na godzinę przed cesarzem, prawie wszystkie przyjechały po nim, co było dla gospodarzy niezmiernie kłopotliwe. Na dobytek lokaj, przechodząc pośpiesznie przez salon, omal że nie przewrócił cesarza. Na szczęście państwo Bennigsenowie nie widzieli tego.

Cesarz przyjechał ze świtą, złożoną z dwunastu osób, z których nie wszystkie znałem. Gdy jeden ze świty związał ze mną rozmowę, podtrzymywałem ją z zupełną swobodą, nie podejrzewając, że miałem zaszczyt rozmawiać z księciem Oldenburskim, szwagrem cesarza. Dopiero później dowiedziałem się o tem od p. Bennigsena, który domyślił się mojej nieświadomości. Na zapytanie, w jaki sposób mógłbym naprawić błąd, poradził mi, abym tego nie próbował, bo lekarstwo mogłoby być gorszem od choroby.

Hrabia Nesselrode zaszczycił mnie rozmową, która dotyczyła przeważnie braku lekarzy wojskowych i sposobów zaradzenia złemu. Znałem tego ministra, ale zupełnie zapomniałem o tem, że to on właśnie, będąc posłem rosyjskim przy którymś z dworów niemieckich, dostarczył swojej ojczyźnie sporo lekarzy cudzoziemców. To też nie mogła mu się podobać moja nie nazbyt pochlebna o tych lekarzach opinia i moje pochwały dla nowego systemu, przyjętego przez ministra oświaty. Zauważyłem to ze sposobu, jakim zakończył naszą rozmowę.

Pani Bennigsenowa prosiła panią Frankową o zaśpie-

wanie czegokolwiek. Wykonała bez zarzutu arję i marsz z opery *Pirro* Zignarellego. Cesarz bił oklaski z takim zapałem, że byłem zdziwiony, gdy potem przeczytałem w pamiętnikach pewnej naszej przyjaciółki¹⁾ (o której nieraz jeszcze będę miał sposobność mówić), wzmiankę o śpiewie pani Frankowej i że jakoby cesarz Aleksander miał powiedzieć, iż woli jej metodę od głosu. Bądź jak bądź, ale zdanie cesarza, który miał słuch przytępiony, nie może być co do muzyki decydującem.

Gdy wszyscy weszli do pokoju, w którym na olbrzymim stole było zastawione święcone, gospodyni domu zbliżyła się do Najjaśniejszego Pana, by mu podać jajko i sól. Cesarz za nic nie chciał się zgodzić, by mu usługiwała dama, aż musiała mu ona wytłumaczyć, że tego wy maga zwyczaj miejscowy.

Hr. Stanisław Potocki, adjutant cesarza, nie na żarty zrobił honor święconemu. Gdy to zauważył Aleksander, zwrócił się śmiejąc do niego: — „A, pan to nigdy czasu nie tracisz“.

Osoba, której ze szczególną uwagą cesarz się przyglądał, była pani Sulistrowska, z domu Rzewuska. Była ona raczej przystojna, aniżeli piękna, ale nie brakło jej rozumu i tematów do rozmowy, to też nazywano ją *kurjerem wileńskim*²⁾.

Następnego wieczora szlachta litewska wydała dla cesarza bal w kasynie, którego to bału królową była pani Sulistrowska, ale niemięjsze powodzenie miały i inne damy polskie. Zato Rosjanki z małym wyjątkiem pozostawały w cieniu. Generał Baggowut, widząc, że jego

¹⁾ *Memoires historiques sur l'empereur Alexandre par Madame la Comtesse de Choiseul-Gouffier, née comtesse Tyzenhauz. Paris 1829, p. 66.*

²⁾ Pani Sulistrowska miała z cesarzem Aleksandrem syna, czem się przechwalała. Wogóle cesarz podczas swego kilkukrotnego pobytu na Litwie, miał tu mnóstwo miłostek, nawet z żydówkami po karczmach. Ob. Sobarri, obrazki litewskie, str. 66. (W. Z.).

żona została usunięta na drugi plan, zapytał mnie: — „Jak pan sądzisz, czy Napoleon, gdyby tańczył, nie oddawałby w przeddzień wojny pierwszeństwa żonom swoich generałów przed Polkami?“ Pomimo żalu do cesarza, Baggowut był pierwszym z generałów, który za niego poległ.

Na balu był także obecny W. Ks. Konstanty. Gdy prof. Capelli pozwolił sobie lornetować w księcia, ten spojrzał na niego takim wzrokiem, że biedny profesor poczuł się zgubionym. Być nawet może, że spotkałaby go wielka nieprzyjemność, gdyby nie obecność cesarza. Gdy spojrzenie Jego Wysokości księcia Oldenburskiego spotkało się z mojem, złożyłem mu głęboki ukłon. Zrozumiałem z jego uprzejmego uśmiechu, iż mój ukłon został przyjęty, jako prośba o przebaczenie.

Cesarz kilkakrotnie wyjeżdżał z Wilna dla przeglądu wojsk. Podczas jednej z takich wycieczek d. 27 kwietnia zanocował w Towianach, majątku hr. Morikonich, sławnym ze swych ogrodów angielskich i położonym niedaleko od Wilkomierza. Tam właśnie Najjaśniejszy Pan po raz pierwszy spotkał pannę Zofję Tyzenhauzównę, córkę hr. Ignacego, naszego przyjaciela. Zawiązała się między nimi przyjaźń, na której oboje nigdy się nie zawiedli. Łaskawość, okazywana przez cesarza w Towianach, granic nie miała. Sam prowadził gospodynię do sali jadalnej, nie zgodził się usiąść na miejscu honorowem i z zachwycającą żywością rzekł: — „Na miłość Boską, pozwólcie mi być zwykłym człowiekiem, wtedy tylko jestem szczęśliwy“.

Nazajutrz na odjeździe cesarz zbliżył się do pani domu i z godnością i zwykłą mu uprzejmością rzekł: — „Muszę pani zrobić wymówkę, iż przyjmowano mnie nie jak przyjaciela i starego znajomego. Sprawilem nie małe kłopoty, bo dowiedziałem się, żeś mi pani ustąpiła swoich apartamentów, na co bym nigdy nie pozwolił. Słowem pani mnie za dobrze przyjmowała“.

Tego samego dnia, w którym cesarz opuścił Wilno,

wyjechałem do Wiednia z Krystyną, Wiktorem i murzynom.

Miałem do wyboru trzy drogi, mianowicie: na Brześć litewski, na Warszawę i na Radziwiłłów. Wybrałem tę ostatnią, jako najprostszą do Austrii, chociaż prawie dwa razy dłuższą. Niezmiernie się dziwiłem, nie spotykając wojsk pomiędzy Wilnem a Brześciem, co mnie przekonało, jak niewielkie siły mogła Rosja wystawić przeciw Napoleonowi. Dopiero podjeżdżając ku Wołyniowi zaczęliśmy spotykać oddziały armji księcia Bagrationa, który miał kwaterę w Łucku. W chwili, gdyśmy do tego miasta wjeżdżali, spotkaliśmy kilka powracających z manewrów pułków z ks. Bagrationem na czele. Przy nim jechał p. Marin, adjutant cesarza, który, gdy nas poznał, powiedział parę słów księciu, poczem galopem zbliżył się do naszego powozu i w imieniu ks. Bagrationa prosił nas, byśmy do niego zajechali, ponieważ miasto było zajęte przez wojsko i nie znaleźlibyśmy ani jednego mieszkania. Krystyna jadła obiad w swoim pokoju, ponieważ nie chciała przebierać się i nie mogła zostawić Wiktora. Podczas obiadu byłem zasypany zapytaniami o pobycie cesarza w Wilnie, o czem opowiadałem z wielką powściągliwością. Widząc, że ks. Bagration miał na sobie austriacki order Maryi Teresy, powiedziałem mu, że wnoszę stąd, że stosunki Rosji z Austrią są dobre.

Na to książe odpowiedział: — „Niech pan opowie w Wiedniu, że widział mnie z tym orderem na piersiach. Przykro mi, iż państwo nie chcą pozostać tu do jutra. Pokazałbym panu ośm pułków kozaków, o których również mógłby pan opowiedzieć, a także wcale piękną piechotę. Przez kogo ma pan wydany sobie paszport?“ — „Z departamentu spraw zagranicznych z podpisem ministra wojny“. — „To zupełnie wystarczające“, zauważyło kilku generałów. Pan Bagration nic nie powiedział, ale po obiedzie wziął mnie na stronę i rzekł: — „Niewątpliwie, minister wojny ma większe ode mnie znaczenie, ale kozacy lepiej znają mnie niż jego. Niech pan pozwoli, że pod-

piszę pański paszport. Wybawi to pana nieraz z kłopotu“.

Skorzystałem z tej uprzejmości i udałem się w dalszą drogę, przejęty wdzięcznością dla księcia za jego dobroć.

Przybyliśmy do Dubna w środku nocy, co nie przeszkodziło mi zobaczyć się z d-rem Lernetem, lekarzem bardzo światłym i autorem pracy o dżumie, która grasowała na Wołyniu w r. 1798. Pośpiech, z jakim podróżowałem, pozbawił mnie przyjemności zajechania do Krzemieńca, obejrzenia tamecznego gimnazjum i zobaczenia się z niezrównanym hrabią Tadeuszem Czackim. Myślałem tylko o tem, aby jak najprędzej dojechać do granicy Austrii, ponieważ obawiałem się, że mogące lada dzień nastąpić zerwanie stosunków między nią a Rosją może przeszkodzić mi przebyć granicę. Gdy rano przyjechaliśmy do Radziwiłłowa, pierwsze pytanie, które mi zadał naczelnik komory celnej było: — „Czy księżę Bagration podpisał pański paszport?“ — „Tak“. — „To bardzo dla pana szczęśliwie, ponieważ bez jego podpisu nie mógłbym pozwolić panu jechać dalej“. — „A podpis ministra wojny?“ zapytałem. — „Na nicby się zdał. Otrzymałem wyraźny rozkaz żądania podpisu dowodzącego wojskami na Wołyniu“. Jak tylko wjechaliśmy do wolnego miasta Brodów, opadli mnie żydzi, zapytując, czy mam ruble srebrne i proponując mi bardzo ich wygodną zamianę na bankocetle austriackie. Zmieniwszy na drobne 1000 florenów, wyjechałem stąd do Lwowa. Byłem zachwycony pięknnością jego, zarówno jak Galicji. Wyborne szosy, któremi jechaliśmy, a także widziane po drodze wspaniałe dwory wiejskie, nie pozwalały mi litować się nad losem Polaków, którzy po rozbiornie ich ojczyzny dostali się pod panowanie Austrii. Zato poczty galicyjskie nie podobały mi się. Konie były małe, uprzęż licha, a pocztylioni leniwi.

Na Śląsku spotkałem armję księcia Schwarzenberga, liczącą 30 tysięcy ludzi, która to armja, jako pomocnicza

Napoleona, dążyła ku granicy rosyjskiej. Kawalerja (szczególnie huzarzy) była piękna, ale zato piechota wydała mi się nieszczególną. Żołnierze dowcipkowali, patrząc na mego murzyna, który pokazywał im swe piękne zęby. Bawiło to niezmiernie małego Wiktora, który nie tylko, że nie sprawiał nam żadnego kłopotu w drodze, ale nawet rozweselał nas i bawił.

Do Wiednia wjechaliśmy d. 27 maja n. st. przed północą. W domu naszym wszyscy już spali. Pierwszy posłyszał nas ojciec. Drżąc ze wzruszenia, wybiegł na nasze spotkanie i padł w moje objęcia, przyczem obaj rozplakaliśmy się z radości.

— „Przed godziną, rzekł mi kochany starzec, zasnąłem, dręczony najokropniejszymi myślami. Widziałem was narażonych na wszystkie niebezpieczeństwa wojny, na choroby zakaźne, które jej zwykły towarzyszyć, i oto teraz mam was przy sobie zdrowych i całych. Niech Bogu będą dzięki!“

ROZDZIAŁ XXII.

Rok 1812. — Wiedeń. — Czujność policji wiedeńskiej. — Ludwik Bonaparte—ex król Holandji i jego choroba. — Baronowa Staël. — Zebrania u Carpani'ego. — Wystawienie w Badenie opery Wesele Figara. — Pani Frankowa traci głos.

Mój ojciec uważał, że włożona na mnie misja werbowania dla Rosji lekarzy jest bardzo zaszczytna. „Rząd rosyjski, mówił, powierzając ci wybór lekarzy i dając pełnomocnictwo udzielania prawa praktyki na całej przestrzeni najobszerniejszego na ziemi państwa, więcej zaufał tobie, niżeli wszystkim wydziałom lekarskim swoich uniwersytetów, których egzamina są poddawane kontroli inspektora U p r a w y“. „Zdaje mi się, odrzekłem, że aby dać dowód, iż jestem godny tego zaufania powinienem pokazać, że sam nie dowierzam swej wiedzy i

zaprosić dwóch współegzaminatorów, jednego do historii naturalnej, a drugiego do chirurgji i akuszerji. Z łatwością znaję ich w Wiedniu, a potem wyjednam dla nich nagrodę“.

W trakcie tej rozmowy oznajmiono mi, że jakiś pan pragnie ze mną się widzieć. Gdy ojciec usunął się, kazałem prosić gościa, który mi rzekł:

— „Jestem sekretarzem hr. Pergena, ministra policji. Przychodzę w imieniu Jego Ekscelencji, aby powinszować panu i jego ojcu przybycia do Wiednia i złożyć mu życzenia szczęśliwego tu pobytu i dobrego zdrowia. Polecono mi jednak uprzedzić pana, że wobec dzisiejszych stosunków Austrii z Francją, nie możemy pozwolić na wypełnienie włożonej na pana misji werbowania dla Rosji lekarzy i chirurgów i nietylko poddanych austriackich, ale również cudzoziemców. chyba, że otrzymają oni od swoich rządów osobne pozwolenie na wstąpienie do służby rosyjskiej“.

Zamiast odpowiedzi dałem posłowi do przeczytania list ministra oświaty, przytoczony w rozdziale poprzednim. Prosiłem go o zwrócenie szczególnej uwagi na ustęp, w którym minister rozkazuje mi nie rozpoczynać niczego bez poprzedniej zgody Austrii, której uzyskanie polecono posłowi rosyjskiemu przy dworze wiedeńskim. Dodałem, że zbyt dobrze znane mi są obowiązki jakie nakłada korzystanie z gościnności, abym pozwolił sobie postąpić nieodpowiednio, co zresztą spotkałoby się z naganą moich zwierzchników. Zdawało się, że moje tłumaczenie zadowolilo sekretarza, którego prosiłem, by zechciał złożyć moje uszanowanie Jego Ekscelencji i podziękować mu za jego względem mnie zachowanie, które umiem ocenić. W jaki sposób policja wiedeńska była tak prędko powiadomiona o treści danego mi polecenia? Czyżby przez ambasadora austriackiego w Petersburgu? Udałem się niebawem do hr. Stackelberga, posła rosyjskiego przy dworze wiedeńskim. Powiedział mi, że już jest uprzedzony o mojem przybyciu i o treści danego mi polecenia, ale, że

dotąd nie robił żadnych starań ze względu na obecne okoliczności, gdyż z pewnością spotkałby się z odmową, na którą nie chciał się narażać. „Jestem, dodał, na wyjeździe z rodziną do Gracu, gdzie zabawię tak długo, aż sprawy wezmą inny obrót. Od czasu do czasu będę zaglądał do Wiednia, ażeby orientować się w sytuacji. Nie jesteśmy takimi nieprzyjaciółmi, jak to się może wydawać. Gdy wrócimy, moja żona będzie rada odnowić znajomość z panią Frankową, którą poznała w Petersburgu“.

Tak się też stało i nigdy nie zapomnę dobroci, której to dostojne małżeństwo dało nam dowody następnej zimy. Podczas pierwszych tygodni mego pobytu w Wiedniu zgłaszało się do mnie mnóstwo lekarzy i chirurgów, pragnących jechać do Rosji na służbę. Byłem przekonany, że niektórzy z nich byli przysłani przez policję, która chciała się przekonać, czy dotrzymują obietnicy. Łatwo się domyślić, co ja tym panom mówiłem, to też wkrótce zostawili mnie w spokoju.

Ojciec był bardzo zadowolony, że zamieszkał w Wiedniu. Ulokował się we własnym domu z ogrodem, miał znakomitą kucharkę (pisywała ona nawet artykuły treści kulinarnej), oraz dwóch służących, tak że mój murzyn stawał się niepotrzebny. Ojciec miał własny powóz i bardziej niż kiedy cieszył się zaufaniem publiczności. Czegóż więcej mógł żądać?

Okolo połowy stycznia Ludwik Bonaparte, były król holenderski, który mieszkał w Hradcu, zachorował, i zwrócił się do mego ojca z prośbą o poradę. Z powodu śniegów, które zawałyły drogę, trzeba było zaprzęść do powozu aż ośm koni. Przebycie gór Semmeringu zajęło cały dzień. Gdy na trzeci dzień ojciec przyjechał do Peggau odległego od Hradcu o półtorej stacji, spotkał byłego króla, jadącego w towarzystwie swego ministra. Ojciec musiał przesiąść do powozu Jego Królewskiej Mości (taki tytuł przyjął Ludwik), który z wyszukaną uprzejmością dziękował mu zato, że w tak okropną po-

godę pośpieszył na jego wezwanie. Na to ojciec odpowiedział, że „tak postąpić nakazywała mu wdzięczność dla cesarza Napoleona, który zaszczycił go swoim zaufaniem“. Gdy to Ludwik usłyszał, krew uderzyła mu do twarzy. „Panie Frank, zawołał, oczekiwałem pana z niecierpliwością, jako lekarza, który może mnie uzdrowić, ale jeżeli mam zawdzięczać pański przyjazd względem, jakie pan ma dla cesarza Napoleona, to niech pan, niezwlekając, jedzie sobie z powrotem. Nie chcę nic zawdzięczać temu człowiekowi. Jest on wielkim kapitanem, wielkim generałem w porównaniu z innymi, ale to i wszystko. Pod każdym innym względem to — potwór. Ach, gdybyś pan wiedział, ile on mi złego zrobił¹⁾. Nie, w niczem nie chcę być mu obowiązany!“

Mój ojciec bardzo zmieszany odrzekł: „Gdyby Wasza Królewska Mość pozwoliła mi skończyć, usłyszałaby o mojem uwielbieniu dla wielkości jej duszy i o współczuciu, jakie mam dla cierpienia Waszej Królewskiej Mości“. Po tem oświadczeniu król się uspokoił i rozpoczął opowiadanie o swojej długiej chorobie. Było to osłabienie całego organizmu, paraliż prawej ręki, który zagrażał również lewej ręce i prawej nodze; to też chodzenie było utrudnione. Do tego przyłączyło się skrzywienie na prawo kręgosłupa, chociaż w kolumnie pacierzowej nie można było znaleźć żadnego tumoru. Pomimo to ojciec był przekonany, że przyczyna choroby znajdowała się w mleczu pacierzowym. Chory pragnął, aby go obserwo-

¹⁾ Ludwik Bonaparte, hr. St. Leu. Ur. 1778 r. Towarzyszył Napoleonowi do Włoch i Egiptu. W r. 1805 został generał-gubernatorem Pjemontu, a w r. 1806 królem Holandji, ale wskutek nieporozumień z bratem d. 1 lipca 1810 r. złożył koronę i pod imieniem hr. St. Leu zamieszkał w Hradcu. W r. 1814 powrócił do Francji, a w 1826 przeniósł się do Florencji i Rzymu. Um. w r. 1846. Ludwik Bonap. znany był jako literat, wydał kilka dzieł historycznych. Był ożeniony z Hortensją Eugenją Beauharnais, córką cesarzowej Józefiny z 1-go małżeństwa, ale się z nią rozwiódł. (W. Z.).

wano przynajmniej miesiąc, zanim zostanie wypowiedziana opinia o jego chorobie. Prosił nawet, aby ojciec nie czytał 52 opinii rozmaitych lekarzy (Mascatiego, Corvisarta, Boyer, Heurleloupe, Fouguela, Bauniego, Barteza, Latoura, Lafissa, Saussera, Hufelanda i t. d. i t. d.) o jego chorobie, przed przedstawieniem mu na piśmie swego zdania. Uczynił to ojciec na ósmy dzień. Ex król wyznał, iż orzeczenie mego ojca najbardziej mu trafiło do przekonania, ale wyrazi: „przypiekanie skóry z obu stron kręgosłupa nabawiły go takiego strachu, iż w ciągu trzech tygodni trzeba go było namawiać i przekonywać zanim się udało otrzymać obietnicę, że na wiosnę podda się on tego rodzaju kuracji. Ludwik Bonaparte sprzeciwiał się również przyjmowaniu lekarstw. Słowem wszystko zapowiadało u chorego tak czarną melancholję, iż nie można było liczyć z jego strony na wytrwałość w chorobie, trwającej już czternaście lat, a przez cały ten czas, nie robiono nic innego, jak tylko wciąż zmieniano lekarzy. Po miesiącu pobytu mego ojca w Hradcu, ex-król pozwolił mu odjechać. Opłacił on koszta podróży i ofiarował maleńką tabakierkę złotą ze stu dukatami i czekiem na dwieście dukatów.

Jak można wnosić z listu następującego, był on zadowolony z leczenia.

„Panie Radco Frank!

List pański sprawił mi tem większą przyjemność, iż dał mi sposobność raz jeszcze podziękować panu za jego o mnie starania. Jeżeli kiedy powrócę do zdrowia, moja wdzięczność będzie bezgraniczną dla tego, który mnie wyzwolił ze stanu ciągłego osłabienia i uwolnił od ostrych bólów, które już od tak dawna znoszę. Ale pan mi wybaczy, że będąc ofiarą rozmaitych metod leczenia z pozoru bardzo racjonalnych i pojętnych, pozwalałem sobie dawać panu pytania i robić uwagi może niewłaściwe. Kończę, pomnąc, że przyrzekłem panu nie mówić o tem więcej i zaufać memu lekarzowi, który będzie pisywał do pana, gdy tego zajdzie potrzeba. Pozostaje mi tylko po-

wtórzyć wyrazy szacunku, na który pan w zupełności zasługuje.

Gratz, d. 23 lutego 1812 r. Louis de St. Leu ¹⁾.

W czasie, gdy ojciec znajdował się w Hradcu, po Wiedniu rozeszła się pogłoska o nagłej jego śmierci z apopleksji, zaś w Hradcu rozpowiadano to samo o hr. Razumowskim, jakoby zmarłym nagle w Wiedniu. Ci dwaj nieboszczycy, spotkawszy się u pani de Rombeck, serdecznie się uściskali i postanowili obiadować wspólnie w każdą niedzielę. Przez cały czas mego pobytu w Wiedniu miałem zaszczyt być zawsze zapraszany na te wspaniałe obiady. Spotykałem tam towarzystwo, które było dla mnie tem miłsze, iż podzielało moje poglądy polityczne. To samo da się powiedzieć o osobach, które widywałem u pani Bagration, pięknej i uprzejmej małżonki głównodowodzącego armji wołyńskiej, którego sądzono jej było wkrótce oplakiwać. Niestety nie cieszyłem się sympatją księcia Aleksandra Kurakina, byłego posła rosyjskiego w Paryżu i wielkiego wielbiciela Napoleona. Pochwały, w których się on rozplýwał, nie powinny były wyjść z ust dyplomaty rosyjskiego, zwłaszcza w obecnych okolicznościach. Jeszcze mniej krępował się sekretarz księcia, o którym mówiono, że jest jego synem naturalnym.

Ponieważ byłem ciekaw zobaczyć blizny, pozostałe po parzeniu, któremu uległ książę Kurakin na smutnej pamięci balu u ks. Schwarzenberga, chętnie się rozebrał, by mi blizny pokazać. Oglądałem również następstwa oparzenia, któremu wtedy uległa młoda księżniczka Schwarzenberg, niewinna przyczyna śmierci swej matki. Spotkałem tę młodą osobę u jej wuja księcia Józefa Lobkowitza. Ten magnat, zarówno jak jego małżonka, nie zmienili się względem nas chociaż wszystko się dokoła

¹⁾ Wkrótce potem J. P. Frank otrzymał od b. króla drugi list, na który niezwłocznie odpisał. Opuszczam tę korespondencję, jako mało interesującą. (W. Z.).

nich zmieniło. Nie było już dawnego bogactwa i szybko się zbliżała zupełna ruina majątkowa.

Przed nominacją księcia Karola Schwarzenberga był zamiar mianowania księcia Jana Lichtensteina głównodowodzącym austriacką armją posiłkową. Gdy cesarz mówił z nim o tem, książę oświadczył, że byłoby mu niewymownie przykro walczyć obok Francuzów, jako przyjaciół, ponieważ od młodych lat przywykł widzieć w nich wrogów. Na to cesarz rzekł: „Tedy patrz pan tylko przed siebie.“

Książę de Ligne, wielki zwolennik Napoleona, był przekonany, iż skończy się na tem, że cesarz Francuzów będzie dyktował prawa Rosji. Wyobrażając sobie obecnych Rosjan takimi, jakimi ich znał za czasów Katarzyny II, książę opowiadał o nich niestworzone rzeczy. Z lubością powtarzał dowcip, powiedziany przez siebie jakieś księżatku niemieckiemu, gdy ten jako wolontarjusz przedstawił się generał-kwatermistrzowi rosyjskiemu. „Będziesz pan mógł w Rosji wiele się nauczyć, jeżeli tylko będziesz wszystko robił inaczej, niż tu robią.“

Zwracałem uwagę na niebezpieczeństwo, grożące Napoleonowi, jeżeli wojna przeciągnie się do zimy, ale on zawsze odpowiadał: „Jak pan możesz przypuszczać, że wielki Napoleon nie pomyślał o tem wszystkim!“ Gdy jednak ta odpowiedź wcale mnie nie przekonała, książę zaczął się niecierpliwić, a że i ja to samo uczyniłem, więc przestaliśmy widywać się. Wielka szkoda. Utratę przychylności tego rozumnego człowieka wynagrodziły mi względy, doznane od najniepospolitszej kobiety swego czasu, mianowicie od baronowej de Staël-Holstein ¹⁾,

¹⁾ Anna Ludwika Staël-Holstein z domu Necker, sławna autorka francuska urodz. r. 1766 w Paryżu. W r. 1786 zaślubiła posła szwedzkiego Staël-Holsteina. Brała czynny udział w rewolucji francuskiej i cudem prawie uniknęła gilotyny za czasów teroryzmu, poczem wyjechała do Anglii. Po upadku Robespierrea wróciła do kraju i poznała się z Bonapartem, który jej nienawidził, prześladował i wre-

która przez Wiedeń jechała do Szwecji. Byłem jej przedstawiony przez p. Carpani'ego, który po krótkiej rozmowie wyszedł, pozostawiając nas samych. Naturalnie, mówiliśmy o wojnie i o Napoleonie. Pani de Staël, widząc, że zgadzamy się ze sobą w poglądach, mówiła ze mną zupełnie szczerze, a ja brałem z niej przykład. Gdyśmy oboje byli nieco zdziwieni tą niespodzianą otwartością, pani Staël zrobiła uwagę: „Gdyby nas kto teraz podsłuchał, nigdyby nie uwierzył, że rozmawiamy ze sobą po raz pierwszy“. Niestety, było to i po raz ostatni, ponieważ p. Staël wkrótce potem wyjechała.

W tym czasie przyjechał do Wiednia książę Adam Czartoryski, którego poinformowałem o stanie, w jakim zostawiłem Uniwersytet wileński. Książę bardzo obojętnie wysłuchał mojego sprawozdania o łaskawem przyjęciu przez wojennego ministra moich uczniów i nawet wymawiał mi, że przed wyjazdem poleciłem profesorowi Lobenweinowi wysłać do Rosji 22 medyków, pozostawionych w Wilnie na wypadek najścia nieprzyjaciół¹⁾. „Po co było odbierać ich ojczyźnie?“ rzekł książę: — „Sądziłem, że powinni oni służyć rządowi, który dał im wychowanie.“

Najbardziej przypadło mi do gustu towarzystwo, które zbierało się u p. Carpani'ego. W r. 1809 kazano mu, jak już o tem mówiłem, udać się do Włoch z armją austriacką, którą dowodził arcyksiążę Jan, a to dla redagowania proklamacji, które tam zamierzano rozrzucać. Gdy się ta kampanja skończyła nieszczęśliwie, p. Carpani jakiś czas pędził życie wędrownie w Węgrzech, a potem powrócił do Wiednia. Tu otrzymał posadę w głównym zarządzie policji, i chociaż posada ta nie miała na-

szezie wygnał z Francji. Mieszkała kolejno w Szwajcjarji, Wiedniu, Moskwie i Petersburgu. Umarła w Paryżu w r. 1817. Napisała 18 tomów „Oeuvres“, z których najznakomitszy jest romans „Corinne ou l'Italie“. (W. Z.).

¹⁾ Tego jednak Lobenwein nie uczynił (przyp. M. Homolickiego).

zwy, to jednak nie można było uważać p. Carpani'ego za szpiega, ponieważ postępował jawnie. Aby mieć pretekst do wyznaczenia Carpani'emu pensji, polecono mu dostarczać wiadomości dzienne gabinetowi cesarza i kancelarji ministra policji. Carpani, nawpół kaleka, spędzał cały ranek w łóżku na pisaniu. W ten sposób nietylko załatwiał korespondencję, ale także oddawał się pracy literackiej. Tu powstały jego *Haydines*, w której to pracy oprócz życiorysu Haydna, dał traktat o muzyce i innych sztukach pięknych. Dzieło to nie powinno być pójść w zapomnienie.

Tylko najbliżsi przyjaciele mieli do Carpani'ego wstęp rankami i bawili tyle czasu, ile było potrzeba na opowiedzenie nowin, lub ich sprawdzenie. O godz. 3-ej po południu Carpani wychodził z domu i udawał się na obiad do bankiera Eskelesa, u którego zbierało się liczne towarzystwo. Obdarzony rozumem i iskrzącą się wesołością, Carpani był duszą towarzystwa. Wieczorami drzwi jego mieszkania były dla wszystkich znajomych otwarte. Wychodzono i wchodzono, jak do kawiarni. Niektórzy nawet kazali przynosić sobie napoje chłodzące. Pogawędka trwała aż do północy, co było rzeczą niezwykłą w Wiedniu, gdzie przyjęto wracać do domu o godz. dziesiątej. Filarami towarzystwa byli p. Capod'Istria, przed swoim do Rosji wyjazdem, p. Ruffi, poseł królewski Neapolitański, w owym czasie mianowany do Sycylii i doktor Capelini.

Często tam bywałem i wszyscy byli niezmiernie ciekawi nowin z Litwy, na których mi nie zbywało, jak to się okaże w rozdziale następnym. Co prawda, mogłem komunikować tylko niektóre szczegóły, ponieważ o ważniejszych nowinach pierwszy wiedział p. Carpani. On to właśnie powiedział mi o pokoju, zawartym pomiędzy Rosją a Turcją, a także o pożarze Moskwy. Pamiętam dobrze, że, gdy p. Carpani nagle powiedział o tem memu ojcu, zrobiło mu się niedobrze. Kółko Carpani'ego poniosło wkrótce stratę. Umarł p. Malia, kawaler Maltański, znaj-

dujący się przy poselstwie rosyjskim w Wiedniu. Ten poczciwiec, hulaka, gruby i tłusty podagryk, dostał w czasie naszej uczyty silnych dreszczów. Capellini, jego lekarz, kazał mu zaraz położyć się do łóżka. Nazajutrz wystąpiły objawy zapalenia płuc. Jako zwolennik systemu Browna, Capellini nie puścił choremu krwi i nic nie uczynił dla odciążenia podagry od piersi, to też wkrótce przyłączyła się woda w piersiach. Zaczęto zwoływać jedno konsylium po drugim, ale było już zapóźno. Gdy Capellini dał choremu łyżkę lekarstwa, zawierającego *oxy mel Scilla e*, które wywołało wymioty, Malia, umierając rzekł: — „Otruleś mnie pan“. Te słowa posłyszal p. Betera z Raguzy, sekretarz księcia Mikołaja Esterhazego i zrozumiałszy je dosłownie narobił hałasu, twierdząc, że d-r Capellini otruł kawalera Malia, ażeby zawładnąć jego bogatą kolekcją kamei, za zgodą kapitana Georgi Toskańczyka i p. Otta, radcy poselstwa rosyjskiego. P. Betera wydrukował to oskarżenie w osobnej broszurze, wydanej w Londynie. Broszurę rozdawały w Wiedniu niektóre osoby, skądinąd bardzo szanowane, ale które uwierzyły, że p. Malia padł ofiarą spisku, do którego należeli p.p. Ott, Capellini i Georgi, znany lichwiarz. Przypuszczano, że cel spisku był bardzo brzydki. Capellini zażądał sądu i ten uznał Beterę za oszczercę i skazał go na wygnanie. Pomimo to jednak na dobrem imieniu Capelliniego pozostała plama, którejby on prawdopodobnie uniknął, gdyby sekcji trupa nie otoczono taką tajemnicą.

Często widywałem 80-letniego barona Quarini, hr. Karola Harracha, doktorów Malfatti, Closseta, de Carro, Wagnera, Hüztela i innych. Poznałem również d-ra Hildebrandta, dyrektora szpitala i profesora medycyny praktycznej. Szczególnie ceniono jego wykłady terapii szczegółowej, ale wiele miano do zarzucenia lekcjom klinicznym. Ponieważ dyrektorowi szpitala przysługuje prawo prowadzić według własnego wyboru jeden z oddziałów, tedy Hildebrandt wybrał sobie oddział kobiet syfilityczek.

Kilka głośnych skandalów, które były następstwem tego wyboru, zmusiły rząd do usunięcia dyrektora. Ten lekarz posunął niemoralność i cynizm do tego stopnia, iż był zachwycony, gdy jego dzieci brały z ojca przykład. — „Poznaję swoją krew“, zwykł przytem mawiać.

Jedynym domem w Wiedniu, w którym mogli się spotykać miłośnicy nauk przyrodniczych, był dom baronostwa Jacquin. Bywałem u nich niekiedy i za każdym razem prosiłem Boga, aby i mnie dał szczęście, jakim obdarzył Jacquina, szczęście potrzenia na wspaniałą starość ojca.

Pani Frankowa nie bywała w żadnym towarzystwie muzycznym i śpiewała przez grzeczność tylko dla mego ojca, który pewnego razu przedstawił jej księcia Glika, mającego na sobie ubiór grecki. Książę pragnął słyszeć śpiew pani Frankowej, która chętnie jego życzenie spełniła. Gdy nazajutrz ojciec odwiedził go, książę wręczył mu dla jego synowej wspaniałą szal turecki.

W tym to czasie zostało zniszczone przez pożar miasto Baden pod Wiedniem, tak, że ocalało tylko kilkanaście domów i teatr. Wtedy książę Lobkowitz prosił panią Frankową, by zechciała śpiewać na rzecz pogorzalców. — „Zamierzam wystawić, mówił książę, w teatrze bańskim *Wesele Figara* Mozarta. Pani wykona rolę Zuzanny, p. Bassi—Figara, p. Vogel—hrabiego Almaviva, Karolina i Netti Branickie — hrabiny i Berberyny, a panna Boekel (która potem poślubiła p. Humela) będzie cherubinem. Ja wezmę jakąkolwiek podrzędną rolę jedynie dlatego, aby towarzyszyć pani“.

Projekt został przyjęty i próby odbywały się w Wiedniu pod kierunkiem Salieri'ego. Ale niespodziewana śmierć jednego z krewnych ks. Lobkowitza nie pozwoliła mu brać udziału w przedstawieniu, a ponieważ jego udział był warunkiem, pod którym pani Frankowa zgodziła się wystąpić, przeto teraz mogłaby ona wycofać się, gdyby nie obawa, że inni artyści obrażą się. Gdy już wszystko było przygotowane do przedstawienia, wyko-

nawcy jeszcze z wieczora wyjechali do Badenu, ażeby następnego dnia rano odbyć próbę generalną, po której tegoż wieczora miało się odbyć przedstawienie. Wszystkie łoże już były zamówione i hojnie opłacone przez ciało dyplomatyczne, arystokrację, bankierów i t. d. Wiele dam, szczególnie cudzoziemek, już nie znalazły miejsc, to też chciały koniecznie być chociaż na próbie generalnej. Były bardzo nierade, że pani Frankowa, oszczędzając się na wieczór, śpiewała półgłosem. Gdy jedna z nich w niezmiernie delikatny i miły sposób wyraziła mi żal z tego powodu, uprosiłem Krystynę, aby zaśpiewała jak się należy rondo w drugim akcie. Chętnie na to przystała i śpiew jej wywołał burzę oklasków.

Obiad zjedliśmy u naszego krewnego p. Gattlera, którego dom ocalał w pożarze. Pragnąc po obiedzie użyć przechadzki w dolinie Heleny, powiedziałem pani Frankowej: — „Do widzenia w teatrze; postaraj się być godną siebie“.

Przybyłem do teatru w chwili rozpoczęcia przedstawienia i tylko z wielką trudnością udało mi się dostać do krzeseł.

Zachwyty nad śpiewem pani Frankowej na dzisiejszej próbie, które dokoła siebie słyszałem, sprawiły, iż nie tak odczuwałem niewygodę pozycji, w której się znajdowałem. Przybycie Najjaśniejszych Państwa przerwało rozmowy. Gdy podniesiono zasłonę, publiczność głośnie oklaskami powitała Figara i Zuzannę, którzy na scenie urządzali swój pokój ślubny. Ale jak tylko Krystyna otworzyła usta, odrazu spostrzegłem, że śpiewa nie swoim głosem. Słyszałem dokoła siebie mówiących: — „Ona ma tremę“. Chociaż niebardzo wierzyłem temu, jednak poszedłem za kulisy, by jej dodać odwagi. — „Czy to Dwór tak ci zaimponował? pomyśl tylko, że przecie śpiewałaś na dworze rosyjskim“. — „Wcale się nie boję, odpowiedziała Krystyna, ale, gdy ubierałam się, chwycił mnie przeciąg i straciłam głos. Nawet mówię z trudnością, jednak zrobię, co mogę, ażeby dobrze śpiewać w duetach,

za to nie ma co myśleć o arjach“. Byłem zrozpaczony, ale trzeba było z tem się pogodzić i dała tego przykład publiczność, która, nie wyłączając Najjaśniejszych Państwa, pozostała w teatrze do końca przedstawienia, chociaż nie było ono wcale zabawne. Od czasu do czasu darzono oklaskami aktorkę, ale nie śpiewaczkę. Mancini, stary *musico*, widząc wysiłki, jakie robi Krystyna, by wydobyć z piersi choć trochę głosu, zaklinał mnie, abym zmusił ją przestać śpiewać, jeżeli nie chce na zawsze stracić głos. Nie przydawałem znaczenia jego słowom, ale, niestety, przepowiednia tego doświadczonego śpiewaczki sprawdziła się. Od tego fatalnego wieczoru pani Frankowa już nieodzyskała dawnego głosu i jej śpiew odtąd można było porównać ze słońcem, którego promienie przenikają przez mgły jesienne. To zdarzenie powinno być nauką dla dyrektorów teatrów, aby nie zmuszali śpiewać artystki, które dostały chrypki.

Widząc, że Salieri źle wygląda, zapytałem go, jaka była tego przyczyna. — „Ach, odpowiedział, wielkimi krokami zbliżam się do mogiły. Choroba, na którą cierpię już od lat 13, z dnia na dzień robi postępy. Całe noce muszę spędzać w fotelu, bo jak tylko się położę, doznaję bicia serca i okropnego niepokoju, po którym następuje omdlenie. Martwi to mnie tem bardziej, że od czasu kiedy złapałem pod łóżkiem złodzieja, zwykle doznaję strachu, jeżeli drzwi mego pokoju nie są zamknięte. — „Czy pan nic nie robisz przeciw chorobie?“ — „A cóż pan chce, abym robił. Wiele już lekarzy leczyło mnie bez żadnego skutku“.

Wygląd chorego zdradzał raczej jakieś cierpienie w dolnej części brzucha, niż wadę serca, to też powiedziałem: — „Trzymam się zasady, aby nigdy nikomu nie radzić nieproszony, ale, ponieważ znam lekarstwo¹⁾, które w cierpieniach, podobnych do pańskiego, dawało świet-

¹⁾ Frank w odsyłaczu podaje receptę tych pigulek, które się składają z Genejany, Fel Tauri i Scammonium. (W. Z.)

ne rezultaty, więc może pan je spróbuje. Salieri przyjął moją radę i po użyciu jednej dozy pigułek zupełnie wyzdrowiał.

Korzystając z wolnego czasu, pracowałem nad drugim tomem mego dzieła (Medycyna praktyczna), którego to tomu nawet nie zacząłem w Wilnie. Opisywałem choroby skóry, t. j. najtrudniejszy dział patologii i terapii, a który ma to do siebie, że chcąc te choroby bardzo drobniawo opisywać tylko wprowadza się zamęt do tego stopnia, że nie sposób korzystać z podobnych opisów przy łóżku chorego, co powinno być głównym celem wszystkich nauk lekarskich. Jeżeli moi uczniowie robili postępy w rozpoznawaniu chorób skórnych, co uznawali sędziowie kompetentni, zawdzięczają to oni właśnie prostocie moich objaśnień, w których ściśle trzymałem się nomenklatury, przyjętej przez mego ojca w jego Epistoma, naturalnie z wyjątkiem nowych chorób, które nie były mu znane, gdy pisał swoje dzieło. Interesował się bardzo moją pracą, której każdy rozdział oddawałem pod jego sąd. Szczególnie chwalił rozdział o róży. Pracowaliśmy razem od wczesnego rana. O tej porze dnia ojciec był nieprzystępny i widział wszystko w czarnych kolorach. Dopiero po wypiciu kawy, zrobieniu toalety i przechadźce odzyskiwał dobry humor i tylko wtedy można go było o cokolwiek prosić. Ale nie chciałem korzystać z tego pogodnego usposobienia, pragnąc dla swojej pracy sędziego jak najsroźszego. Nie mówiłem, jak filozof grecki: — „Bij, lecz słuchaj!“, tylko myślałem: — „Łaj, ale prawiaj!“

Ojciec był bardzo niespokojny o swego synowca Ludwika Franka, nie mając o nim żadnych wiadomości. Nakoniec dowiedział się, że Napoleon dał mu posadę naczelnego lekarza na wyspie Korfu, która wtedy była pod jego panowaniem. Było to z pożytkiem dla obu. Dla Napoleona — ponieważ Ludwik znał obyczaje i choroby Lewantu, a dla Ludwika — ponieważ rodzaj życia Turków i Greków najbardziej mu do gustu przypadła.

Wiadomości, nadchodzące z teatru wojny, nie należały do wesołych, jednak z czasem stały się bardziej pocieszające. Krystyna i ja otrzymywaliśmy z Wilna listy od pani Abramowiczowej, od hrabianki Zofji Tyzenhauzówny, od prof. Capellego i szczególnie od p. Staude, Niemca, gubernera pewnej rodziny polskiej.

Ponieważ wszystkie nadsyłane przez nich wiadomości były najzupełniej ściśle, co potem sam stwierdziłem na miejscu, przeto mają one wartość dokumentów, dotyczących epoki niezmiernie ważnej i mają stanowić ilustrację do historii owych czasów.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS RZECZY.

W tomie II-gim.

	str.
ROZDZIAŁ XIV. Rok 1808. — Wilno. — Uczty stylowe. — Zabawy. — Teatr amatorski. — Koncerty. — Zatarg z profesorem Becu.—Prace naukowe.— Nowa choroba krup. — Praktyka. — Katastrofa. — Śmierć biskupa I. N. Kossakowskiego. — Założenie instytutu wakcynacji. — Hrabina Mostowska.—Strach.—Ulepszenia w Uniwersytecie. — Znakomici artyści. — Ks. Adam Czartoryski w Wilnie	5
ROZDZIAŁ XV. Rok 1808. — Petersburg. — Śmierć W. Księżniczki Elżbiety. — Dymisja Jana Piotra Franka i jego wyjazd z Rosji. — Przygody w drodze. — Moskwa. — Kijów. — Wiedeń. — Wilno. — Zatarg z Uniwersytetem	25
ROZDZIAŁ XVI. Rok 1809. — Wilno. — Sroga zima. — Tomasz Wawrzecki. — Koncerty. — Wystawienie „Stworzenia świata“ Haydna. — Założenie instytutu macierzyństwa. — Korespondencja z ministrem. — Kutuzow. Kanonik złodziej. — Studenci Niemcy w Uniwersytecie Wileńskim. — Niedoszły samobójca. — List do ks. Adama Czartoryskiego w sprawie reformy Uniwersytetu Wileńskiego	45
ROZDZIAŁ XVII. Projekt reformy Uniwersytetu Wileńskiego. — List księcia Ad. Czartoryskiego. — Przygoda w drodze. — Nieudany obiad dla cesarza Aleksandra. — D-r Liboszyz i okulista Smith. — Ożenienie się prof. Capellego.—Śpiewak-sopranista Torquinio	74
ROZDZIAŁ XVIII. Rok 1809. — Korespondencja z ojcem. — Wiedeń. — Wojna Francji z Austrią.—Zajęcie przez Francuzów przedmieścia Wied-	

nia — Alser. — Śmierć marszałka de Lannes. — Spotkanie z Napoleonem. — Rozmowa z nim. — Liszaj cesarza Francuzów. — Zdanie Napo- leona o Janie Piotrze Franku. — D-r Corvi- sart — lekarz Napoleona. — Dar cesarza. — Traktat Schoenbruński. — Wiedenki a Pol- ki. — Wyjazd J. P. Franka do Fryburga.	95
ROZDZIAŁ XIX. Rok 1910. — Wilno. — Dziecko podrzu- cone. — Wystawienie opery Romeo i Julja. — Niepowodzenie w praktyce ocznej. — Nagana ód księcia kuratora. — Tadeusz hr. Czacki i ks. Adam Czartoryski w Wilnie. — Projekt cesa- rza Aleksandra utworzenia Królestwa Litew- sko-białoruskiego. — Teatr wileński. — Pro- jekt nowego teatru w Wilnie. Pani Cichočka. — Jej skandaliczne małżeństwo. — Kutuzow i Ryfka. — Ludwik Frank i jego żona-asyryj- ka. — Ali-basza. — Śmierć siostry Karoliny .	118
ROZDZIAŁ XX. Rok 1811. — Wilno. Teatr Morawskiej. — Przygoda p. Clement. Hrabiosstwo Manucci. — Prof. Briotet i jego nieszczęścia. — Konfiska- ta książki H. Stroynowskiego. — Wystąpienie profesorów Abichta, Grodka i Bojanusa prze- ciwko rektorowi Śniadeckiemu. — Nieudolność prof. Bojanusa jako weterynarza. — Bal mas- kowy i loterja. — Wyjazd Kutuzowa z Wilna.	148
ROZDZIAŁ XXI. Rok 1812. — Wilno. — Pożar. — Dziw- ny pacjent. — Obiady u gen. Bennigsena. — Powrót Korsakowa. — Stan polityczny Euro- py. — Misja Franka w Wiedniu. — Barclay de Tolly. — Cesarz Aleksander w Wilnie. — D-r Wylie. — Święcone dla cesarza. — Bal w kasynie. — Pani Sulistrowska. — Panna Zo- fja Tyzenhauzówna. — Podróż Józefa Franka do Wiednia. — Książę Bagration	168
ROZDZIAŁ XXII. Rok 1812. — Wiedeń. — Czujność poli- cji wiedeńskiej. — Ludwik Bonaparte-ex-król Holandji i jego choroba. — Baronowa Staël. — Zebranie u Carpaniego. — Wystawienie w Ba- denie opery Wesele Figara. — Pani Franko- wa traci głos	189

RYCINY.

	str.
Pałac general-gubernatorów (dawniej biskupi) w Wilnie	1
Tomasz Wawrzecki	47
Kutuzow	59
Capelli Aloizy	94
Michał książę Ogiński	105
Ignacy Tyzenhauz	122
Tadeusz hr. Czacki	131
Jakób Briotet	155
Ludwik Bojanus	161



U.02352

